

# Jeźdźcy z nikąd

Aleksander Abramow



calibre 0.7.3

Aleksander Abramow i Siergiej Abramow

Jeźdźcy z nikąd

Przełożyła Irena Lewandowska

Wsadniki Niotkuda

Ros - ?

Pol - 1969

# CZĘŚĆ PIERWSZA

Różowe obłoki

## KATASTROFA

Śnieg był miękki, puszysty, zupełnie nie przypominał chropawego jak szmergiel krystalicznego firnu polarnych pustaci. Antarktyczne lato, miły łagodny mrozek, który nawet nie szczypie w uszy, stwarzały atmosferę turystycznej przejażdżki. Tam gdzie w zimie nawet płozy samolotu nie mogły się oderwać od przechłodzonych kryształków śniegu, nasza trzydziestopięcioletnia amfibia sunęła jak osobowy samochód po autostradzie. Wano prowadził wóz po mistrzowsku, nie hamował nawet na widok podejrzanych lodowych nawisów.

- Bez brawury, Wano - zawołał z kabiny nawigacyjnej Ziernow. - Mogą być szczeliny.

- Gdzie, kochanie? - zapytał z powątpiewaniem Wano, wpatrując się przez okulary słoneczne w strumień oślepiającego światła wlewający się do kabiny przez przedni iluminator. - Czy to jest droga? To bulwar Rustawelego a nie droga. Macie jakieś wątpliwości? Nigdy nie byliście w Tbilisi? W takim razie wszystko jest jasne.

Wygramoliłem się z kabiny radiooperatora i usiadłem na strapontenie obok Wano. Nie wiedząc czemu odwróciłem się i spojrzałem na stolik w salonie, przy którym przeprowadzał jakieś meteorologiczne obliczenia Tolek Diaczuk. Nie powinienem był się oglądać.

- Jesteśmy świadkami narodzin nowego kierowcy-amatora - zachichotał Tolek. - Wano, kinetyk za chwilę cię poprosi, żebyś mu oddał kierownicę.

- A wiesz przynajmniej, co to znaczy kinetyk? - odgryzłem się.

- Ja tylko naukowo uogólniłem twoje specjalności kinooperatora i kinomechanika.

- Idiota. Kinetyka to nauka o ruchu.

- W takim razie muszę poprawić błąd terminologiczny.

A ponieważ nic na to nie odpowiedziałem, dodał zaraz.

- Twoja próżność cię zgubi, Jurek. Dwa zawody to dla niego już za mało.

Każdy z nas, uczestników wyprawy, łączył co najmniej dwa, a niekiedy nawet trzy zawody. Ziernow, który w zasadzie był glaciologiem, mógł w razie czego zastąpić geofizyka i seismologa. Tolek pełnił obowiązki meteorologa, lekarza i kucharza. Wano był mechanikiem samochodowym i kierowcą specjalnie skonstruowanej dla Dalekiej Północy gigantycznej amfibii śnieżnej, a poza tym potrafił zreperować wszystko, poczynając od zerwanej gaśienicy, a kończąc na przepalonych maszynce elektrycznej. Pod moją zaś opieką oprócz kamery filmowej i projektora znajdowała się również kabina radiooperatora. Ale do Wano ciągnęła mnie nie próżność, nie chęć zwiększenia liczby moich specjalizacji, tylko miłość do jego "Charkowianki".

Kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy z pokładu samolotu, wydała mi się czerwonym smokiem z bajek dzieciństwa, oglądana zaś z bliska, rozparta na wysuniętych do przodu gaśienicowych łapach szerokich co najmniej na metr, z wielkimi kwadratowymi ślepiami iluminatorów wydała mi się

tworem z innej planety. Umiąłem prowadzić samochód, a nawet dużą ciężarówkę i Wano pozwolił mi już wypróbować amfibię na jeziorze lodowca koło Mirnego, wczoraj jednak, kiedy już wyruszyliśmy na wyprawę - dzień był chłodny i wietrzny - nie zaryzykował. Ale dzisiejszy poranek tak kusił, powietrze było kryształowo przejrzyste.

- Puść mnie do kierownicy, Wano - poprosiłem, zaciskając zęby i usiłując nie obejrzeć się tym razem. - Na pół godzinki.

Wano już wstawał, ale powstrzymał go okrzyk Ziernowa:

- Żadnych eksperymentów z prowadzeniem. Odpowiadacie za każde uszkodzenie pojazdu, Czochełi. A wy, Anochin, włóżcie szkła.

Natychmiast wykonałem polecenie - Ziernow jako kierownik był wymagający i stanowczy, a patrzenie na miriady iskier zapalanych przez zimne słońce na śnieżnej równinie nie osłoniętymi ochronnymi okularami oczyma nie było bezpieczne. Śnieżna równina ciemniała dopiero pod horyzontem, zlewała siłą tam z rozmytą ultramaryną nieba, bliżej zaś powietrze wydawało się być jarzące białe.

- Spójrzcie lepiej w boczny iluminator, Anochin - ciągnął Ziernow. - Czy nic was nie niepokoi?

O jakieś pięćdziesiąt metrów na lewo wznosiła się zupełnie pianowa ściana lodowa. Błyszcząca i tęcząca jak smuga diamentowego pyłu ciemniała u dołu, tam gdzie zleżały rozwarstwiony śnieg przekształcał się już w zmętniały chropowaty firn. A jeszcze niżej widać było warstwę lodu, jakby odciętą nożem olbrzyma, błękitniejącą w słońcu niczym niebo odbite w lustrze. Ściana ciągnęła się w nieskończoność, bez najmniejszej przerwy, aż zniknęła gdzieś tam w śnieżnej dali. Można było pomyśleć, że potężne wielkoludy z bajki wydzwignęły ją tu, ową, nie wiadomo czego broniącą i nie wiadomo komu zagrażającą twierdzę.

- Lodowy płaskowyż, Borysie Arkadiewiczu. Może to szelfowy lodowiec?

- Bywalec - uśmiechnął się Ziernow, robiąc aluzję do drugiej już mojej wizyty na Biegunie Południowym. - Czy wiecie, co to jest szelf? Nie wiecie? Szelf to platforma cokołu kontynentalnego. Lodowiec szelfowy schodzi w ocean. A to nie jest czoło lodowca, a my nie płyniemy po oceanie. - Zamilkł na chwilę, potem dorzucił, zamyślony: - Stańcie, Wano. Obejrzymy to z bliska. To ciekawy fenomen. A wy się ubierzcie, towarzysze. Żebyście się nie ważyli wychodząc w swetrach.

Z bliska ściana okazała się jeszcze piękniejsza - nieprawdopodobny blok zamrożonego nieba odcięty aż po horyzont. Ziernow milczał. Może przytłoczył go ogrom, a może niezrozumiałość tego, co widzieli. Długo wpatrywał się w śnieżny szlak śniegowy u szczytu ściany, potem nie wiedząc czemu popatrzył pod nogi, deptał śnieg, rozgarniał go nogą. Nic nie rozumiejąc śledziliśmy jego ruchy.

- Zwróćcie uwagę na śnieg pod nogami - powiedział nagle Ziernow.

Zaczęliśmy deptać śnieg za jego przykładem i pod cieniutką warstwą odkryliśmy twardą

powierzchnię lodu.

- Ślizgawka - powiedział Diaczuk. - Idealna płaszczyzna, jakby sam Euklides robił lodowisko. Ale Ziernow nie zareagował na żart.

- Stoimy na lodzie - ciągnął zamyślony. - Pokrywa śnieżna ma najwyżej dwa centymetry grubości. A spójrzcie, ile go jest na ścianie. Całe metry. Czemu? Takie same wiatry, takie same warunki, a zupełnie odmienny rezultat. Macie jakąś koncepcję?

Nikt nie odpowiedział. Ziernow po prostu głośno myślał.

- Struktura lodu na pierwszy rzut oka jest taka sama. Powierzchnia lodu także. Wrażenie sztucznego wygładzenia. A gdyby zmieść spod nóg tę centymetrową warstwę śniegu, ukazałaby się identyczna nienaturalna płaszczyzna. Ale to przecież nonsens.

- Wszystko w państwie Królowej Śniegów jest nonsensowne - stwierdziłem.

- Dlaczego Królowej a nie Króla? - zapytał Wano.

- Wyjaśnij mi to, Tolek - powiedziałem - jesteś przecież specjalistą od map. Gdzie się znajdujemy? Obok Ziemi Królowej Mary. A co jest tam dalej? Ziemia Królowej Maud. A z tamtej strony? Ziemia Królowej Wiktorii.

- Po prostu Wiktorii - poprawił mnie Tolek.

- To była królowa Anglii, erudyto z Instytutu Prognoz.

Ziernow nie słuchał nas.

- Czy jesteśmy mniej więcej w tym rejonie? - zapytał nagle.

- To znaczy w jakim?

- W tym, w którym Amerykanie obserwowali różowe obłoki?

- O wiele dalej na zachód - uściślił Diaczuk. - Sprawdziłem to na mapie.

- Powiedziałem: „mniej więcej”. Różowe obłoki na ogół znajdują siłę w ruchu.

- Dzikie kaczkę także - zachichotał Tolek.

- Nie wierzycie, Diaczuk?

- Nie wierzę. To po prostu śmieszne - nie kłębiaste, nie pierzaste. Zresztą teraz nie ma ich w ogóle. - Popatrzył na bezchmurne niebo. - A może to obłoki warstwowe? Są podobne do nadtopionych od góry soczewek. A zaróżawia je słońce. No nie - gęste, ciemnoróżowe jak kisiel malinowy. Znacznie niżej niż chmury kłębiaste, wyglądają jak wydęte przez wiatr worki albo jak sterówce, którymi nikt

nie kieruje. Bzdury!

Chodziło o tajemnicze różowe obłoki, o których Amerykanie nadali z zimowiska Mac Murdoch komunikat przez radio. Obłoki te podobne do różowych sterowców przeszły nad wyspą Rossa, widziano je w rejonie szelfowego lodowca Shackletona i nad Ziemią Adeli, a jakiś amerykański lotnik napotkał je o trzysta kilometrów od Mirnego. Amerykański radiooperator w rozmowie z Kolą Samojłowem, który przyjmował ten komunikat, dodał od siebie: “Sam widziałem te cholerne obłoki. Pędzą po niebie jak świnki Disneya!”.

W mieście w Mirnym różowe obłoki nie cieszyły się powodzeniem. Częściej można było usłyszeć sceptyczne uwagi niż komentarze świadczące o poważniejszym zainteresowaniu. “Król wisusów” Zora Bruk z “klubu wesołych pomysłów” nacierał na flegmatycznego sejsmologa, weterana Antarktydy:

- Słyszeliście o latających talerzach?

- A bo co?

- A o bankiecie w Mac Murdoch?

- A bo co?

- Odprawialiście korespondenta “Life’u”, kiedy leciał do Nowego Jorku?

- A bo co?

- Bo nic. Tylko że za nim poleciały do redakcji różowe kaczki.

- Wiesz co? Całuj psa w nos!

Zora uśmiechał się, wyszukiwał następną ofiarę. Mnie oszczędził, nie uważał się widocznie za dostatecznie uzbrojonego do potyczki ze mną. Jadłem obiad z glaciologiem Ziernowem, który był ode mnie starszy zaledwie o osiem lat, ale mógł już pisać przed swoim nazwiskiem “prof.”. Cokolwiek by się o tym mówiło, każdy chciałby mieć stopień doktorski w trzydziestym szóstym roku życia, chociaż mnie, humaniście z zamiłowania, glaciologia nie wydawała się być tak bardzo ważną dla postępu ludzkości nauką. Kiedyś wyraziłem ten pogląd w rozmowie z Ziernowem.

Odpowiedział mi:

- A wiecie, ile jest na Ziemi lodu i śniegu? Na samej tylko Antarktydzie powierzchnia pancerza lodowego w zimie sięga dwudziestu dwóch milionów kilometrów kwadratowych, a w Arktyce jedenastu milionów plus Grenlandia i wybrzeża Oceanu Lodowatego. A dodajcie jeszcze do tego wszystkie szczyty górskie z wiecznym śniegiem i lodowce, nie licząc już zamarzających w zimie rzek. Ile to będzie razem? Mniej więcej jedna trzecia powierzchni wszystkich lądów. Kontynent lodowy jest dwakroć większy niż Afryka. To nie jest takie nieważne dla ludzkości.

Jak to się mówi - wzięły mnie te lody. Przełknąłem także serdeczne życzenia, żebym się czegoś

nauczył w czasie mego pobytu na Antarktydzie. Ale od tego czasu Ziernow obdarzał mnie swoją łaskawą uwagą, a w dniu, kiedy nadszedł komunikat o różowych obłokach, spotkawszy mnie na obiedzie od razu zaproponował:

- Chcecie odbyć małą przejażdżkę w głąb kontynentu? Ze trzysta kilometrów?

- W jakim celu?

- Zamierzamy sprawdzić, jak to jest z tym amerykańskim zjawiskiem. Wszyscy uważają to za mało prawdopodobne. Będziecie robili kolorowe zdjęcia, obłoki są przecież różowe.

- Wielkie rzeczy - powiedziałem - najbanalniejszy efekt optyczny.

- Nie wiem. Nie mogę kategorycznie temu zaprzeczyć. W komunikacie podkreśla się, że ich kolor nie zależy podobno od oświetlenia. Oczywiście można przyjąć, że jest tam jakaś domieszka aerosolu pochodzenia ziemskiego, albo, przypuśćmy, pochodzący z meteorytów pył z kosmosu. Zresztą interesuje mnie coś innego.

- Co?

- Stan lodów w tym rejonie.

Nie zapytałem wtedy, dlaczego interesuje go stan lodów w tym rejonie, ale przypomniałem sobie o tym, kiedy Ziernow rozmyślał na głos przed tajemniczą ścianą lodową. Najwyraźniej łączył ze sobą te dwie rzeczy.

W amfibii przysiadłem się do roboczego stolika Diaczuka.

- Dziwna ściana, dziwnie ścięta - powiedziałem. - Piłą ją ktoś spiłował czy jak? Ale co tu mają do rzeczy oblekli?

- Czemu łączysz z tym obłoki? - zdziwił się Tolek.

- To nie ja je łączę. Dlaczego Ziernow, zastanawiając się nad lodowcem, nagle napomknął o obłokach?

- Nie bądź za mądry. To rzeczywiście dziwny lodowiec, ale obłoki nic tu nie mają do rzeczy. Przecież nie są produktem lodowca.

- A gdyby tak było?

- Gdyby ciocia miała wąsy... Pomóż mi lepiej przygotować śniadanie. Jak myślisz - omlet z proszku czy konserwy?

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć. Nastąpił wstrząs i upadliśmy na podłogę. "Spadamy w przepaść, czy po prostu amfibia się obsunęła?" W tejże chwili straszliwe czołowe uderzenie odrzuciło nas do tyłu. Poleciałem na przeciwległą ścianę. Coś zimnego i ciężkiego zważyło mi się na głowę, straciłem



przytomność.

## SOBOWTÓRY

Ocknąłem się, ale niezupełnie, leżałem bowiem bez ruchu, nie mając siły otworzyć oczu. Pracowała tylko świadomość, a może raczej podświadomość - mętne, nieokreślone wrażenia przebiegały mi przez mózg, a równie nieokreślona i równie mętna myśl usiłowała je uściślić. Byłem chyba w stanie nieważkości, wydawało mi się, że płynę czy też wiszę nie w powietrzu nawet i nie w próżni, lecz w jakimś ciepłym bezbarwnym koloidzie, gęstym i niewyczuwalnym, a zarazem wypełniającym mnie bez reszty. Ów koloid przenikał przez pory skóry, przenikał do oczu i ust, wypełniał żołądek i płuca, mieszał się z krwią, a może nawet zmienił jej krążenie w moim ciele. Miałem dziwne, wszelako uparcie nie opuszczające mnie uczucie, że ktoś niewidzialny uważnie patrzy przez moje ciało, przygląda się ciekawie każdej komórce i każdemu nerwowi, zaziera do każdego zakątka mózgu. Nie odczuwałem ani strachu, ani bólu, spałem i nie spałem zarazem, śnił mi się bezsensowny, bezkształtny sen, a jednocześnie wiedziałem, że nie jest to sen.

Kiedy odzyskałem świadomość, dookoła było tak samo jasno i cicho. Z trudem uniosłem powieki, towarzyszył temu dotkliwy kłujący ból w skroniach. Tuż przed moimi oczyma wystrzelał w górę gładki, rdzawy, jak gdyby wypolerowany pień drzewa. Eukaliptus czy palma? A może maszt okrętowy, którego wierzchołka nie widziałem - nie byłem w stanie podnieść głowy. Namacałem coś twardego i zimnego, chyba kamień. Popchnąłem ten kamień, bezszelestnie odtoczył się w trawę. Moje oczy szukały zieleni trawnika w podmoskiewskim parku, ale trawnik ten nie wiedzieć czemu miał barwę ochry. Zaś z góry, z okna albo z nieba napływało tak oślepiająco białe światło, że pamięć podsunęła mi natychmiast zarówno obraz nieskończonej białej pustyni, jak i błękitny odblask ściany lodowej. Od razu wszystko sobie przypomniałem.

Pokonując ból uniosłem się i usiadłem, rozglądałem się dokoła, poznawałem wszystko. Brunatny trawnik to było linoleum, rudawy pień był nogą stołu, a kamień w zasięgu mojej ręki okazał się moją własną kamerą filmową. Z pewnością właśnie ta kamera uderzyła mnie w głowę, kiedy amfibia zaczęła spadać. Ale gdzie jest w takim razie Diaczuk? Zawołałem go, nie odpowiedział. Nie odpowiedzieli także na moje wołanie ani Ziernow, ani Czocheł. W ciszy nie przypominającej bynajmniej ciszy pokoju, w którym mieszkasz lub pracujesz, czytelniku - w którym zawsze kapie skądś woda, skrzypi podłoga, tyka zegarek albo brzęczy mucha, co przypadkowo wleciała z ulicy - słychać było tylko mój głos. Przyłożyłem rękę z zegarkiem do ucha - zegarek szedł. Było dwadzieścia po dwunastej.

Jakoś tam wstałem i przytrzymując się ściany podszedłem do kabiny nawigatora. Była pusta, ze stołu zniknęły nawet rękawiczki i lornetka, a z oparcia krzesła podbita futrem kurtka Ziernowa. Nie było także dziennika, który Ziernow prowadził podczas wyprawy. Wano zaginął, zniknęły także i jego rękawice i kurtka. Wyjrzałem przez iluminator czołowy, szkło ochronne iluminatora było stłuczone i wgięte do wewnątrz. A za iluminatorem białął gładki iskrzący śnieg, jakby nie zdarzyła się żadna katastrofa.

Ale pamięć nie oszukiwała mnie, ból głowy także mnie nie oszukiwał. W lustrze pokładowym zobaczyłem moją twarz z zaschniętą na czole krwią. Byłem ranny, ale kość została nienaruszona, rękojeść kamery zdarła tylko skórę. A więc coś się jednak zdarzyło. A może moi towarzysze znajdują się gdzieś nie opodal, na śniegu? Poszedłem do suszarni, obejrzałem zaciski na narty - nart nie było. Nie było także duralowych sanek. Zniknęły wszystkie kurtki, wszystkie czapki, została tylko moja

kurtka i moja czapka. Otworzyłem drzwi, zeskoczyłem na lód - lód przebłyskiwał błękitnawo spod zwiewanego przez wiatr sypkiego śniegu. Ziarnow miał rację, kiedy mówił o niezwykłości tak cienkiej pokrywy śnieżnej w głębi polarnego kontynentu.

Rozejrzałem się. Obok naszej „Charkowianki” stała jej siostra, równie wielka i piękna, równie przyprószona śniegiem. Dogoniła nas zapewne jadąc z Mirnego, a może spotkała nas w drodze powrotnej do Mirnego. Z pewnością udzieliła nam pomocy. Nasza amfibia wpadła bowiem rzeczywiście do szczeliny, w odległości dziesięciu metrów zobaczyłem ślad tego upadku - czarny otwór studzienny w maskującej szczelinę lodową firnowej skorupie. Chłopcy z tamtej amfibii musieli zauważyć naszą kraksę (na szczęście uwięźliśmy zapewne gdzieś w górnych partiach rozpadliny) i wyciągnęli na górę i nas, i nasz nieszczęsny pojazd.

- Hej! Jest tam kto? - zawołałem obchodząc tamtą amfibię od przodu.

Nikt nie ukazał się w żadnym z czterech iluminatorów, nie rozległ się żaden głos. Przyjrzałem się amfibii uważniej i zamarłem - amfibia - bliźniak miała identycznie jak nasza stłuczone i wgięte do wewnątrz szkło ochronne iluminatora czołowego. Spojrzałem na lewą gaśienicę - nasz transporter miał znak szczególny, jedno z kolczastych ogni gaśienicy przyspawane na nowo, wyraźnie odróżniało się od pozostałych. Takie samo ogniwo miała i ta amfibia. Stały przede mną nie bliźniaki z tej samej serii fabrycznej, ale sobowtóry, dokładne repliki w każdym szczególe. I otwierając drzwi „Charkowianki” sobowtóra zadrżałem w przeczuciu czegoś niedobrego.

Prieczucie mnie nie zawiodło. Pomost był pusty, nie znalazłem ani nart, ani sanek, tylko na haku wisiała samotnie moja skórzana kurtka na futrze. Właśnie moja kurtka. Takie samo zacerowane rozdarcie na lewym rękawie, tak samo powycierane futro na mankietach, dwie dobrze mi znane ciemne tłuste plamy na ramieniu - kiedyś dotknąłem ramienia dłonią umazaną w oleju maszynowym. Szybko wszedłem do kabiny i oparłem się o ścianę, żeby nie upaść - wydało mi się, że moje serce przestaje bić.

Na podłodze koło stołu... leżałem ja! Miałem na sobie ten sam brązowy sweter, te same watowane spodnie, moja twarz tak samo dotykała nogi stołu i tak samo przyschła krew na czole, dłoń tak samo dotykała kamery filmowej. Mojej kamery filmowej.

Być może, że to był sen, być może, że się jeszcze nie obudziłem i jakimś dodatkowym wzrokiem widziałem siebie samego leżącego na podłodze? Rąbnąłem pięścią w stół - zabolalo. Oczywiście, obudziłem się, to nie sen. W takim razie zwariowałem. Ale wiedziałem z przeczytanych książek i artykułów, że wariaci nigdy nie zdają sobie sprawy z tego, że ogarnął ich obłąd. W takim razie, co to jest? Halucynacja? Miraż? Dotknąłem ściany. Bynajmniej nie była widmowa. A więc nie byłem zjawą i ja, ten ja, który leżałem na podłodze u moich stóp. Bzdura, nonsens. Przypomniałem sobie swoje własne słowa o tajemnicach Królowej Śniegów. A może Królowa Śniegów jednak istnieje, może zdarzają się cuda, widmowe sobowtóry, a nauka to jedynie próba uspokojenia samego siebie?

Cóż zatem powinienem zrobić? Uciekać na złamanie karku, zamknąć się w mojej amfibii i czekać nie wiadomo na co, dopóki nie zwariuję ostatecznie? Przypomniałem sobie czyjeś powiedzenie: „jeżeli to, co widzisz, sprzeczne jest z prawami przyrody, to wiedz, że jesteś winien ty, a nie przyroda - to ty się mylisz”. Strach minął, zostało niezrozumienie i gniew i nie próbując nawet zachować ostrożności,

potrąciłem nogą leżącego. Jęknął, otworzył oczy. Potem uniósł się na łokciu, zupełnie tak samo jak przedtem ja, i usiadł, rozglądając się dokoła nieprzytomnie.

- A gdzie jest reszta? - zapytał.

Nie poznałem tego głosu, należał do mnie i nie do mnie zarazem, ściślej był to mój głos, ale w zapisie magnetofonowym. Ale do jakiego stopnia ta zjawa była identyczna ze mną, skoro ocknąwszy się myślała o tym samym, o czym myślałem ja.

- Gdzie oni są? - powtórzył i zawołał: - Tolek! Diaczuk!

Podobnie jak i mnie nikt mu nie odpowiedział.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziałem.

- Zdawało mi się, że amfibie zwały się do szczeliny lodowej. Poczuliśmy wstrząs, potem uderzenie, na pewno o ścianę lodową. Upadłem... Potem... Ale dokąd oni wszyscy poszli?

Nie poznawał mnie.

- Wano! - zawołał wstając;

I znowu odpowiedziała mu cisza. Wszystko, co się działo przed kwadrans, powtarzało się teraz w przedziwny sposób. Chwiejąc się podszedł do kabiny nawigacyjnej, obmacał puste siedzenie kierowcy, przeszedł do suszarni, nie znalazł tam, jak i ja, nart ani sanek, potem przypomniał sobie o mnie i zawrócił.

- A wy skąd jesteście? - zapytał przyglądając mi się i nagle odskoczył, zasłonił twarz dłonią. - To niemożliwe! Śnię czy co?

- Ja też tak myślałem... z początku - powiedziałem. Już się nie bałem.

Przysiadł na perlonowej kanapce.

- Wy... ty... przepraszam... o, do diabła... jesteś do mnie podobny jak moje własne odbicie w lustrze. Nie jesteś zjawą?

- Nie. Możesz mnie dotknąć, przekonasz się.

- Kim w takim razie jesteś?

- Jurij Pietrowicz Anochin. Kinooperator i radiotelegrafista ekspedycji - powiedziałem dobitnie.

Zerwał się.

- Nie! To ja jestem Jurij Pietrowicz Anochin, operator i radiotelegrafista wyprawy! - krzyknął i znowu usiadł.

Milczeliśmy teraz obaj przyglądając się sobie nawzajem - jeden spokojniejszy, bo widział już i wiedział odrobinę więcej, drugi z obłędem w oczach, powtarzający z pewnością wszystkie moje myśli, które przemknęły przez moją głowę, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłem.

W ciszy kabiny miarowo oddychali dwaj jednakowi mężczyźni.

## ROŻOWY OBŁOK

Nie pamiętam, jak długo to trwało. Wreszcie on przemówił pierwszy:

- Nic nie rozumiem.
- Ja także.
- Człowiek nie może się przecież rozdzielić.
- I mnie się tak wydawało.

Zamyślił się.

- A może jednak Królowa Śniegów istnieje?
- Powtarzasz się - powiedziałem. - Ja o tym pomyślałem już wcześniej. A nauka to tylko bzdury i próby uspokojenia samego siebie.

Roześmiał się, zmieszany, jak gdyby przywołał go do porządku starszy towarzysz. Rzeczywiście byłem starszy od niego. I natychmiast skorygowałem nasze wzajemne stosunki.

- No, dość tych żartów. To jakieś psychofizyczne złudzenie. Nie mogę się jeszcze zorientować, jakie mianowicie. Ale złudzenie. Wiesz co? Chodźmy do kabiny Ziernowa.

Zrozumiał mnie w pół słowa - był przecież moim odbiciem. Jednocześnie obaj pomyśleliśmy o tym samym - czy mikroskop wyszedł cało z awarii? Okazało się, że ocalał, stał na swoim miejscu w szafce. Nie potłukły się także szkiełka do preparatów. Mój sobowtór wyjął je niezwłocznie z pudełeczka. Porównaliśmy nasze dłonie - nawet odciski i zadry skóry mieliśmy identyczne.

- Zaraz sprawdzimy - powiedziałem.

Każdy z nas nakłuł sobie palec, rozmazał krew na szkiełku i porównaliśmy oba preparaty pod mikroskopem. Krew również obaj mieliśmy identyczną.

- Ten sam materiał - uśmiechnął się - moja kopio.
- To ty jesteś kopią.
- O nie, ty.
- Poczekaj - powstrzymałem go - a kto cię zaprosił do wzięcia udziału w wyprawie?
- Ziernow. A któż by?
- A po co?
- Wypytyjesz mnie, żeby potem powiedzieć to samo?

- Po co? Sam ci mogę podpowiedzieć. Chodziło o różowe obłoki, prawda?

Zmrużył oczy coś sobie przypominając i zapytał chytrze:

- A do jakiej szkoły chodziłeś?

- Skończyłem instytut.

- Ale ja pytam o szkołę. O numer szkoły. Czyżbyś zapomniał?

- To ty zapomniałeś. Ja chodziłem do siedemset dziewiętej.

- Powiedzmy. A kto tam u nas siedział na ostatniej ławce z lewej strony?

- Dlaczego mnie egzaminujesz?

- Taka mała kontrola... Więc nie pamiętasz Lenki? Nawiasem mówiąc Lenka wyszła potem za męża.

- Za Fibicha - powiedziałem.

Westchnął.

- A więc i życiorys mamy ten sam.

- Mimo wszystko jestem przekonany, że jesteś kopią, widmem i przywidzeniem - rozgniewałem się ostatecznie. - Kto się pierwszy ocknął? Ja. Kto pierwszy zobaczył, że są dwie "Charkowianki"? Też ja.

- Jak to dwie? - zapytał.

Zachichotałem triumfująco. Mój priorytet został potwierdzony w sposób niepodważalny.

- Tak to, że obok stoi druga. Prawdziwa. Możesz ją sobie obejrzeć.

Przywarł do bocznego iluminatora, obejrzał się, spojrzął na mnie niepewnie, potem w milczeniu włożył kopię mojej kurtki i wyszedł na lód. Tak samo przyspawane ogniwo gaśienicy, tak samo wgniecione szkło iluminatora sprawiły, że się zasepił. Ostrożnie zajrzał na pomost, poszedł do kabiny nawigacyjnej, wrócił do stolika, na którym leżała moja kamera filmowa. Dotknął kamery.

- Bliźniaczka - powiedział posępnie.

- Jak widzisz. I ja i ona urodziliśmy się wcześniej.

- Ty tylko ocknąłeś się wcześniej - nachmurzył się - a który z nas jest właściwy, jeszcze nie wiadomo. Ja to zresztą wiem.

- A może on ma rację? - pomyślałem. - Może to właśnie ja a nie on jest sobowtórem i zjawą? I któż to, u diabła jest w stanie rozstrzygnąć, skoro mamy nawet tak samo połamane paznokcie i tych samych

kolegów ze szkoły? Nawet nasze myśli się dublują, nawet nasze uczucia, jeśli bodźce zewnętrzne są takie same.

Patrzyliśmy na siebie, jak gdybyśmy patrzyli w lustro. Ze też coś takiego mogło się zdarzyć.!

- Wiesz, o czym teraz myślę? - powiedział nagle.

- Wiem - odpowiedziałem. - Chodź, zobaczymy.

Wiedziałem, o czym pomyślał, bo i ja pomyślałem o tym samym. Skoro na lodzie stoją dwie „Charkowianki” i skoro nie wiadomo, która z nich wpadła w szczelinę lodową, to dlaczego obie mają rozbite iluminatory? A jeżeli obie wpadły w szczelinę, to jak się w takim razie z niej wydostały?

W milczeniu pobiegliśmy do wyrwy w skorupie firnu. Położyliśmy się na brzuchach, podczołgaliśmy się nad samą krawędź szczeliny lodowej i od razu wszystko zrozumieliśmy. Tylko jedna amfibia wpadła do szczeliny, były bowiem ślady upadku jednego tylko pojazdu. Ugrzęzła o jakie trzy metry poniżej krawędzi szczeliny, pomiędzy jej zbliżającymi się do siebie ścianami. Zobaczyliśmy także stopnie wyrąbane w lodzie zapewne przez Wano albo przez Ziernowa, przez tego z nich, który pierwszy zdołał się wydostać. A zatem druga „Charkowianka” zjawiała się już po katastrofie pierwszej. Ale kto w takim razie wyciągnął tę pierwszą? Przecież sama nie mogłaby się wydostać ze szczeliny.

Jeszcze raz spojrzałem w przepaść. Czerniała coraz to głębsza, złowieszcza, bezdenna. Wyszukałem kawałek lodu odłupany od krawędzi szczeliny, odkruszony zapewne kilofem, którym wyrąbywano schodki, i cisnąłem go w przepaść. Natychmiast zniknął z pola widzenia, ale nie usłyszałem upadku. Przemknęła mi przez głowę myśl - a gdyby tak zepchnąć tam i tego narzuconego mi sobowtóra? Podbiec, chwycić go za nogi...

- Nie wyobrażaj sobie, że to ci się uda - powiedział.

Zmieszałem się najpierw, potem zrozumiałem.

- Ty też o tym pomyślałeś?

- Oczywiście.

- No cóż, zmierzmy się. Któryś z nas powinien przecież zniknąć.

Staliśmy naprzeciw siebie, rozeźleni, zacierzewieni, rzucaliśmy na śnieg jednakowe cienie. I nagle obydwu nam zachciało się śmiać.

- Farsa - powiedziałem. - Kiedy wrócimy do Moskwy, będą nas pokazywali w cyrku. Anochin do kwadratu.

- Dlaczego w cyrku? W Akademii Nauk. Nowy fenomen, coś jak różowe obłoki.



- Przecież jesteś przekonany, że nie ma żadnych różowych obłoków.

- Tak samo jak ty.

Spojrzałem na niebo i zamarłem. On również uniósł głowę i podobnie jak ja znieruchomiał z otwartymi ustami.

Na matowym błękitnie nieba ukazał się różowy obłok. Jeden jedyny, nie miał sąsiadów ani towarzyszy podróży, był jak plama z wina na obrusie. Zbliżał się do nas niezmiernie powoli, bardzo nisko, znacznie niżej niż chmury burzowe i bynajmniej nie przypominał obłoku. Nie porównałbym go ze sterowcem. Najbardziej ze wszystkiego obłok ten przypominał kawałek rozwałkowanego na stolnicy ciemnoróżowego ciasta albo puszczonego na niebo duży malinowy latawiec. Dziwnie podrygując, pulsując zniżał się skośnie ku ziemi jak gdyby był istotą żywą.

- Meduza - powiedział mój "dubler" powtarzając moją własną myśl - żywa, różowa meduza. Tyle że bez macek.

- Nie powtarzaj moich głupich myśli. To jest rzecz, a nie żywe stworzenie.

- Tak sądzisz?

- Podobnie jak ty. Przyjrzyj się uważniej.

- Ale czemu tak podryguje?

- Kłębi się. To przecież gaz albo para wodna. Zresztą może nie wodna. A może... pył - dorzuciłem bez przekonania.

Malinowy latawiec zatrzymał się dokładnie nad nami i zaczął się zniżać. Był o pięćset metrów od nas, nie wyżej. Jego rozedrgane krawędzie odchyłały się ku dołowi i ciemniały. Latawiec przekształcał się w dzwon.

- Co za bęcwał ze mnie! - krzyknąłem, pomyślawszy o kamerze. - Przecież trzeba to sfilmować.

I rzuciłem się ku swojej "Charkowiance". Sprawdzenie, czy kamera działa i czy kasetę z kolorowym filmem nie jest uszkodzona zajęło mi nie więcej niż minutę. Zacząłem filmować od razu, w otwartych drzwiach, potem zeskoczyłem na lód, obiegłem obie amfibie i znalazłem inne stanowisko do robienia zdjęć. I dopiero wtedy zauważyłem, że mój "alter ego" nie ma kamery, że stoi i niepewnie przygląda się mojej krzątaninie.

- Czemu nie filmujesz? - krzyknąłem, nie odrywając oka od wizjera.

- Nie... wiem. Coś mi nie pozwala... nie mogę.

- Co to znaczy: "nie mogę"?

- Nie mogę... tego wytłumaczyć.

Przyjrzałem mu się, zapominając nawet o napowietrznym zjawisku. Nareszcie jest między nami jakaś różnica, i to zasadnicza! A więc nie jesteśmy tak zupełnie identyczni. On przeżywa teraz coś, czego ja w ogóle nie odczuwam. Jemu coś przeszkadza, ja zaś czuję się zupełnie swobodnie. Nie namyślając się długo uchwyciłem go w kadr i sfilmowałem stojącego na tle bliźniaczej amfibii. Na moment zapomniałem nawet o różowym obłoku, ale on mi o nim przypomniał.

- Pikuje na nas!

Malinowy dzwon nie zniżał się już, ale po prostu spadał. Instynktownie odskoczyłem.

- Zwiewaj! - krzyknąłem.

Mój nowo narodzony bliźniak poruszył się wreszcie, nie pobiegł jednak, tylko jakoś tak dziwnie podreptał do swojej „Charkowianki”.

- Dokąd?! Zwariowałaś?!

Dzwon spadał wprost na niego, ale on mi nawet nie odpowiedział. Znowu przywarłem do wizjera - nie mogłem przecież przegapić takich kadrów. Teraz nie czułem już nawet strachu. Żaden operator nigdy nie sfilmował czegoś takiego.

Obłok wyraźnie zmniejszył swoje rozmiary i pociemniał. Przypominał teraz odwrócony rozwinięty kielich olbrzymiego kwiatu tropikalnego. Dzieliło go od ziemi najwyżej jakie sześć albo siedem metrów.

- Uważaj! - krzyknąłem.

Zupełnie nie pamiętałem o tym, że on również jest zjawą a nie żywym człowiekiem, i gigantycznymi, niezwykle dla mnie skokami pobiegłem mu na pomoc. Jak się potem okazało i tak nie mógłbym mu pomóc, ale te skoki zmniejszyły dzielącą nas odległość o połowę. Jeszcze kilka takich skoków i znalazłbym się obok niego. Ale coś mnie powstrzymało, ba, nawet odrzuciło ku tyłowi, coś jak uderzenie fali albo podmuch huraganu. Omal nie przewróciłem się, ale utrzymałem się na nogach, nie wypuściłem nawet kamery z rąk. A niesamowity kwiat dotknął tymczasem ziemi i jego płatki, teraz już nie malinowe, ale purpurowe, przedziwnie pulsując okryły oba sobowtóry - amfibię i tego, który był mną. Jeszcze sekunda i dotknęły przyprószonego śniegiem lodu. Teraz obok mojej „Charkowianki” wznosił się dziwny purpurowy pagórek. Wyglądało, jakby się pienił czy też kipiał i otulała go zwiewna malinowa mgiełka. Coś, co przypominało wyładowania elektryczne, rozjarzało się w niej pożłocistymi iskierkami. Ciągle filmowałem starając się jednocześnie podejść jak najbliżej. Krok... jeszcze krok... jeszcze krok... Moje nogi w niezrozumiały sposób stawały się coraz cięższe, jak gdyby uginały się pode mną, przyciągane przez pole lodowe. Niewidzialny magnes tego pola zdawał się rozkazywać mi: „Stop! Ani kroku dalej!” Stałem więc.

Wzgórek odrobinę się rozjaśnił, nie był już purpurowy, znowu zrobił się malinowy i nagle lekko poderwał się do góry. Rozrósł się odwrócony kielich kwiatu, jego poróżowiałe brzegi powoli odchyłały się ku górze. Dzwon przekształcał się znowu w latawca, zaś różowy obłok stał się grzybem gęstego skłębionego gazu unoszonym przez wiatr. Nie zabrał z ziemi niczego, w jego ulotnym

kształcie nie widać było żadnych zagęszczeń, a jednak na polu lodowym stała teraz samotnie tylko moja "Charkowianka". I jej zagadkowy sobowtór, i "drugi Anochin" zniknęli równie nagle, jak się pojawili. Tylko na śniegu widać było jeszcze ślady szerokich gąsienic, wiatr jednak już je zawiewał. Zniknął także "obłok", skrył się gdzieś poza krawędzią ściany lodowej. Popatrzyłem na zegarek. Od chwili kiedy ocknąwszy się spojrzałem nań po raz pierwszy, minęły trzydzieści trzy minuty.

Doznawałem niezwykłego uczucia ulgi, wywołanej tym, że zniknęło z mojego życia coś niezmiernie strasznego, strasznego, bo nie dającego się wyjaśnić i tym straszniejszego, że powoli zaczynałem już się przyzwyczajać do jego zagadkowości. Zniknęła również owa niewidzialna przegroda, która nie pozwalała mi się zbliżyć do mojego sobowtóra. Teraz bez żadnych przeszkód podszedłem do amfibii śnieżnej i przysiadłem na jej żelaznym stopniu ani myśląc o tym, że na mrozie przymarzną do żelaza. Nic mnie już nie zaprzątało prócz myśli o tym, jak wytłumaczyć ów półgodzinny koszmar. Opierając twarz na dłoniach pytałem na głos po raz drugi, trzeci i dziesiąty:

- Cóż więc się stało po katastrofie?

# KTOŚ CZY COŚ?

I odpowiedziano mi:

- Najważniejsze, że żyjecie, Anochin. Prawdę mówiąc byłem przygotowany na najgorsze.

Podniosłem głowę. Stali przede mną Ziernow i Tolek. Mówił Ziernow, Tolek przestępował z nogi na nogę na nartach i machał kijkami. Jak zawsze gruby i kudłaty stracił teraz, jak się zdawało, cały swój ironiczny sceptycyzm, był wesoły i podniecony jak dziecko.

- Skądżeście się wzięli? - zapytałem.

Byłem tak wyczerpany i znużony, że nie miałem nawet dość sił, by się uśmiechnąć.

Tolek zaterkotał:

- Jesteśmy tu bliźutko. No, jakieś półtora kilometra, najwyżej dwa. Rozbiliśmy namiot...

- Poczekajcie, Diaczuk - przerwał mu Ziernow - o tym zdążycie jeszcze powiedzieć. Jak się czujecie, Anochin? Jakżeście się stamtąd wydostali? Dawno?

- Tyle pytań naraz - powiedziałem. Z trudem poruszałem językiem, jak gdybym był pijany. - Zaraz, po kolei... Czy dawno się wydostałem? Nie wiem. Jak się wydostałem? Tego także nie wiem. Jak się czuję? W ogóle to dość normalnie. Żadnych kontuzji, niczego sobie nie połamałem.

- A moralnie?

Uśmiechnąłem się wreszcie, ale musiał to być jakiś kwaśny i nieszczerzy uśmiech, bo Ziernow natychmiast zapytał znowu:

- Czyżbyście sądzili, żeśmy was tu porzucili na pastwę losu?

- Ani przez chwilę tak nie myślałem - powiedziałem - ale przeżyłem tu dziwne rzeczy.

- Widzę - Ziernow obejrzał naszą nieszczęsną "Charkowiankę". - Okazało się, że to mocna sztuka. Tylko maleńkie wgnięcia. Kto was wyciągnął?

- Nie mam pojęcia - powiedziałem. - Ocknąłem się już tu, na równinie.

- Borysie Arkadiewiczu! - zawołał nagle Tolek. - Jest tylko jeden pojazd. A zatem drugi już odjechał. Mówiłem przecież - amfibia śnieżna albo traktor. Zaczepili stalową linę i rrraz, dwa - hopla!

- Wyciągnęli i odjechali? - powątpiewał Ziernow. - Nie zabierając z sobą Anochina, nie udzielając mu pomocy? Dziwne, bardzo dziwne.

- Może nie mogli się go docucić? Albo może byli przekonani, że nie żyje? Może zresztą jeszcze wrócą, ich obozowisko jest z pewnością gdzieś tutaj w pobliżu.

Miałem dosyć tego fantazjowania Diaczuka.

- Przymknij się, jasnowidzu! - skrzywiłem się. - Nawet dziesięć traktorów nie dałoby tu rady. Lin także nie było. A ta druga amfibia wcale nie odjechała, tylko zniknęła.

- A więc jednak była druga amfibia? - zapytał Ziernow.

- Była.

- Co to znaczy: „zniknęła”? Uległa zniszczeniu? - W pewnym sensie. W dwóch słowach nie da się tego opowiedzieć. To był sobowtór naszej „Charkowianki”. Nie, nie identyczny egzemplarz z tej samej serii, tylko sobowtór. Zjawa. Widmo. Ale widmo realne, materialne.

Ziernow słuchał uważnie, z zainteresowaniem. Jego oczy nie mówiły bynajmniej: wariat, obłąkany, trzeba cię dostarczyć do czubków!

Za to Diaczuk najwyraźniej nie skąpił mi w myślach stosownych epitetów, na głos zaś powiedział:

- Ty to zupełnie jak Wano. Obu wam nie wiadomo co się zwiduje. Przybiegł, rozumiesz, i krzyczy: „Tam są dwie amfibie i dwóch Anochinów!” I zęby mu dzwonią.

- Ty byś w takim wypadku zmykał szybciej niż zajac! - przerwałem mu. - Nic się nikomu nie zwidowało. Były dwie „Charkowianki” i dwóch Anochinów.

Tolek otworzył usta, ale nic nie powiedział, tylko popatrzył na Ziernowa, ten jednak nie wiedząc czemu odwrócił wzrok. Zamiast odpowiedzieć wskazał ruchem głowy znajdujące się za moimi plecami drzwi i zapytał:

- Tam - wszystko w porządku?

- Chyba tak, choć nie sprawdzałem dokładnie - odpowiedziałem.

- W takim razie zrobmy sobie śniadanie. Nie macie nic przeciwko temu? Już od dawna nic przecież nie jedliśmy.

Zrozumiałem psychologiczny manewr Ziernowa - chciał mnie uspokoić, byłem okropnie zdenerwowany, chciał stworzyć odpowiednie sprzyjające warunki do rozmowy. Przy stole, kiedy pochłanialiśmy z apetytem paskudny omlet sporządzony przez Tolka, kierownik wyprawy pierwszy powiedział o tym, co zaszło bezpośrednio po katastrofie na równinie.

Kiedy nasza amfibia śnieżna przebiwszy zdradzieczą skorupę zamrożonego śniegu zwała się w szczelinę i utknęła w niej na stosunkowo niewielkiej głębokości zaklinowana pomiędzy ścianami lodowego wąwozu to, choć uderzenie było bardzo silne, ucierpiało jedynie szkło czołowego iluminatora. W kabinie nie zgasło nawet światło. Tylko ja i Diaczuk straciliśmy przytomność. Ziernow i Czocheł utrzymali się na swoich miejscach, wymigali się kilkoma tylko zadrapaniami i zaczęli przede wszystkim cucić mnie i Tolka. Diaczuk ocknął się od razu, miał tylko zawrót głowy i nogi jak z waty. „Niewielki wstrząs mózgu - powiedział - to minie. Zobaczmy lepiej, co z

Anochinem”. Odezwał się w nim lekarz. Podprowadzili go i we trójkę starali się przywrócić mi przytomność. Ale ani amoniak, ani sztuczne oddychanie nie pomagały. “Moim zdaniem to jest szok” - powiedział Tolek. Wano, który zdążył już przez górny luk wyjść na dach amfibii, zakomunikował, że będziemy mogli bez trudu wydostać się z tej szczeliny. Ale Tolek zaprotestował przeciwko wynoszeniu mnie z kabiny: „Teraz trzeba uważać, żeby się nie przeziębiał. Moim zdaniem szok przechodzi już w sen, a sen wzmocni hamowanie pozakresowe”. Powiedziawszy to Tolek o mało co nie zwał się na ziemię, ponieważ znowu stracił przytomność, więc ewakuowanie pojazdu postanowiono zacząć właśnie od niego, mnie pozostawiając na razie w kabinie. Zabrali narty, sanki, namiot, piecyk przenośny i brykiety, latarki i część zapasów żywności. Chociaż amfibia utknęła na dobre i nie było obaw o to, że osunie się głębiej, nikt jednak nie miał ochoty pozostawać nad przepaścią. Ziernow przypomniał sobie wgłębienie w ścianie lodowca przypominające naturalną grotę. Postanowili, że przeniosą najpierw Tolka, rozbiją namiot, postawią piec, a potem wrócą po mnie. Dosłownie w pół godziny później byli już w grocie. Ziernow z Totkiem, który tymczasem poczuł się już zupełnie dobrze, zostali, aby rozbić namiot, Wano zaś z pustymi sankami wrócił po mnie. Właśnie wtedy stało się to, co uznali za przejściowe osłabienie władz umysłowych Wano. Nie minęła godzina, a Wano przybiegł z powrotem z obłędem w oczach, rozdygotany i nieprzytomny ze zdenerwowania. Amfibia, jak twierdził, nie znajduje się już w szczelinie, ale na polu lodowym, a obok niej stoi druga, identyczna, i ta druga ma tak samo wgniecione szkło czołowe. I w każdej z tych dwóch amfibii Wano znalazł w kabinie mnie, leżącego na podłodze i nieprzytomnego. Wówczas wrzasnął z przerażenia, był bowiem pewien, że oszalał, i pobiegł z powrotem, a kiedy dobiegł do towarzyszy, wychylił duszkiem pełną szklankę spirytusu i kategorycznie odmówił ponownej wyprawy. Poszedł po mnie zatem Ziernow z Totkiem.

Opowiedziałem im w zamian swoją historię. Słuchali mnie bez niedowierzania, chciwie, tak jak dzieci słuchają bajki, na twarzy żadnego z nich nie zauważyłem ani śladu sceptycznego uśmiechu, tylko Diaczuk co chwila podskakiwał niecierpliwie i mruczał: „gadanie...” a oczy ich obu błyszczały tak, że kusilo mnie, by doradzić im powtórzenie doświadczenia Warno ze szklanką spirytusu. Ale kiedy skończyłem, obaj długo milczeli, woleli najwidoczniej, abym ja sam im to wszystko wyjaśnił.

Ja jednak milczałem.

- Nie gniewaj się, Jurek - powiedział wreszcie Diaczuk i zaczął mamrotać: - Czytałem pamiętnik Scotta czy coś w tym rodzaju, dokładnie już nie pamiętam. Z grubsza rzecz ujmując - samohipnoza. Halucynacje śniegowe. Białe sny.

- Wano także miał to? - zapytał Ziernow.

- Oczywiście. Ja, jako medyk...

- Co z ciebie za medyk - przerwał mu Ziernow - dajmy temu spokój. Jest tu zbyt dużo niewiadomych, by tak od razu móc rozwiązać to równanie. Zacznijmy od pierwszej niewiadomej. Kto wyciągnął amfibię? Z głębokości sześciu metrów, w dodatku ściśniętą w takim imadle, jakiego próżno by szukać w fabrykach... Nawiasem mówiąc ten drobiazg waży trzydzieści pięć ton. I czym ją wyciągnięto? Na linach? Bzdura! Stalowe liny musiałyby pozostawić ślady na obudowie. A gdzież te ślady?

Wstał i milcząco przeszedł do swojej kabiny nawigacyjnej.

- Ale przecież to bzdury, Borysie Arkadiewiczu! - zawołał w ślad za nim Tolek.

Ziernow odwrócił się.

- Co macie na myśli?

- Jak to co? Przygody Anochina. Nowy baron Munchhausen. Sobowtóry, obłoki, kwiat-wampir, tajemnicze zniknięcie.

- Wydaje mi się, Anochin, że trzymaliście w ręku kamerę, kiedyśmy tu podchodzili - powiedział Ziernow. - Czy filmowaliście coś?

- Wszystko - powiedziałem. - Obłok, zniknięcie „Charkowianki”, sobowtóra. Mam z dziesięć minut filmu.

Tolek mrugał, ciągle jeszcze gotów wznowić spór. Nie zamierzał się poddać.

- Zaraz to zobaczycie - usłyszeliśmy głos Ziernowa. - Spójrzcie w iluminator.

O jakie pół kilometra nad równiną płynął ku nam malinowy racuch. Niebo zasnuło się już pierzastymi białymi nićmi i na ich tle racuch ów był jeszcze mniej podobny do obłoku. Diaczuk krzyknął i podskoczył ku drzwiom, my za nim. Obłok nie zmieniając kursu przepłynął nad nami gdzieś na północ, tam gdzie skręcała lodowa ściana. „W stronę naszego namiotu” - szepnął Tolek i podszedł do mnie.

- Wybacz, Jurek - powiedział i wyciągnął rękę. - Okazuje się, że cała ta sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana...

Bynajmniej nie miałem ochoty triumfować.

- To w ogóle nie jest obłok - ciągnął zamyślony Tolek, snując jakąś myśl, która go zaniepokoiła. - W znaczeniu zwykłej kondensacji pary wodnej. To nie żadne kropelki ani kryształki. W każdym razie na pierwszy rzut oka. Dlaczego sunie tak nisko nad ziemią? Dlaczego ma taką dziwną barwę? Gaz? Wątpię. Nie jest to także pył. Pobrałbym próbkę, gdybyśmy mieli samolot.

- Akurat, pozwoliłby ci się zbliżyć - powiedziałem, pamiętając o niewidzialnej przegrodzie i o tym, jak próbowałem ją pokonać z kamerą. - Przyciska do ziemi jak na ostrym wirażu. Myślałem, że mam magnetyczne podeszwy.

- Sądzisz, że ten obłok jest żywy?

- Może i żywy.

- Jakaś istota?

- Któż to może wiedzieć... Może i istota - przypomniałem sobie swoją rozmowę z moim sobowtórem i dodałem: - To pewne, że jest zdalnie sterowany.

- W jaki sposób?

- To już ty powinieneś wiedzieć. Jesteś meteorologiem.

- Uważasz, że ten obłok ma coś wspólnego z meteorologią?

Nie odpowiedziałem. A kiedy wróciliśmy do kabiny, Tolek powiedział nagle coś zupełnie niesłuchanego:

- A jeżeli są to jacyś nie znani nauce mieszkańcy pustyni lodowych?

- Genialne - powiedziałem - w dodatku w stylu Conan Doyle'a. Odważni podróżnicy odkrywają nieznaną cywilizację na równinie antarktycznej. Kto będzie lordem Rockstone? Ty?

- To niezbyt mądre. Wyłóż swoją hipotezę, jeżeli ją masz.

Tak sprowokowany powiedziałem pierwsze lepsze, co mi przyszło do głowy:

- To raczej jakieś mechanizmy cybernetyczne.

- Skąd?

- Z Europy oczywiście. A może z Ameryki. Ktoś je wynalazł i wypróbowuje tutaj.

- A do czego służą?

- Na początek mogą być używane, powiedzmy, jako ekskawatory dla wydobywania i podnoszenia ciężkich ładunków. "Charkowianka" nadawała się do eksperymentu, więc ją wyciągnęli.

- Po co zatem ją zdublowano?

- Możliwe, że są to nieznane nam urządzenia służące do reprodukcji dowolnych struktur atomowych, białkowych i krystalicznych.

- Ale po co... po co? Nie rozumiem...

- Zdolność rozumienia u ludzi! cierpiących na niedorozwój mózdzka według danych Baudouina zmniejsza się o czternaście do dwudziestu trzech procent. W twoim wypadku - mniej więcej o piętnaście. Zestaw fakty i pomyśl, poczekam. Jest jeszcze jeden istotny element hipotezy.

Tolek tak bardzo chciał zrozumieć wszystko jak najprędzej, że bez mrugnięcia okiem przełknął i Baudouina, i procenty.

- Poddaję się - powiedział. - Jaki element?



- Sobowtóry - oświadczyłem. - Byłeś na najlepszej drodze do poznania prawdy, kiedy wspomniałeś o samohipnozie. Ale - załedwie na drodze. Prawda leży zupełnie gdzie indziej. To nie samohipnoza tylko interwencja w opracowywanie informacji. Tak naprawdę nie było żadnych sobowtórów. Ani drugiej "Charkowianki", ani drugiego Anochina, ani sobowtórów różnych przedmiotów, jak na przykład moja kurtka albo kamera. „Obłok” przekształcił moją psychikę, spowodował rozdwojenie postrzegania świata. A co za tym idzie rozdwojenie osobowości, ponury nastrój, złe samopoczucie.

- A jednak twoja hipoteza ma jedną wadę - nie wyjaśnia ani fizykochemicznej natury tych urządzeń, ani ich bazy technicznej, ani celów, dla których zostały skonstruowane i użyte.

Nazwać hipotezą te bzdury, które plotłem, można było tylko w malignie. Wymyśliłem je pośpiesznie, od ręki, byle nie dać Tolkowi ostatniego słowa, a kontynuować tę bzdurę kazał mi upór. Dla mnie samego było oczywiste, że hipoteza taka niczego nie wyjaśnia, że co najważniejsze nie udziela odpowiedzi na pytanie, dlaczego sobowtóry istniejące tylko w mojej świadomości musiały zostać fizycznie unicestwione, dlaczego w dodatku nie dopuszczono mnie do owego tajemniczego laboratorium. To, co wymyśliłem, było całkowicie uzależnione od wywołania taśmy filmowej. Jeżeli obiektyw zarejestrował wszystko, co widziałem, to moja tak zwana hipoteza nie nadawała się nawet na anegdotę.

- Rozstrzygnijcie nasz spór - błagał Ziernowa Tolek.

- Po co? - odpowiedział Ziernow, który, jak się wydawało, w ogóle nie słuchał tego, co mówiliśmy.  
- Anochin ma nader bujną wyobraźnię. To bardzo cenne i dla artysty, i dla uczonego.

- Anochin już wysunął hipotezę.

- Każda hipoteza musi zostać sprawdzona.

- Ale każda hipoteza musi być choć trochę prawdopodobna.

- Słabość hipotezy Anochina - zgodził się z nim Ziernow - polega na tym, że nie tłumaczy ona sprawy lodów w naszym rejonie. Ta hipoteza nie może wyjaśnić, kto i po co usunął dziesiątki, a może nawet setki kilometrów sześciennych lodu.

Sens tej wypowiedzi nie dotarł do nas, więc Ziernow, który najwidoczniej to zauważył, wyjaśnił łaskawie:

- Jeszcze przed katastrofą zwracałem wam uwagę na idealnie równy uskok ściany lodowej, która nie wiedzieć skąd się wzięła i nie wiadomo jak daleko się ciągnie. Wydało mi się, że ten uskok powstał sztucznie. Pod naszymi stopami lód był także sztucznie wygładzony, już wtedy zauważyłem, jak cienka i sypka była warstwa leżącego na nim śniegu. Prześladowuje mnie myśl, że o kilkadziesiąt kilometrów stąd może znajdować się taka sama, równoległa do naszej ściana lodowa. Oczywiście, jest to tylko domysł. Ale jeśli ten domysł miałby się okazać słuszny, to jaka siła byłaby w stanie wyciąć i przenieść taką tafłę lodu? Obłok? Powiedzmy. Nie znamy przecież jeszcze jego możliwości. Ale obłok europejskiego czy też amerykańskiego pochodzenia? - Wzruszył ramionami z niedowierzaniem - Powiedzcie mi w takim razie, Anochin, komu były potrzebne i gdzie się podziały

te miliony ton lodu.

- Ale czy je stąd wydobyto, Borysie Arkadiewiczu? Waszym zdaniem ten przerębelski ma dwa brzegi? Na jakiej podstawie tak sądzicie? - broniłem się. - Gdzie są w takim razie przecięcia poprzeczne? Zresztą wygodniej by przecież było wyjmować tę taflę przy skośnych nacięciach. Kopać w jednym miejscu, głębiej, wykopać krater...

- Oczywiście, gdyby się nie pamiętało o potrzebach komunikacji po kontynencie. A oni zapewne nie chcieli utrudniać komunikacji. Dlaczego? Za wcześnie jeszcze, żeby wyciągać wnioski, wydaje mi się wszakże, że oni nie są wrogo wobec nas usposobieni, raczej są nam życzliwi. A poza tym komuż to łatwiej byłoby wydobywać lód w ten a nie inny sposób? Mnie, wam? My postawilibyśmy bariery ochronne, wywiesilibyśmy tabliczki ze strzałkami, nadalibyśmy komunikat radiowy? A może oni nie mogli albo nie umieli tego zrobić?

- "Oni" to znaczy kto?

- Nie konstruję hipotez - oschle powiedział Ziernow.

W krótką podróż do namiotu zabrałem kamerę filmową, ale “obłok” już się nie ukazał. Na naradzie wojennej postanowiono, że bazę przeniesiemy z powrotem do kabiny amfibii, że usuniemy uszkodzenia i pojedziemy dalej. Otrzymaliśmy zezwolenie na kontynuowanie poszukiwań różowych “obłoków”. Przed naradą połączyłem Ziernowa z Mirnym. Ziernow zwięźle zameldował o awarii, o widzianych przez nas “obłokach” i o pierwszych ich zdjęciach, jakie już zrobiłem. Nie raportował jednak o sobowtórach i innych tajemniczych historiach. “Za wcześnie” - powiedział mi.

Nie znaleźliśmy w namiocie Wano, za to panował tu niepojęty bałagan - piecyk i skrzynia z brykietami były przewrócone, na ziemi poniewierały się narty, a nie opodal wejścia - skórzana kurtka kierowcy. Wszystko to zdziwiło nas i zaniepokoiło. Nie odpinając nart ruszyliśmy na poszukiwania i znaleźliśmy Czocheli pod ścianą lodową, niedaleko od namiotu. Leżał na śniegu, był tylko w swetrze. Jego nie ogolone policzki i czarna czupryna przyprószone były śniegiem. W odrzuconym ręku zaciskał nóż, na nożu były ślady zamarzonej krwi. Koło jego ramienia różowiała na śniegu niewyraźna plama. Śnieg dookoła był zdeptany, ale jedyne ślady, jakie udało nam się znaleźć, to były ślady butów Wano - “zawsze kupował buty numer czterdzieści pięć”.

Czocheli żył. Kiedyśmy go unieśli, jęknął, ale nie otworzył oczu. Ja, jako najsilniejszy, niosłem go na plecach, a Tolek pomagał mi. W namiocie ściągaliśmy z niego ostrożnie sweter - rana była niegroźna, krwi stracił niewiele, krew zaś na ostrzu noża musiała być krwią jego nieznanego przeciwnika. Niepokoiła nas zatem nie utrata krwi, ale niebezpieczeństwo odmrożeń - nie wiedzieliśmy, jak długo tam leżał. Mróz jednak był lekki, a Wano miał mocny organizm. Natarliśmy chłopaka spirytusem i rozwarłszy zaciśnięte zęby, wleliśmy mu do gardła szklanekę spirytusu. Wano zakrztusił się, otworzył oczy i wymamrotał coś po gruzińsku. “Leż!” - zawołaliśmy, pakując go, okutanego jak egipska mumia, do śpiwora. “Gdzie on jest?” - zapytał ocknąwszy się Wano. “Kto? Kto?”. Nie odpowiedział, stracił przytomność, zaczął majaczyć. W chaosie rosyjskich i gruzińskich słów nie można było nic zrozumieć. “Królowa Śniegów” - usłyszałem. “Bredzi” - zmartwił się Diaczuk.

Postanowiliśmy, że na razie zostaniemy na miejscu. Wano powinien się porządnie wyspać, spirytus zaczął już działać. Dziwna senność opanowała także i nas. Tolek sapnął, wśliznął się do leżącego na sankach śpiwora i natychmiast usnął. Ja i Ziernow początkowo trwaliliśmy na posterunku, paliliśmy papierosy, ale potem popatrzyliśmy na siebie, roześmieliśmy się i rozścieliwszy matę z gąbki, również wleźliśmy do śpiworów. “Odpocniemy godzinkę, a potem się przeprowadzimy”. “Tak jest, szefie, odpocniemy godzinkę” I zamilkliśmy obaj.

Jakoś tak wyszło, że ani ja, ani Ziernow nie snuliśmy żadnych przypuszczeń na temat tego, co spotkało Wano. Powstrzymaliśmy się od komentarzy, jak gdybyśmy to zawczasu uzgodnili między sobą, choć pewien jestem, że obaj myśleliśmy o tym samym. Kim był przeciwnik Wano i skąd ów nieznanomy wziął się na polarnej pustyni? Dlaczego Wano, kiedy go znaleźliśmy, leżał poza grotą? Dlaczego był rozebrany - nie zdążył nawet włożyć skórzanej kurtki? A więc walka zaczęła się już w namiocie? Co ją poprzedziło? I dlaczego nóż, który trzymał Wano, był zakrwawiony? Przecież Czocheli przy całej swojej zapalczywości nigdy nie sięgnąłby po broń, gdyby nie został do tego zmuszony. Co więc go do tego zmusiło? Takie same pytania z pewnością zadawał sobie i Ziernow. Milczał jednak. Ja również milczałem.

W namiocie nie było ani zimno, ani ciemno - przez okienka z miki przenikało słabe światło zmierzchu. Wszelako - nie zauważyłem jak ani kiedy, od razu czy też stopniowo - zmierzch ów nie ściemniał ani nie gęstniał, ale jakoś tak sfioretowiał, jak gdyby ktoś rozpuścił w powietrzu kilka ziarenek nadmanganianu potasu. Chciałem się unieść, trącić Ziernowa, odezwać się, ale nie mogłem - coś przytłaczało mnie, przygniatało do ziemi, ścisnęło za gardło zupełnie tak jak przedtem w kabinie amfibii śnieżnej, kiedy odzyskiwałem świadomość. Ale wówczas miałem wrażenie, że ktoś widzi mnie na wylot i zarazem jest obecny w całym moim ciele, zrosnięty z każdą moją tkanką. Teraz, jeżeli mam się już posłużyć tym samym kodem obrazów, ktoś jak gdyby zajrzał do mojego mózgu, ale tylko przez moment. Zmętniały zmrok także odpłynął osnuwszy mnie fioletowym kokonem - mogłem patrzeć, choć niczego nie widziałem, mogłem rozmyślać o tym, co zaszło, chociaż nie rozumiałem, co właściwie zaszło, mogłem się poruszać i oddychać, ale tylko na tyle, na ile pozwalał mi ów kokon. Najmniejsze zetknięcie z fioletowym półmrokiem owego kokonu działało jak porażenie prądem.

Nie wiem, jak długo to trwało, nie patrzyłem na zegarek. Ale nagle kokon się rozsunął, zobaczyłem ściany namiotu i śpiących towarzyszy w tej samej zmętniałej, ale już nie fioletowej szarości zmierzchu. Coś kazało mi wyjść ze śpiwora, złapać kamerę i wybiec na zewnątrz. Padał śnieg, niebo zasnuwała skłębiona piana kłębiastych chmur i tylko gdzieś w zenicie mignęła mi znana różowa plamka. Mignęła i znikła. Możliwe jednak, że mi się to tylko przywidziało.

Kiedy wróciłem, Tolek siedział na sankach i przeraźliwie ziewał, Ziernow zaś wyłaził powoli ze swego śpiwora. Rzucił okiem na mnie, na kamerę i swoim zwyczajem nic nie powiedział. Diaczuk natomiast zawołał między jednym ziewnięciem a drugim:

- Jakie dziwne sny miałem przed chwilą, towarzysze! Zupełnie jakbym zarazem spał i nie spał. Chcę mi się spać, a zasnąć nie mogę. Leżę, drzemię i nic nie widzę, nie widzę ani namiotu, ani was. I jak gdyby zważyło się na mnie coś, co było lepkie, gęste i nieprzenikliwe jak galareta. Miałem uczucie, jakbym się rozpląwał. Zupełnie jak w stanie nieważkości - niby płynę, niby wiszę. Śmieszne, nie?

- To ciekawe - powiedział Ziernow i odwrócił się.

- A wam nic się nie śniło? - zapytałem Ziernowa.

- A wam?

- Teraz nie, ale w kabinie, w amfibii, nim się obudziłem, śniło mi się to samo co Diaczukowi. To samo - nieważkość, coś nieuchwytnego, niby sen, niby jawa.

- To interesujące - wycedził przez zęby Ziernow. - Kogo to przyprowadziliście, Anochin? ,

Odwróciłem się. Odchyliwszy brezentowe drzwi wszedł do namiotu - widocznie idąc za mną - rosły nie ogolony chłopak w wysokiej czapie z misia, w nylonowej kurtce podbitej takim samym misiem, zapinanej na zamek błyskawiczny. Był wysoki, barczysty, zarośnięty i robił wrażenie niezmiernie przerażonego.

Czy ktoś tu mówi po angielsku? - zapytał, w jakiś bardzo specjalny sposób przeżuwał i rozciągając słowa.

Najlepiej z nas wszystkich znał angielski Ziernow. On więc odpowiedział:

- Kim pan jest i czego pan potrzebuje?

- Donald Martin - przedstawił się chłopak. - Pilot z Mac Murdoch. Czy macie coś do wypicia? Coś możliwie mocnego - przeciągnął kantem dłoni po gardle - koniecznie muszę się czegoś napić.

- Dajcie mu spirytusu, Anochin - powiedział Ziernow.

Nalałem do szklanki spirytusu z kanistra i podałem ją chłopakowi - nie był chyba starszy ode mnie. Wypił całą szklankę jednym haustem, zaparło mu dech, spojrzał na nas przekrwionymi oczyma.

- Dzięki, sir - złapał wreszcie oddech i przestał dygotać. - Miałem przymusowe lądowanie, sir.

- Może pan sobie darować tego sira - powiedział Ziernow. - Nie posiadam tego zaszczytnego tytułu. Nazywam się Ziernow. Ziernow - przesyłabizował. - Gdzie pan lądował?

- Niedaleko stąd.

- Szczęśliwie?

- Nie mam paliwa. I coś się stało z radiem. - W takim razie proszę zostać z nami. Pomoże nam pan przenieść obozowisko do naszej amfibii śnieżnej. Miejsce dla pana się znajdzie. Radio też mamy.

Amerikanin ciągle jeszcze zwlekał, jak gdyby nie mógł się zdecydować czy ma coś powiedzieć, potem stanął na baczność i wyrecytował po żołniersku:

- Proszę mnie aresztować, sir. Zdaje się, że zabiłem człowieka.

Ziernow podszedł do opatulonego Wano, odkrył mu twarz i ostro zapytał Amerykanina:

- Tego?

Martin zbliżył się ostrożnie i jak mi się wydało, nie bez lęku, powiedział niepewnie:

- N-nie...

- Proszę się przyjrzeć dokładniej - jeszcze ostrzej powiedział Ziernow.

Lotnik ze zdumieniem pokręcił głową.

- Nie ma żadnego podobieństwa, sir. Mój leży koło samolotu. A poza tym... - dodał niepewnie - w ogóle nie wiem, czy to jest człowiek.

W tej samej chwili Wano otworzył oczy. Jego spojrzenie prześliznęło się po stojącym obok śpiwora Amerykaninie, jego głowa uniosła się nieco i znowu opadła na poduszkę.

- To... nie ja - powiedział i zamknął oczy.

- Ciągle jeszcze majaczy - westchnął Tolek.

- Nasz towarzysz jest ranny. Ktoś na niego napadł. Nie wiemy, kto - wyjaśnił Amerykaninowi Ziernow - dlatego, kiedy pan powiedział... - I taktownie zamilkł.

Martin odsunął sanki Tolka i usiadł. Ukrył twarz w dłoniach i kiwał się, jakby go coś straszliwie hulało.

- Nie wiem, czy mi uwierzycie, bo to wszystko jest tak niezwykle i tak nieprawdopodobne - opowiadał. - Leciałem jednomiejscowym samolotem. To nie jest samolot sportowy, to był kiedyś myśliwiec, taki mały "Lockhead", wiecie? Ma nawet sprzężony karabin maszynowy. Tutaj nie jest to oczywiście potrzebne, ale regulamin każe utrzymywać uzbrojenie w gotowości bojowej, a nuż się nagle przyda? I przydało się, tyle, że bez rezultatu... Słyszeliście o różowych obłokach? - zapytał nagle i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej swoją opowieść: - Dogoniłem je w półtorej godziny po starcie.

- Je? - przerwałem, zdziwiony. - Było ich parę?

- Cała eskadra. Leciały zupełnie nisko, o jakie dwie mile niżej niż ja, wielkie różowe meduzy, właściwie nie tyle różowe ile raczej malinowe. Naliczyłem ich siedem, różnego kształtu i różnych odcieni, od jasnoróżowej niedojrzałej maliny do płomiennego owocu granatu, W dodatku ich kolor nieustannie się zmieniał, gęstniał albo rozwadniał się niby rozmywany. Zmniejszyłem szybkość i zszedłem niżej, żeby wziąć próbkę, miałem zainstalowany po to specjalny zasobnik pod kadłubem. Ale nie udało mi się to, meduzy uciekły. Dogoniłem je, ale znowu umknęły, bez najmniejszego wysiłku. A kiedy znowu dodałem gazu, wzniosły się i poleciały wyżej niż ja - są lekkie jak dziecinne

baloniki, tylko płaskie i o wiele większe, zakasują nie tylko mojego komara, ale nawet porządnego Boeinga. I tak się zachowywały, jak gdyby były żywe. Tylko żywa istota może się tak zachowywać, kiedy zagraża jej jakieś niebezpieczeństwo. Pomyślałem nawet, że być może powinienem odlecieć. Ale one jak gdyby przewidziały mój manewr. Trzy malinowe meduzy z niesłychaną szybkością wyskoczyły do przodu i bez żadnego wirażu, bez hamowania, z taką samą siłą i szybkością poleciały prosto na mnie. Nie zdążyłem nawet krzyknąć, a już samolot wszedł w mgłę, która, diabli wiedzą, skąd się wzięła, a właściwie nawet to nie była mgła tylko jakiś śluz, gęsty i śliski. Od razu wytraciłem szybkość, straciłem panowanie nad maszyną, widzialność była żadna. Nie mogłem ruszyć ani ręką ani nogą. A samolot nie spadał, ale ześlizgiwał się w dół jak szybowiec. I wylądował. Nawet nie poczułem, kiedy i jak wylądowałem. Jak gdybym utonął w tym malinowym śluzie. Patrzę - dookoła śnieg, a obok mnie samolot, taki sam jak mój, maleńki "Lockhead". Wsiadłem, rzuciłem się do tamtego samolotu, a naprzeciw z kabiny tamtego samolotu wyskakuje taki sam dryblas jak ja. Nie mogę się połapać - znajomy, nie znajomy. Pytam: "Kto ty jesteś?". "Donald Martin" - mówi. „A ty?”. A ja patrzę na niego, jak gdybym patrzył w lustro. Nie, powiadam, kłamiesz to ja jestem Don Martin, a on się już zamachnął. Dałem mu nura pod ramię i zaprawiłem go lewym w szczękę. Upadł, trzasnął skronią o drzwi. Patrzę - leży. Trąciłem go nogą - ani drgnie. Potrząsnąłem nim - głowa mu się majta. Podciągnąłem go do swojego samolotu, myślę - zawiozę go do bazy, tam mu udzielą pomocy. Patrzę - a tu ani kropli paliwa. Myślę - nadam chociaż meldunek - a tu radio wysiadło. Wtedy zupełnie mi się zmąciło w głowie, wyskoczyłem i pobiegłem wprost przed siebie, gdzie oczy poniosą, wszystko jedno dokąd, byleby jak najdalej od tego diabelskiego cyrku. I raptem zobaczyłem wasz namiot.

Słuchałem, wspominałem swoją przygodę i wydawało mi się, że już zaczynam rozumieć, co się przytrafiło Wano. Po oczach Tolka trudno się było zorientować, o czym myśli, zapewne miał wątpliwości i wyważał każde wypowiedziane przez Martina słowo. Zaraz zacznie zadawać pytania swoją szkolną angielszczyzną. Ale Ziernow był szybszy.

- Zostańcie z Wano, Diaczuk, a ja i Anochin pójdziemy z Amerykaninem. Chodźmy, Martin - dodał po angielsku.

Zabrałem kamerę. Zacząłem kręcić, skoro tylko zbliżyliśmy się do miejsca przymusowego lądowania Martina. Stał tam już tylko jeden samolot. A obok niego wznosił się znany mi już spieniony malinowy wzgórek. Wzgórek ten parował, mienił się i dziwnie pulsował, zupełnie jak gdyby oddychał. Przelatywały po nim białe wylądowania przypominające iskry, które sypią się w czasie spawania. „Nie podchodźcie!” - ostrzegłem Martina i Ziernowa, którzy mnie wyprzedzili. Ale odwrócony kwiatek już użył swej niewidzialnej tarczy obronnej. Martin, który biegł pierwszy, natknąwszy się na nią, jakoś dziwnie zwolnił, a Ziernow po prostu przysiadł, ugięły się pod nim nogi. Ale obaj nadal posuwali się do przodu usiłując przewyciężyć przyciskającą ich do ziemi siłę.

Nie przestając filmować wyminąłem teren nowego "cudu" i natknąłem się na ciało zabitego czy też może tylko rannego sobowtóra Martina. Miał na sobie taką samą nylonową kurtkę na misiurkach, leżał o jakie trzy albo cztery metry od samolotu, śnieg już go przyprószył.

- Chodźcie, on tu jest! - krzyknąłem.

Wówczas od wibrującego kwiatu oderwał się malinowy płatek, wzniósł się, pociemniał, zwinął się

w powietrzu w coś na kształt pąsowej tutki, wyprężył się i okrył leżące przed nami ciało. Przez minutę czy dwie owa wężowata macka iskrzyła się i pieniała, potem oderwała się od ziemi, ale nie dostrzegliśmy niczego w jej wielkiej, chyba dwumetrowej gardzieli. Następnie płatek znowu połączył się z kielichem. Na śniegu zostało tylko wgłębienie - ślad człowieka, który leżał tu przed chwilą.

Ciągle filmowałem obawiając się, że mogę przegapić ostatnią metamorfozę. Metamorfoza ta już się rozpoczęła. Teraz oderwał się od ziemi cały kwiat, unosząc się odchyłał płatki ku górze. Ten rozpływający się w powietrzu dzwon również był pusty, widzieliśmy wyraźnie jego różowiejące już wnętrze - nic w nim nie było. Za chwilę przekształci się w różowy obłok i skryje się za prawdziwymi chmurami. Na ziemi zaś pozostanie tylko jeden samolot i tylko jeden lotnik. Tak się też stało.

Ziernow i Martin stali w milczeniu, wstrząśnięci podobnie jak ja, który wszystko to przeżyłem już rano. Martina zaś wprawiała w rozpacz sama myśl o tym, że to, co widział, było jedynie płodem jego rozstrojonej wyobraźni.

- Więc kogo ja zabiłem? - zapytał.

- Możemy uznać, że nikogo - powiedział Ziernow.

- Ale przecież to był człowiek, żywy człowiek - powtarzał Martin.

- Jest pan tego zupełnie pewien? - zapytał Ziernow.

Martin stropił się.

- Nie wiem...

- No właśnie. Ja bym powiedział - czasowo żywy. Powołała go do życia i unicestwiła ta sama siła.

- Ale po co? - zapytałem ostrożnie. Odpowiedział mi z niespotykanym u niego rozdrażnieniem:

- Myślicie; że wiem więcej niż wy? Kiedy wywołacie film, obejrzymy go sobie i pomyślimy.

I ruszył, nie prosząc nawet, abyśmy szli za nim. Ja i Martin popatrzyliśmy na siebie i poszliśmy także.

- Jak masz na imię? - zapytał Martin z bezpośredniością rówieśnika, ujmując mnie pod łokieć.

- Jurij.

- Juri. Juri - powtórzył. - Będę pamiętał. A ja jestem Don.

- Myślisz, że to jest żywe?

- Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie. To przecież ty chciałeś pobrać próbkę, Martin. Roześmiał się.



- Nikomu bym nie radził tego robić. Ciekawe, dlaczego nie pożarł mnie wtedy? Połknął - i wypluł.

- Widocznie mu nie smakowałaś.

- Ale jego pożarł.

- Nie wiem - powiedziałem.

- Przecież sam widziałeś.

- Widziałem, że go okrył, ale nie widziałem, żeby pożerał. Może raczej rozpuścił albo zamienił w parę...

- Jaka to by musiała być temperatura!

- A mierzyłeś tę temperaturę?

Martin aż przystanął, porażony domysłem.

- Temperatura, w której roztopiłby się taki samolot? I to w ciągu trzech minut? Superodporne duraluminium?

- Jesteś pewien, że to było duraluminium a nie powietrze?

Nie zrozumiał, ja nie wyjaśniałem. Szliśmy już w milczeniu aż do samego namiotu. Tutaj także coś musiało zajść - uderzyła mnie dziwna poza Tolka, który skulił się na skrzynce brykietów i głośno szcząkał zębami, ni to z zimna, ni to ze strachu.

- Co wam się stało, Diaczuk? - zapytał Ziernow. - Zimno wam?

Tolek nie odpowiedział, tylko jak zahipnotyzowany przykucnął przy drzwiczkach pieca.

- Troszeczkę wariujemy - oświadczył ze swojego futrzanego schowka Wano. Jego oczy były bystre i wesołe.

- My także mieliśmy gości - dodał i mrugnął, ruchem głowy wskazując Tolka.

- Ja nie miałem żadnych gości! Mów za siebie! - pisnął Tolek i odwrócił się do nas. Twarz miał wykrzywioną, wydawało się, że jeszcze chwila i zacznie płakać.

Wano pokręcił palcem koło skroni.

- Kolega się troszkę zdenerwował. Czego się krzywisz, przecież nic nie mówię. Będziesz chciał, to sam opowiesz - powiedział do Tolka i odwrócił się. - Ja się też odrobinę zaniepokoiłem, kiedy cię zobaczyłem w dwóch egzemplarzach, Tolek. Nie mogłem na to patrzeć. Strach mnie zdjął, to było nie do zniesienia. Pociągnąłem spirytusu, przykryłem się kurtką, leżę. Chcę zasnąć - nie mogę. Niby śpię, niby nie śpię, ale coś mi się śni. Długi sen, śmieszny i straszny zarazem. Jak gdybym jadł jakiś kisiel,

bardzo ciemny, nie czerwony, ale fioletowy, tyle go, że zalewa mnie całego, jeszcze chwila i zaleje mi usta, zachłysnę się nim. Nie pamiętam, jak długo to trwało. A skoro tylko otworzyłem oczy, zobaczyłem, że wszystko jest po dawnemu, zimno, namiot pusty, was nie ma. I nagle wchodzi on. Widzę jak w lustrze - to jestem ja! Ja we własnej osobie, tyle że bez kurtki i w samych skarpetkach.

Martin, choć nie rozumiał, to słuchał z taką uwagą, jak gdyby się domyślał, że mowa o czymś bardzo dlań interesującym. Zacząłem więc tłumaczyć. Podczas gdy Wano opowiadał, Martin wczepił się we mnie i tylko co chwila mnie potrącał - tłumacz! Ale trudno jest tłumaczyć słowo w słowo, więc po prostu opowiedziałem mu po krotce o tym, co się przydarzyło Wano. W przeciwieństwie do nas Wano od razu zauważył różnice między sobą a swoim gościem. Już dawno wytrzeźwiał, strach minął, tylko głowa trochę bolała, a przybysz patrzył zmętniałymi, osowiałymi oczyma. "Daj spokój z tymi figlami - krzyknął po gruzińsku - nie boję się żadnej Królowej Śniegów, mogę ją przerobić na szaszłyk!" Najzabawniejsze, że Wano pomyślał coś takiego, w tych samych słowach wtedy, kiedy Ziernow i Tolek poszli po mnie. Gdyby wtedy miał kogoś pod ręką, bez wątpienia wdałby się z nim w bójkę. Teraz przybysz zaatakował. Ale oprzytomniały już Wano chwycił kurtkę i wybiegł z namiotu zorientowawszy się od razu, że należy trzymać się jak najdalej od takiego gościa. Wano nie pomyślał nawet o tym, że pojawienie się owego gościa urągało wszelkim znanym mu prawom natury. Wano chciał mieć swobodę manewru, kiedy zacznie się nieunikniona batalia. Sobowtór już go doganiał, w dłoni sobowtóra błysnął nóż, świetny nóż myśliwski Wano, przedmiot zazdrości wszystkich kierowców w Mirnym. Oryginał tego noża Wano miał w kieszeni, ale nie pomyślał nawet, że jest w tym coś dziwnego, tylko po prostu wyciągnął nóż, kiedy zjawa zadała mu pierwszy cios. Jedyne w porę podstawiona kurtka ocaliła Wano. Czochełi cisnął tę kurtkę pod nogi prześladowcy i pobiegł w kąt, tam gdzie ściana skręcała na północ. Drugi cios noża dosięgnął go już tutaj, ale na szczęście nóż musnął Wano tylko w ramię, sweter był gruby. Trzeci cios Wano zdołał odparować, przy czym udało mu się przewrócić przeciwnika. Co było potem, nie pamiętał - zapadła wokół niego krwawa ciemność i jakaś siła przypominająca podmuch wybuchu odrzucała go na bok. Odzyskał przytomność na posłaniu w namiocie, opatulony futrami i jak najzdrowszy. Ale cuda trwały nadal. Teraz rozdziwił się Diaczuk.

Wano nie zdążył jeszcze skończyć zdania, kiedy Tolek cisnął brykietem o ziemię - dokładał akurat do ognia - i zerwał się z histerycznym wrzaskiem:

- W tej chwili przestań! Słyszysz?!

- Wariat - powiedział Wano.

- Niech ci będzie. Nie ja jeden. Wszyscyście powariowali. Wszyscy! Mnie nikt nie odwiedzał. Nikt się nie rozdawał. To bzdury, wymyśl!

- Dość tego, Diaczuk - przerwał mu Ziernow. - Zachowujcie się przyzwoicie. Jesteście pracownikiem naukowym a nie kłownem w cyrku. Nie należało tu przyjeżdżać, skoro nerwy macie nie w porządku.

- A właśnie że stąd wyjadę! - odgryzł się Tolek, ale już spokojniej, reakcja Ziernowa trochę go otrzeźwiła. - Nie jestem Scottem ani Amundsenem, dość mam tego obłądu.

- Co Inu się stało? - szepnął do mnie Martin.

Wyjaśniłem.

- Gdybym miał benzynę, zwałbym stąd natychmiast - powiedział. - Za dużo cudów jak na mój gust.

Nie dowiedzieliśmy się więc, co się działo z Tolkiem, wszystko jednak wskazywało na to, że musiało to być raczej komiczne niż straszne. Wano się wykręcał: "Nie chce powiedzieć, to go nie pytajcie. Obaj żeśmy stchórzyli. A ja nie mam zwyczaju robić plotek". Nie nabijał się z Totka, chociaż ten najwyraźniej szukał kłótni. "Masz taki akcent jak maszyna do pisania Ostapa Bendera" - docinał, ale Wano tylko się uśmiechał i znosił to w milczeniu - nie miał czasu. Ja i Martin wymieniliśmy pod kierownictwem Wano zmiażdżony plastik iluminatora. Sam Wano nie mógł tego zrobić, obandażowane ramię utrudniało mu pracę. Ustalono także, że ja i Martin (po kolei będziemy go zastępowali za kierownicą. Nic nas już tutaj nie zatrzymywało. - Ziernow uznał, że zadanie wyprawy zostało wykonane, i chciał się jak najszybciej znaleźć w Mirnym. Myślę, że tak się śpieszył, by zdążyć uciec przed swoim sobowtórem, był przecież jedynym wśród nas, któremu udało się jak dotąd uniknąć tego niezbyt przyjemnego spotkania. Łamiąc ustanowiony przez siebie samego i ściśle przestrzegany harmonogram prac i wypoczynku ustalony po przeprowadzce do kabiny amfibii nie spał przez całą noc. Budziłem się tej nocy kilkakrotnie i za każdym razem widziałem światło jego nocnej lampki na górnym łóżku. Czytał.

Nie rozmawialiśmy więcej o sobowtórach, ale rano po śniadaniu twarz Ziernowa najwyraźniej się rozpromieniła, kiedy amfibia wreszcie ruszyła w drogę. Kierował Martin. Wano siedział obok niego na strapontenie i instruował go na migi. Ja wystukałem depezę do Mirnego, zamieniłem parę słów z dyżurnym radiostacji Kolą Samojłowem i zanotowałem prognozę pogody. Była bardzo pomyślna, zanosilo się na to, że nasz powrót odbędzie się bez żadnych przeszkód - pogodnie, wiatry słabe, temperatura nie moskiewska nawet, ale zgoła czarnomorska: dwa - trzy stopnie poniżej zera.

Ale ciążyło nam panujące w kabinie milczenie i wreszcie nie wytrzymałem:

- Chciałem o coś zapytać, Borysie Arkadiewiczu. Dlaczego nie podajemy przez radio żadnych szczegółów?

- Jakich mianowicie?

- Wszystkich. Co się działo ze mną, z Wano. Czegośmy się dowiedzieli o różowych obłokach. O tym, co mam na filmie.

- A jak, waszym zdaniem, należałoby napisać takie opowiadanie? - odpowiedział mi pytaniem na pytanie Ziernow. - Zrelacjonować niuanse psychologiczne, analizę doznań, cały podtekst? Niestety nie dysponuję odpowiednim talentem, nie jestem pisarzem. A i wam, jak sądzę, też by się to nie udało, mimo całego bogactwa waszej wyobraźni i mimo tego, że wasze hipotezy były tak efektowne. A gdybyśmy to wszystko podali w telegraficznym skrócie, wyglądałoby to jak notatki szaleńca.

- Pewne rzeczy można jednak założyć z dużym prawdopodobieństwem.

- Oczywiście. Zacznijmy od was. Co bylibyście skłonni przyjąć za pewnik? Czym jest, waszym zdaniem, ten różowy obłok?

- Jakimś organizmem.

- Żywym?

- Niewątpliwie. To żywy, myślący organizm, którego struktura fizyko-chemiczna nie jest nam znana. Jakaś biozawiesina albo biogaz. Kołmogorow nie wykluczał przecież możliwości istnienia myślącej pleśni? Z równym stopniem prawdopodobieństwa można założyć istnienie myślącego gazu, myślącego koloidu czy myślącej plazmy. Wahania barwy to reakcja obronna i zarazem zewnętrzny wyraz emocji - zdziwienia, zainteresowania, złości. Zmienność kształtu to reakcje ruchowe umożliwiające poruszanie się w przestworzach. Człowiek idąc macha rękami, zgina nogi w kolanach i porusza nogami. Obłok wypręża się, podwija brzegi, zwija się w dzwon.

- O czym mówicie? - zainteresował się Martin.

Przetłumaczyłem mu.

- Obłok także pieni się, kiedy oddycha, i wyrzuca z siebie macki, kiedy napada - dodał.

- A zatem jest to zwierzę? - zapytał Ziernow.

- Zwierzę - przytaknął Martin.

Ziernow nie przypadkiem zadawał te pytania. Każde z nich miało jakiś określony cel, który nie był jeszcze dla mnie jasny. Ziernow najwidoczniej sprawdzał nasze i własne odczucie nie kwapiąc się z wyciąganiem wniosków.

- Dobrze - powiedział - odpowiedzcie mi w takim razie na takie pytanie: w jaki sposób to zwierzę modeluje ludzi i maszyny? Po co je modeluje? I dlaczego model zostaje zniszczony, skoro tylko „wypróbuje” się go w kontakcie z ludźmi?

- Nie wiem - przyznałem. - Obłok potrafi syntetyzować dowolne struktury złożone z atomów, to jasne. Ale po co je syntetyzuje i dlaczego je potem niszczy - to pozostaje dla mnie zagadką.

Wtedy wtrącił się do rozmowy Tolek, który do tej chwili zachowywał niezrozumiałą dla nas wszystkich obojętność:

- Moim zdaniem sam problem został błędnie sformułowany. Jak modeluje? Po co modeluje? Obłok niczego nie modeluje. To tylko zakłócenie funkcjonowania naszego postrzegania. Coś dla psychiatrów a nie dla fizyków.

- Spójrzcie w prawo! - krzyknął nagle Wano.

To, co ujrzeliśmy przez boczny iluminator, sprawiło, że natychmiast zapomnieliśmy o naszym sporze. Martin włączył hamulce. Włożyliśmy kurtki i wyskoczyliśmy z amfibii. Natychmiast zacząłem filmować, wyglądało bowiem na to, że będą to moje najbardziej efektowne zdjęcia.

To, co się działo na naszych oczach, wyglądało na cud, wyglądało jak scena z życia innej planety. Nic - ani chmury, ani śnieg, nie przesłaniało tego, na co patrzyliśmy. Słońce wisało nad horyzontem i przekazywało cały swój blask piętrzącym się przed nami szmaragdowobłękitnym masom lodu.

Idealnie gładko ścięta na głębokość wielu metrów ściana lodowa robiła wrażenie szklanej. Nigdzie, wzdłuż ściany, nic widać było żadnego człowieka ani żadnej maszyny. Tylko gigantyczne różowe dyski - naliczyłem więcej niż dziesięć takich tarcz - bezgłośnie i bez trudu cięły lód, jakby to było masło. Wyobraźcie sobie, że kroicie rozgrzanym nożem dopiero co wyjętą z lodówki ćwiartkę masła. Nóż wejdzie w kostkę masła od razu, nieomal bez tarcia, będzie się prześlizgiwał między topniejącymi ściankami. Tak samo topniały stumetrowe ściany lodowe, kiedy zagłębiał się w nie różowy nóż. Nóż ten miał kształt nieprawidłowego owalu czy może raczej trapezu o wyokrąglonych rogach, powierzchnia zaś tarczy miała, sądząc na oko, ponad sto metrów kwadratowych, takie to przynajmniej wrażenie robiło z daleka. Grubość tarczy była niewielka, kilka centymetrów. A zatem dobrze nam już znany „obłok” najwyraźniej spłaszczył się, rozprasował rozciągnął i przekształcił w olbrzymie narzędzie tnące, pracujące zadziwiająco szybko i precyzyjnie.

Dwa takie „noże” oddalone od siebie o jakie pół kilometra cięły ścianę lodową prostopadle do jej podstawy. Dwa inne podcinały ją od dołu miarowymi, doskonale skoordynowanymi ruchami wahadłowej piły. Następna czwórka pracowała obok, a trzeciej już nie widziałem - zagłębiła się całkowicie w warstwach lodu. Wkrótce zniknęła w lodzie także i druga, a czwórka, która była najbliżej nas, wykonała trik cyrkowy godny zaiste samego Guliwera. Niespodziewanie uniosła w powietrze precyzyjnie wyciętą z płaszcza lodowca szklaną taflę długą prawie na kilometr, doskonałą geometrycznie błękitny równoległoscian. Równoległoscian ów wznosił się powoli i uleciał, lekko i niedbale niczym dziecinny balonik. Zaledwie dwa „obłoki” uczestniczyły w tej operacji. Najeżyły się i pociemniały, przekształciły się w znane nam już kielichy, tyle, że tym razem nie odwrócone, lecz skierowane ku niebu - dwa niewiarygodne olbrzymie pąsowe kwiaty na niewidzialnych łądyżkach. W dodatku bynajmniej nie podtrzymywały lecącej tafli - tafla wznosiła się nad nimi zachowując pewną odległość i nic jej z „obłokami” nie łączyło.

- Na czym ona się trzyma? - zadziwił się Martin. - Na poduszce powietrznej? Ileż na to potrzeba energii?

- To nie poduszka - powiedział Tolek, z trudem odnajdując potrzebne angielskie słowa. - To pole. Antygravitacja... - I popatrzył błagalnie na Ziernowa.

- Pole siłowe - wyjaśnił Ziernow. - Pamiętacie, Martin, przeciążenie, kiedy próbowaliśmy zbliżyć się do samolotu? To przeciążenie wtedy zwiększało siłę ciężenia, teraz ją neutralizuje.

Tymczasem z lodowego płaskowzgórza poderwała się do lotu jeszcze jedna taka kilometrowa tafla wyrzucona w przestrzeń przez niewidzialnego tytana. Wznosiła się szybciej niż tamta pierwsza i niebawem dogoniła ją na wysokości, na jakiej zazwyczaj odbywa się rejsy polarne. Widzieliśmy doskonale, jak te dwie gigantyczne cegły zbliżyły się do siebie w powietrzu, jak otarły się bokami i połączyły w jedną szeroką taflę, która znieruchomiła i zawisała w powietrzu. A z dołu startowała już trzecia, która legła na tamtych, i czwarta, która z kolei zrównoważyła całą płytę. Płyta stawała się coraz grubsza, „obłoki” potrzebowały trzech lub czterech minut, by wyciąć z płaszcza kontynentalnego lodowca nową cegłę i unieść ją w powietrze. Po wzniesieniu każdej kolejnej tafli ściana lodowa coraz bardziej zbliżała się do horyzontu, a wraz z nią oddalały się od nas różowe „obłoki”, wyglądało to, jak gdyby rozpuszczały się i niknęły w śnieżnej dali. Wysoko zaś na niebie wisiały nadal dwie czerwone róże, a nad nimi prześwieciany przez słońce olbrzymi kryształowy sześciąt.

Oczarowani tym zjawiskiem staliśmy w milczeniu. Specyficzna gracia i wyrazistość ruchów różowych tarcz, ich precyzyjny rytm, wloty błękitnych lodowych tafli układających się w przestworzach w gigantyczny promieniejący sześciąt - wszystko to dźwięczało w naszych uszach niczym niesłyszalna, bezgłośna muzyka jakichś obcych i nieznanymi sfer. Nie zauważyliśmy nawet - zdołał to zarejestrować jedynie mój obiektyw - kiedy słoneczny diamentowy sześciąt zaczął maleć wznosząc się coraz to wyżej, aż wreszcie zupełnie zniknął nam z oczu za siateczką pierzastych smug cirrusów. Zniknęły również oba kierujące nim "kwiaty".

- Miliard metrów sześciennych lodu - jęknął Tolek.

Spojrzałem na Ziernowa. Spotkały się nasze spojrzenia.

- Otóż mamy odpowiedź na podstawowe pytanie, Anochin - powiedział Ziernow. - Wiemy już, skąd się wzięła ta lodowa ściana i dlaczego mamy pod nogami tak mało śniegu. Oni zrywają pancierz lodowy Antarktydy.

## OSTATNI SOBOWTÓR

Oficjalnie sprawozdanie naszej wyprawy składało się z następujących punktów: wykład Ziernowa o zjawisku różowych obłoków, moja opowieść o sobowtórach i projekcja nakręconego przeze mnie filmu. Ale już na samym początku zebrania Ziernow zlekceważył ustalony porządek. Oprócz wrażeń osobistych i oprócz przywiezionego przez wyprawę filmu nie mamy żadnych materiałów, na których można by było oprzeć wykład naukowy - powiedział - te zaś obserwacje astronomiczne, z którymi zapoznał się po powrocie do Mirnego, nie stwarzają dostatecznych przesłanek do wysnuwania jakichkolwiek konkretnych wniosków. Okazuje się, że zarówno nasze, jak i zagraniczne obserwatoria na Antarktydzie zarejestrowały pojawienie się w atmosferze na różnych wysokościach ogromnych skupisk lodu. Ale ani dokonywane obserwacje, ani specjalne zdjęcia nie pozwalają na określenie ilości tych ciał quasiniebieskich ani też na określenie kierunku, w którym się poruszają. A zatem możemy mówić jedynie o wrażeniach, jakie odnieśliśmy, i o przypuszczeniach, które bywają niekiedy nazywane hipotezami. Ponieważ jednak minęły już przeszło trzy doby od powrotu wyprawy, ponieważ gadatliwość i ciekawość właściwa jest ludziom, to wszystko to, co widzieli uczestnicy ekspedycji, jest już znane całemu Mirnemu, a także daleko poza jego granicami. Jeśli zaś chodzi o domysły, to lepiej będzie, gdy zajmiemy się nimi po projekcji filmu, ponieważ bez wątpienia dostarczy on materiału do tego rodzaju rozważań.

Nie wiem, kogo miał na myśli Ziernow, kiedy mówił o gadatliwości, ale zarówno ja, jak Wano i Tolek wzburzyliśmy wiele umysłów, a słuchy o filmie, który nakręciłem, obieły cały kontynent. Na projekcję filmu przyjechał Francuz i dwóch Australijczyków oraz cała grupa Amerykanów, na której czele stał admirał w stanie spoczynku, Thompson. Admirał dawno już zamienił admirałskie galony i dystynkcje na futrzaną kamizelkę i sweter polarnika. Wszyscy słyszeli już o filmie, niecierpliwie czekali na projekcję i po cichu dzielili się najprzeróżniejszymi hipotezami. Nasz drugi kinomechanik Żenią Łaziebnikow zawył z zazdrości, kiedy obejrzał wywołaną taśmę.

- No cóż! Jesteś teraz znakomitością. Możesz uważać, że nagrodę Łomonosowa masz już w kieszeni.

Ziernow powstrzymał się od komentarzy, tylko wychodząc z laboratorium zapytał:

- A nie boicie się, Anochin?

- Czego? - zdziwiłem się.

- Być może, że nawet sobie nie wyobrażacie, o jak wielkim odkryciu zakomunikujecie światu.

Gorączkowe ożywienie zapanowało już w czasie pierwszej projekcji filmu w stołówce. Przyszli wszyscy, którzy mogli przyjść, ludzie stali i siedzieli wszędzie, gdzie się tylko dało usiąść lub stanąć. Cisza panowała taka, jak w pustym kościele, tylko od czasu do czasu mącił ją szmerek zdumienia i chyba nawet lęku - w tych momentach, kiedy nie wytrzymywali nawet przyzwyczajeni do wszystkiego zahartowani weterani Antarktydy. Sceptycyzm i niedowierzenie, z jakim ten i ów przyjmował nasze opowieści, zniknęły już po pierwszych kadrach filmu na widok dwóch identycznych "Charkowianek" z jednakowo wgniecionymi iluminatorami i różowego "obłoku", który sunął nad nimi przez bładoniebieskie niebo. Zdjęcia się udały nadspodziewanie, bardzo wiernie oddawały kolory - "obłok" na ekranie purpurowiał, fioletował, zmieniał kształt, rozwijał się w kielich kwiatu, pienił



się i pochłaniał wielki pojazd wraz z całą jego zawartością. Sfilmowany przeze mnie mój sobowtór w pierwszej chwili nikogo nie zdziwił ani nie przekonał - uznano go po prostu za mnie samego, chociaż od razu zauważyłem, że filmować samego siebie, w dodatku w ruchu i w różnych ujęciach nie potrafiłby nawet najwybitniejszy dokumentarzysta. Ale dopiero zdjęcia sobowtóra Martina sprawiły, że wszyscy uwierzyli w sobowtóry - udało mi się zbliżenie sobowtóra Martina na tle podchodzącego do miejsca katastrofy Martina i Ziernowa. Sala zahuczała. A kiedy malinowy kwiat wyrzucił z siebie węzowatą mackę i ten drugi, leżący bez ruchu Martin, zniknął w czeluści jej kielicha, ktoś w ciemnościach aż krzyknął. Ale największe wrażenie wywarła część końcowa filmu, owa lodowa symfonia.

Zaledwie projekcja dobiegła końca, a już wśród hucznych oklasków dało się słyszeć żądanie powtórzenia pokazu filmu. Po raz drugi film wyświetlano wśród grobowej ciszy, nie rozległ się na sali ani jeden głos, nikt nie odkaszlnął, nie odezwał się do sąsiada, nie było słyhać nawet szeptu. Cisza trwała także wtedy, kiedy ekran już zgasł, ludzie jak gdyby nie mogli się wyzwolić z napięcia, które ich opanowało. Dopiero najstarszy ze stałych mieszkańców bazy, nazywany dziekanem korpusu polarników, profesor Kiedrin, wyraził życzenie, które było życzeniem wszystkich obecnych :

A teraz, Borys, powiedz nam, co o tym myślisz. Tak będzie najlepiej, my przecież nie możemy przetrwać tego tak od razu.

- Mówiłem już, że nie mamy dowodów - powiedział Ziernow. - Martinowi nie udało się pobrać próbki, "obłok" nie dopuścił go do samolotu. Nie dopuścił także i nas, na ziemi, zważył na nas taki ciężar, jak gdyby ktoś nappełnił nas ołowiem. A zatem "obłok" jest w stanie wytwarzać pole grawitacyjne. Potwierdza to unoszący się w powietrzu lodowy sześcian, który widzieliście wszyscy. Zapewne w ten sam sposób zmuszono do lądowania samolot Martina, tym samym sposobem wydobyto ze szczeliny lodowej naszą amfibię. Za bezsporny fakt uznać można także i to, że "obłok" może bez trudu zmieniać kształt i kolor - to widzieliście również. Umie on także wytwarzać dowolne temperatury - tak ciąż stumetrowy płaszcz lodowy można tylko przy zastosowaniu bardzo wysokich temperatur. W powietrzu "obłok" zachowuje się podobnie jak ryba w wodzie - nie musi zakręcać po łuku, może błyskawicznie zmieniać szybkość. Martin zapewnia, że zauważony przez niego "obłok" uciekał przed nim z szybkością przekraczającą szybkość dźwięku. "Koledzy" owego "obłoku" lecieli wolniej, najwyraźniej dlatego jedynie, by stworzyć zasłonę grawitacyjną wokół samolotu. Wniosek możemy wysnuć tylko jeden - fenomen różowych obłoków nie ma nic wspólnego z meteorologią. "Obłok" taki to albo żywy i myślący organizm, albo odpowiednio zaprogramowany biosystem. Podstawowym zadaniem obłoków jest zerwanie i przemieszczenie w przestrzeni olbrzymich mas kontynentalnego płaszcz lodowego. Niejako przy okazji syntetyzują się, a raczej powiedziałbym modelują się - nie wiadomo jak ani po co - a następnie zostają unicestwione - także nie wiadomo po co - wszelakie napotkane struktury złożone z atomów - ludzie, maszyny, przedmioty.

Pierwsze pytanie zadał Ziernowowi Amerykanin Thompson:

- Z tego, co pan mówił, nie mogłem zrozumieć, czy te istoty są wrogo ustosunkowane do ludzi.
- Sądzę, że nie. Unicestwiają tylko sporządzone przez siebie kopie.
- Czy jest pan tego pewien?

- Przecież sam pan to przed chwilą widział - pytanie Thompsona zdziwiło Ziernowa.

- Interesuje mnie, czy jest pan przekonany o tym, że unicestwione zostały na pewno kopie a nie ludzie? Skoro kopie są identyczne z ludźmi, to któż mi potrafi dowiedzieć, że mój lotnik Martin jest rzeczywiście moim lotnikiem Martinem, a nie jego modelem o identycznej strukturze atomowej.

Rozmawiali po angielsku, ale wielu obecnych na sali znało ten język i tłumaczyło treść rozmowy sąsiadom. Nikt się nie uśmiechnął - pytanie było istotne. Nawet Ziernow zastanowił się nad odpowiedzią.

Martin poderwał się z miejsca, ale pociągnąłem go z powrotem. Powiedziałem:

- Zapewniam pana, admirale, że ja to naprawdę ja, operator filmowy ekspedycji, Jurij Anochin, a nie mój model sporządzony przez obłok. Kiedy filmowałem, mój sobowtór cofał się ku amfibii jak zahipnotyzowany, widział pan to na ekranie. Powiedział mi, że ktoś czy też coś każe mu wrócić do kabiny. Najwidoczniej przygotowywano się już do unicestwienia go - patrzyłem na połyskujące okulary admirała i dosłownie kipiałem ze złości.

- Być może - powiedział admirał - aczkolwiek to, co pan mówi, nie bardzo jest przekonujące. Mam pytanie do Martina. Proszę wstać, Martin.

Martin wyprostował swe dwumetrowe ciało koszykarza.

- Czy próbował pan strzelać, kiedy stało się dla pana jasne, że "obłok" ma agresywne zamiary?

- Strzelałem, sir. Oddałem dwie serie pociskami świetlnymi.

- Z jakim wynikiem?

- Bez żadnego wyniku, sir. To było tak, jak gdybym strzelił śrutem do lawiny śnieżnej.

- A gdyby miał pan inne uzbrojenie? Powiedzmy - miotacz ognia albo napalm?

- Trudno mi powiedzieć, sir.

- Może pan usiąść, Martin. I proszę się na mnie nie gniewać, próbowałem tylko wyjaśnić pewne niejasne dla mnie fragmenty oświadczenia pana Ziernowa. Dziękuję panom za wyjaśnienie.

Atak admirała rozwiązał języki innym. Posypały się pytania jedno za drugim, niczym na konferencji prasowej.

- Użył pan sformułowania: „obłoki przerzucają masy lodowe w przestrzeń”. W jaką przestrzeń? Do atmosfery czy też w przestrzeń kosmiczną?

- Jeżeli do atmosfery, to w jakim celu? Co za pożytek z lodu wprowadzonego do atmosfery?

- Czy ludzkość może się zgodzić na zabieranie z Ziemi lodu w takiej ilości?

- A komu w ogóle są potrzebne lodowce Ziemi?

- Co się stanie z kontynentem pozbawionym płaszczka lodowego? Czy podniesie się poziom wody w oceanie światowym?

- Czy klimat ulegnie zmianie?

- Nie wszystko naraz, towarzysze - błagalnie rozłożył ręce Ziernow. - Spróbujmy po kolei. W jaką przestrzeń? Sądzę, że w przestrzeń kosmiczną. Lodowce w zasięgu atmosfery ziemskiej mogą się przydać jedynie glaciologom. Jakże mógłby się podnieść poziom wody w oceanie światowym, skoro ilość wody się nie zwiększyła? Pytanie stosowne na lekcji geografii, w klasie, no powiedzmy, piątej. Pytanie dotyczące klimatu także mogłoby się znaleźć w podręczniku szkolnym.

- Jaka jest, waszym zdaniem, najbardziej prawdopodobna struktura "obłoku"? Odniosłem wrażenie, że jest to gaz.

- Myślący gaz - zachichotał ktoś. - A to z jakiego podręcznika?

- Jesteście fizykiem? - zapytał Ziernow.

- Powiedzmy.

- Powiedzmy zatem, że to właśnie wy napiszecie ten podręcznik.

Wstał korespondent "Izwestii". Znałem go.

- W jakiejś fantastycznonaukowej powieści zdarzyło mi się czytać o przybyszach z Plutona. Nawiasem mówiąc, wylądowali również na Antarktydzie. Czy uważacie to za możliwe?

- Nie wiem. Przecież ani słowem nie wspominałem o Plutonie.

- Powiedzmy, że nie z Plutona. Powiedzmy, że w ogóle skądś z kosmosu. Z jakiegokolwiek układu słonecznego. Po cóż mieliby latać po lód aż na Ziemię? Na sam koniec naszej galaktyki. We wszechświecie jest lodu pod dostatkiem, można by go było znaleźć gdzieś bliżej.

- Bliżej czego? - zapytał Ziernow z uśmiechem.

Podziwiałem go. Pod gradem pytań nie zatracił ani humoru, ani spokoju. Nie był autorem odkrycia naukowego, ale tylko przypadkowym świadkiem unikalnego, niewyjaśnionego fenomenu, o którym wiedział nie więcej niż każdy inny widz mojego filmu. Ale sala Tlie wiedzieć czemu najwyraźniej zapomniała o tym, on zaś niezmiernie odpowiadał na każdą replikę.

- Lód to woda - powiedział tonem zmęczonego pod koniec lekcji nauczyciela - związek bynajmniej nie tak często spotykany nawet w naszym układzie planetarnym. Nie wiemy, czy jest woda na Wenus, na Marsie jest jej bardzo mało, na Jowiszu i na Uranie nie ma jej w ogóle. A i we wszechświecie nie znajduje się bynajmniej tak wiele lodu ziemskiego pochodzenia. Niechże mnie poprawią nasi astronomowie, jeśli się omyłę, ale o ile pamiętam lód kosmiczny to głównie zamrożone gazy,

amoniak, metan, dwutlenek węgla, azot.

- Czemu nikt nie pyta o sobowtóry? - szepnąłem do Tolka. I w tejże chwili profesor Kiedrin przypomniał sobie o mnie.

- Chciałbym zadać pytanie Anochinowi. Czy kontaktowaliście się ze swoim sobowtorem, czyście z nim rozmawiali? Jeśli tak, to ciekawe o czym?

- Rozmawialiśmy dość dużo, o różnych rzeczach - powiedziałem.

- Czy zauważyliście jakąkolwiek różnicę, choćby czysto zewnętrzną, choćby w jakichś drobiazgach, w niepozornych szczegółach? Mam na myśli różnicę między wami oboma?

- Nie, żadnej. Nawet nasza krew była identyczna. - Opowiedziałem o mikroskopie.

- A pamięć? Wspomnienia z dzieciństwa, z młodości? Nie sprawdzaliście tego?

Opowiedziałem także i o tym, co pamiętaliśmy. Nie mogłem zrozumieć, do czego profesor zmierza. Ale sam to zaraz wyjaśnił:

- W takim razie pytanie admirała Thompsona, pytanie bardzo niepokojące, nawet przerażające, powinno zaniepokoić także i nas. Skoro ludzie-sobowtóry nadal będą się pojawiali, skoro pojawią się, że tak powiem, nieunicestwione sobowtóry, to w jaki sposób zdołamy odróżnić człowieka od jego modelu? A także w jaki sposób oni będą odróżniać sami siebie? Chodzi tu, jak mi się wydaje, nie tylko o absolutne podobieństwo, ale także o wewnętrzne przekonanie każdego, że to właśnie on jest tym prawdziwym a nie tym zsyntetyzowanym.

Przypomniałem sobie moje spory z moim nieszczęsnym "dublerem" i zmieszałem się. Wyręczył mnie Ziernow.

- Jest tu pewien ciekawy szczegół - powiedział Ziernow. - Sobowtóry pojawiają się zawsze po takim samym śnie. Człowiek ma wrażenie, że pogrąża się w czymś czerwonym czy też malinowym, a niekiedy fioletowym, ale zawsze gęstym i chłodnym jak galareta albo kisiel. Ta niewyjaśniona substancja wypełnia całego człowieka, jego wnętrze i wszystkie naczynia. Nie mogę stwierdzić z całą stanowczością, że rzeczywiście je wypełnia, ale w każdym razie człowiek odnosi takie wrażenie. Nie może się poruszyć, jest jak gdyby sparaliżowany i zaczyna się czuć podobnie jak człowiek, który znajduje się w stanie hipnozy - wydaje mu się, że ktoś niewidzialny zagląda do jego mózgu, widzi każdą komórkę jego ciała. Potem ta szkarłatna ciemność znika, powraca jasność myśli i swoboda ruchów, człowiek sądzi, że przyśnił mu się po prostu bezsensowny i straszny sen. A po pewnym czasie pojawia się sobowtór. Człowiek zdążył już wszakże po przebudzeniu coś zrobić, pomyśleć o czymś, z kimś porozmawiać. Sobowtór o tym nie wie. Anochin obudzony zobaczył nie jedną, ale dwie "Charkowianki", z których każda miała tak samo wgniecioną przednią szybę i tak samo zespawaną gaśnicę. Dla jego sobowtóra to były odkrycia. Pamiętał bowiem tylko to, co pamiętał sam Anochin, zanim się zapadł w szkarłatną ciemność. Analogiczne różnice dadzą się zauważyć także i w pozostałych przypadkach. Diaczuk po przebudzeniu ogolił się i zaciął się przy tym w policzek. Sobowtór, który go odwiedził, nie miał takiej ranki. Czocheli położył się spać

mocno podchmielony po wypiciu szklanki spirytusu, wstał zaś zupełnie trzeźwy, z pełną jasnością umysłu. Sobowtór zaś zjawił się przed nim z trudem utrzymując się na nogach, miał zmętniało oczy, był zupełnie pijany - Wydaje mi się, że właśnie ten okres, a ściślej - działanie człowieka po przebudzeniu się ze "szkarłatnego snu" w wątpliwych wypadkach zawsze umożliwią odróżnienie oryginału od kopii.

- Czy wam również przyśnił się taki sen? - zapytał ktoś.

- Tak.

- Ale nie miał pan sobowtóra?

- To mnie właśnie niepokoi. Dlaczego jestem wyjątkiem?

- Nie jesteście wyjątkiem - odpowiedział Ziernowowi jego własny głos.

Ten, który to powiedział, stał w końcu sali, za wszystkimi, nieomal w drzwiach i ubrany był nieco inaczej niż Ziernow. Ziernow miał na sobie szary wizytowy garnitur, zaś ów nowy Ziernow był w starym ciemnozielonym swetrze, takim, jaki nosił Ziernow podczas wyprawy. Nieznajomy miał na sobie również watowane spodnie Ziernowa i futrzane buty kanadyjskie, na które z zazdrością spoglądałem w czasie naszej podróży. Czy zresztą można go było uznać za nieznajomego? Nawet ja, który spędziłem z Ziernowem tyle dni, nie mogłem teraz odróżnić obu Ziernowów. Jeśli ten, który stał na mównicy, był Ziernowem, to w drzwiach stała idealna jego kopia.

Sala jęknęła, część obecnych wstała i przyglądała się w osłupieniu to jednemu, to drugiemu Ziernowowi, pozostali siedzieli z rozdziawionymi po dziecinnemu ustami. Kiedrin oglądał z zainteresowaniem sobowtóra, na wąskich wargach amerykańskiego admirała pojawił się złośliwy uśmiech - był on, jak się wydaje, zadowolony z tak nieoczekiwanego potwierdzenia jego niepokojów.

A Ziernow-sobowtór nie śpiesząc się przeszedł na estradę odprowadzany tak ciekawymi spojrzeniami, jakimi zaszczytane bywają tylko największe sławy światowe. Obejrzał się, przysunął sobie taboret i usiadł przy tym samym stoliku, zza którego komentował film Ziernow. Widok ów nie miał w sobie niczego nadzwyczajnego - siedziało oto dwóch braci bliźniaków, którzy spotkali się po długiej rozłące. Ale każdy rozumiał, że nie ma tu mowy ani o rozłące, ani o braciach. Po prostu jeden z siedzących był niepojętym dla ludzkiego umysłu dziwem. Ale który? Rozumiałem teraz admirała Thompsona.

- Dlaczego nie zjawiłeś się podczas podróży? Czekałem na ciebie - powiedział Ziernow numer jeden.

Ziernow numer dwa wzruszył ramionami.

- Pamiętam wszystko aż do chwili, kiedy przyśnił mi się ten różowy sen. Potem mam lukę w pamięci. A potem nagle wchodzę do tej sali, patrzę, słucham i wydaje mi się, że zaczynam rozumieć... - Spojrzał na Ziernowa i uśmiechnął się. - Ależ my jesteśmy do siebie podobni!

- Przewidywałem to - wzruszył ramionami Ziernow.

- A ja nie. Gdybyśmy się byli spotkali tam, tak jak Anochin ze swoim sobowtórem, za nic w świecie nie zrezygnowałbym ze swojego autentyzmu. Któż zdołałby mi udowodnić, że to ty jesteś oryginałem a ja zaledwie repliką? Przecież ja - to ty, pamiętam całe twoje czy swoje - sam już nie wiem czyje właściwie - życie, każdy drobiazg, pamiętam zapewne lepiej niż ty, zsyntetyzowana pamięć jest zapewne lepsza. Antenie Kuźmiczu - zwrócił się do sali - czy pamiętacie naszą rozmowę przed wyjazdem wyprawy? Nie to, co mówiliśmy o doświadczeniach, ale po prostu nasze ostatnie słowa? Pamiętacie?

Profesor Kiedrin zmieszał się.

- Nie pamiętam.

- Ja także nie pamiętam... - powiedział Ziernow numer jeden.

- Stukaliście, profesorze, ustnikiem papierosa w pudełko "Kazbeków" - nie bez pewnej chępliwości przypomniał Ziernow numer dwa - i powiedzieliście: "Chcę rzucić palenie, Borys. Od jutra z tym skończę".

Odpowiedział mu huragan śmiechu - profesor Kiedrin gryzł ustnik zagasłego niedopałka.

- Mam pytanie - wstał admirał Thompson. - Pytanie do pana Ziernowa w zielonym swetrze. Czy pamięta pan nasze spotkanie w Mac Murdoch?

- Oczywiście - odpowiedział po angielsku Ziernow-sobowtór.

- A ten drobiazg, który tak się panu wtedy podobał?

- Oczywiście - powtórzył Ziernow-sobowtór. - Podarował mi pan wieczne pióro z pańskim złotym monogramem. Pióro jest w tej chwili w moim pokoju, w kieszeni mojej letniej kurtki.

- Mojej letniej kurtki - żartobliwie poprawił go Ziernow.

- Nie zdołałbyś mnie o tym przekonać, gdybym nie obejrzał waszego filmu. Teraz już wiem, że nie wracałem z wami amfibią, nie spotkałem amerykańskiego lotnika, a zagładę jego sobowtóra widziałem jedynie na ekranie. Przewiduję, że i mnie także czeka taki koniec.

- Być może, że jesteśmy wyjątkiem - powiedział Ziernow - być może, że zostanie nam podarowane współistnienie...

Teraz zauważyłem różnicę między nimi. Jeden z nich mówił spokojnie, nie tracąc właściwej mu zimnej krwi, drugi był napięty wewnętrznie.

- Sam w to nie wierzysz - powiedział. - Nas tworzą eksperymentalnie i unicestwiają jako produkty tego eksperymentu. Dlaczego - tego nie wie nikt, ani wy, ani my. Mam w pamięci, w twojej pamięci, w naszej wspólnej pamięci, opowieść Anochina - spojrzał na mnie i coś we mnie zadrzało, kiedy

napotkałem to tak bardzo znajome spojrzenie. - Kiedy obłok zaczął lądować, Anochin wezwał swojego sobowtóra do wspólnej ucieczki. Sobowtór odmówił. "Nie mogę" - powiedział. - "Coś mi nakazuje pozostać". I wrócił do kabiny, by zginąć - wszyscy to widzieli. Więc tak to jest: ty możesz wstać i wyjść stąd, ja - nie. Już teraz coś mi każe nie poruszać się.

Ziernow wyciągnął do niego rękę, dłoń jego natknęła się na niewidzialną przeszkodę.

- To się nie uda - uśmiechnął się ze smutkiem Ziernow-sobowtór. - Pole. Używam waszego terminu, bo podobnie jak wy nie znam innego... A zatem - już się utworzyło pole. Przebywam w nim jak w skafandrze.

Ktoś, kto siedział obok nich, również spróbował dotknąć syntetycznego człowieka, ale także mu się to nie udało, jego ręka napotkała zgęstniałe, twarde jak drzewo powietrze.

- Wiedzieć, że zbliża się koniec, i nie móc temu przeciwdziałać to straszne - powiedział Ziernow numer dwa. - Mimo wszystko jestem człowiekiem a nie biomasą.

Pełna zgrozy cisza przytłoczyła całą salę. Ktoś oddychał ciężko. Ktoś zakrył oczy dłonią. Admirał Thompson zdjął okulary. Ja zmrużyłem oczy.

Ręka, którą położył Martin na moim kolanie, zadrżała.

- Look up! - krzyknął Martin.

Spojrzałem ku górze i zamarłem - z sufitu w stronę siedzącego bez ruchu Ziernowa w zielonym swetrze spełzała pulsująca fioletowa rura. Zakończona czymś na kształt gramofonowej trąby rozszerzała się i pieniała, powoli ł dokładnie okrywała niczym pokrowiec znajdującego się pod nią człowieka. W minutę później zobaczyliśmy coś, co przypominało fioletowy żeliwny stalaktyt i łączyło się z podobnym, wyrastającym z estrady stalagmitem. Podstawa stalagmitu znajdowała się na podłodze koło stolika, stalaktyt zaś spływał z sufitu, przebijając dach i trzymetrową warstwę leżącego na dachu śniegu. Po następnych trzydziestu sekundach spieniona krawędź trąby zaczęło się odwijać ku górze, a w jej pustym różowym wnętrzu, które widzieliśmy wszyscy, nie było ani człowieka, ani krzesła. Minęła jeszcze minuta i różowa piana przeniknęła przez sufit niczym coś niematerialnego, nie uszkodziła ani plastyku, ani izolacji termicznej.

- Koniec - powiedział "nasz" Ziernow i wstał. - Finis, jak mówiono w starożytnym Rzymie.

# CZĘŚĆ DRUGA

“Stworzenie świata”



## SAMOLOT-WIDMO

W Moskwie miałem pecha - przetrzymać surową zimę antarktyczną, nie kichnąć ani razu przy sześćdziesięciostopniowym mrozie i przeziębic się wśród jesiennych moskiewskich mżawek, kiedy nawet w nocy granatowy słupek w zaokiennym termometrze nie opadał poniżej zera! Co prawda medycyna obiecała mi, że w najbliższy wtorek będę już zupełnie zdrow, ale w niedzielę rano leżałem jeszcze z kataplazmem na plecach i nie mogłem nawet zejść do skrzynki po gazety. Gazety zresztą przyniósł mi Tolek Diaczuk. Szczerze ucieszyłem się, że przyszedł, choć po przyjeździe z Mirnego od razu wrócił do swego Instytutu Prognoz, do swoich map wiatrów i cyklonów i nie brał udziału w całej naszej krzątaninie związanej ze sprawą różowych obłoków. Tolek usadowił się w fotelu pod oknem i akompaniując sobie na gitarze mruczał jakąś własną kompozycję.

- Podoba ci się? - zapytał wreszcie.

- Co? - nie zrozumiałem.

- Jak to - co? Piosenka, oczywiście.

- Jaka piosenka? - ciągle jeszcze go nie rozumiałem.

- A więc nie słuchałeś? - westchnął. - Od razu tak sobie pomyślałem. Nie szkodzi, powtórzę.

I zaśpiewał przeciągłym recitativem, jakim zwykły śpiewać pozbawione głosu piosenkarki, które nigdy nie rozstają się z mikrofonem. Któż mógł wtedy przypuszczać, jak godny pozazdrosczenia los oczekuje ów utwór Diaczuka!

*To mit czy sen, czy jawa?*

*Przypatrzcie się, nim znikną.*

*To jeźdźcy znikąd jadą,*

*nieznani jeźdźcy znikąd.*

*W oczekiwaniu cudu*

*zamarła stara Ziemia -*

*krok jeźdźców znikąd dudni*

*i cały świat oniemiał.*

*To jeźdźcy znikąd jadą*

*niechybnie, nieustannie...*

*I Hamlet znowu zada*

*odwieczne swe pytanie:*

*To ludzie, czy bogowie?*

*Czy może zjawą zwykłą?*

*Lecz któż się tego dowie*

*i kto z nas to rozwikła?*

Zrobił pauzę, a potem ciągnął nieco uroczyściej:

*Kto ich rozpoznać zdoła?*

*Kto zdoła ich zrozumieć?*

*Niepoznawalni zgoła,*

*zmieszani z nami w tłumie...*

*To jeźdźcy znikąd jadą -*

*różowo śnieg się pali -*

*i długą kawalkadą*

*znikają w mroźnej dali...*

Westchnął i popatrzył na mnie. Oczekiwał na wyrok.

- Nieźle - powiedziałem. - Da się zaśpiewać. Lecz skąd u mołojca ten smutek hiszpański? Skąd ten pesymizm? Cóż to, żałujesz im lodu? Zdejm mi lepiej te kataplazmy i tak już ich nie czuję.

Tolek zdarł z moich umęczonych pleców suche już kataplazmy i powiedział:

- Nawiasem mówiąc widziano je również w Arktyce.

- Kataplazmy?

- To wcale nie jest śmieszne.

- Pewnie, może nawet straszne?

- Może nawet straszne. Na Grenlandii także tną lód. Były komunikaty.

- No to co? Będzie cieplej.

- A jeżeli zabiorą z Ziemi cały lód? Z Arktyki, z Antarktydy, z gór i z oceanów?

- Ty się na tym lepiej znasz, jesteś przecież klimatologiem. Na Morzu Białym będziemy łowili sardynki, a na Grenlandii zasadzimy pomarańcze.

- Teoretycznie - westchnął. - Któż może wiedzieć, jakie będą praktyczne konsekwencje tego? Nikt. Zresztą nie chodzi o lodowce. Przeczytaj sobie lepiej przemówienie Thompsona. TASS podał je in extenso. - Wskazał plik gazet. - Twardy staruch. Dużo krwi nam napsuje - dodał. - Zresztą nie tylko mam. Nawiasem mówiąc wykorzystał naszą nazwę. Z raportu Lisowskiego: Horsemen from nowhere.

- Jeźdźcy znikąd. Ale to przecież ty wymyśliłeś? - przypomniałem sobie.

- Ale kto to spopularyzował?

Specjalny korespondent "Izwestii" Lisowski, który razem z nami wrócił z Mirnego, był autorem artykułu o różowych obłokach, który obiegił całą prasę światową. Lisowski tak właśnie zatytułował swój artykuł: "Jeźdźcy znikąd". Natomiast samą tę nazwę wymyślił rzeczywiście Tolek. To on, zobaczywszy ich z okna samolotu, zawołał: "Jeźdźcy, jak Boga kocham, jeźdźcy!". "Ale skąd?" - zapytał ktoś. "A bo ja wiem? Znikąd". A Lisowski natychmiast głośno powtórzył: "Jeźdźcy znikąd. Niezłe na tytuł".

Nasz pasażerski odrzutowiec leciał wtedy z lodowego lotniska w Mirnym ku wybrzeżom Afryki Południowej. Lecieli nim wracający z zimowiska uczeni, a także kilku dziennikarzy. Mówiono oczywiście o różowych obłokach, ale nie była to poważna rozmowa, raczej żartowano - słowem, była to taka sobie zwykła gadanina dla zabicia czasu.

Wygięte na kształt bumerangów różowe obłoki ukazały się nieoczekiwanie na tle białych strzępków wysokich chmur, cwałowały po tych chmurach i niknęły w nich niczym jeźdźcy w stepowych burzanach. Zresztą można je było porównać do czego, kto chciał - w oka mgnieniu zmieniały kształt. Sześć czy siedem z nich ruszyło w naszym kierunku, rozplynęło się w różowe naleśniki, pociemniało i owinęło samolot niczym nieprzenikniony purpurowy kokon. Trzeba przyznać naszemu pilotowi, że ani drgnął na ten widok i prowadził nadal samolot, jak gdyby nic się nie stało - skoro jesteśmy wewnątrz kokonu, to polecimy dalej w kokonie!

Złowiesz cisza zapadła w kabinie. Wszyscy czegoś oczekiwali, spoglądali na siebie lękliwie, nikt się nie odzywał. Czerwona mgła przesączała się już przez kadłub samolotu. Nikt nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje. Wydawało się, że nie ma dla tej mgły żadnych materialnych przeszkód, albo też może ona sama jest niematerialna, jest tylko iluzją, istnieje tylko w naszej świadomości. Mgła ta wkrótce wypełniła całą kabinę, dziwny purpurowy półmrok okrył pasażerów siedzących przede mną i za mną. "Rozumiecie coś z tego?" - zapytał mnie Lisowski, który siedział obok mnie, po drugiej stronie przejścia. "Czy nie odnosicie wrażenia, że ktoś zagląda do waszego mózgu, patrzy przez was na wylot?" - odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Przez chwilę milczał, zastanawiał się zapewne, czy aby nie zwariowałem ze strachu, a potem zacinając się zaczął mówić:

"N-nie, nie mam takiego wrażenia, a dlaczego o to pytacie?" "To po prostu mgła, wrażenia nic tu nie mają do rzeczy" - powiedział ktoś obok nas. Ja także nie odniosłem takiego wrażenia. To, co się działo w samolocie, ani trochę nie przypominało tego, co się zdarzyło w amfibii czy w namiocie. Wówczas czułem, że ktoś czy coś przegląda mnie niejako, nieodczuwalnie obmacuje, jak gdyby badał

strukturę cząsteczkową mego ciała, jak gdyby liczył każdą z tych cząsteczek. Teraz nie miałem takiego wrażenia. Otaczała mnie po prostu rozsnuta po całej kabynie mgła, coś jak podbarwione karminem powietrze, nieprzejrzysta jak mętna woda w łańce, ani ciepła, ani zimna, nie drażniąca oczu ani nozdrzy, nieodczuwalna. Opływała mnie nie dotykając mojej skóry i powoli tajała czy też wyparowywała. Niebawem mogłem już dojrzeć własne ręce, ubranie, obicia foteli i siedzących koło mnie pasażerów. Z tyłu dobiegło mnie czyjeś pytanie: "Jak długo to trwało? Nie patrzyliście na zegarek?". I odpowiedź: "Nie, nie spojrzałem, nie wiem". Ja także nie wiedziałem, może trwało to trzy minuty, może dziesięć.

I właśnie wtedy zobaczyliśmy coś znacznie straszniejszego. Spróbujcie zmrużyć oczy, mocno zaciskając powieki - wyda się wam, że przedmiot, na który patrzycie, zaczyna się rozdawać - wygląda to tak, jak gdyby oddzielała się odeń jego kopia, kopia ta odpływa gdzieś na bok. Coś takiego właśnie stało się z całym wnętrzem samolotu, ze wszystkim, co się znajdowało w naszym polu widzenia. Widziałem jak najwyraźniej - a potem miałem się dowiedzieć, że to samo widzieli wszyscy - jak od naszej kabiny wraz ze wszystkim, co zawierała, oddzielił się jej duplikat z podłogą, oknami, fotelami i pasażerami, oddzielił się, uniósł się na jakie pół metra i odpłynął w bok. Zobaczyłem siebie samego, trzymającego gitarę Tolka, Lisowskiego, widziałem, jak Lisowski próbował uchwycić swoją odpływającą kopię, ale uchwycił tylko powietrze, zobaczyłem już nie wnętrze naszej kabiny, tylko zewnętrzną ścianę samolotu, widziałem, jak ta ściana przeniknęła przez ścianę rzeczywistości, jak podążyło potem za nią skrzydło przechodzące przez nas niczym gigantyczny cień samolotu i jak wszystko zniknęło, jak gdyby rozpląnęło się w powietrzu. A jednak nie zniknęło, nie rozpląnęło się. Rzuciliśmy się do okien i zobaczyliśmy taki sam samolot jak nasz; leciał obok naszego, był wierną kopią naszego i nie był bynajmniej iluzją, czego dowiódł bystrzejszy od pozostałych Lisowski, który mimo wszystko zdążył zrobić zdjęcie. Na tym publikowanym wszędzie zdjęciu był duplikat naszego odrzutowca sfotografowany w locie z odległości dziesięciu metrów.

Niestety, to co zaszło później, nie zostało przez nikogo sfotografowane - nie zdążyliśmy. Wszystko stało się i skończyło błyskawicznie. Samolot-sobowtór znalazł się nagle w znanym nam malinowym kokonie kokon wyprężył się, spurpurowiał, potem znowu zrobił się fioletowy, roztajał. Nie zostało nic - nie było ani samolotu, ani kokonu.

Pamiętam, że z kabiny pilotów wyszedł pierwszy pilot i nieśmiało zapytał: "Czy może ktoś z towarzyszy byłby w stanie wyjaśnić nam, co się stało?". Nikt się nie odezwał, pierwszy pilot odczekał chwilę, a potem z uśmiechem, który nie miał być dla nas komplementem powiedział: "Cóż to, towarzysze uczeni? Jakiś nie dający się wyjaśnić fenomen? Cud? Cudów przecież nie ma". "Okazuje się, że się zdarzają" - odpowiedział mu ktoś. Wszyscy się roześmiali. A wtedy Lisowski zapytał: "Może towarzyszu Ziernow nam to wyjaśni?" "Nie jestem bogiem ani wyrocznią delficką" - burknął w odpowiedzi Ziernow. "Czy mogę tak napisać?" - zjadliwie zapytał Lisowski. "Możecie tak napisać" - uciał Ziernow i zamilkł.

Zaczął ze mną o tym rozmawiać po wylądowaniu w Karaczi, kiedy obu nam udało się przedrzeć przez tłum dziennikarzy, którzy wylegli na powitanie samolotu - okazało się, że nasz radiotelegrafista jeszcze z powietrza nadał depezę o tym, co zaszło. Podczas gdy dziennikarze uzbrojeni w aparaty fotograficzne i kamery filmowe obiegli załogę samolotu, ja i Ziernow zdołaliśmy się niepostrzeżenie przemknąć do bufetu i z rozkoszą zamówiliśmy coś zimnego. Pamiętam, że o coś Ziernowa zapytałem.

Nie odpowiedział mi. Potem, jak gdyby odpowiadając nie na moje pytanie, ale na jakieś prześladowające go myśli, powiedział:

- Inna metoda modelowania. Zupełnie inna.

- Mówicie o "jeźdźcach"? - zapytałem.

- A więc jest już nazwa - uśmiechnął się. - To się przyjmie. Zobaczycie, przyjmie się, i u nas, i na Zachodzie. A modelowano tym razem zupełnie inaczej - dodał.

Nie zrozumiałem.

- Samolot?

- Nie sędzę. Samolot z pewnością wymodelowali całkowicie. Także tym sposobem. Najpierw iluzorycznie, potem materialnie. Skopiowali dokładnie całą strukturę atomową. Ale ludzi modelowali inaczej. Tylko formę zewnętrzną, atrapę, funkcję pasażera. Co robi pasażer? Siedzi w fotelu, wygląda przez okno, pije wodę mineralną, przegląda książkę. Wątpię, czy odtwarzano całe skomplikowane życie psychiczne człowieka. To nie było im potrzebne. Potrzebny im był ożywiony, działający model samolotu z ożywionymi, działającymi pasażerami. Jest to zresztą tylko domysł.

- Po cóż więc mieliby niszczyć taki model?

- A po co niszczą sobowtóry? - zapytał w odpowiedzi. - Pamiętacie pożegnanie z moim bliźniakiem? Dotąd nie mogę tego zapomnieć.

Zamilkł i nie odpowiadał już na moje pytania. Dopiero kiedy wyszliśmy z restauracji i minęliśmy Lisowskiego otoczonego przez co najmniej dziesiątek korespondentów zagranicznych, Ziernow roześmiał się i powiedział:

- Z pewnością opowie im o „jeźdźcach”. A oni to podchwycą. Skojarzą z Apokalipsą. Będzie i koń biały, i koń wrony, i jeźdźcy na nich siedzący, śmierć niosący - wszystko to z pewnością będzie.

Przewidywania Ziernowa sprawdziły się co do joty. O mało nie podskoczyłem na łóżku, kiedy wraz z depezbami donoszącymi o pojawieniu się różowych obłoków na Alasce i w Himalajach, Diaczuk przeczytał mi tłumaczenie artykułu admirała Thompsona wydrukowanego w jakiejś nowojorskiej gazecie. Terminologia, wyśmiana przez Ziernowa, była właśnie terminologią, którą posługiwał się admirał.

“Ktoś nazwał je trafnie jeźdźcami - pisał admirał - a jednak nie trafił w dziesiątkę. Nie są to zwykli jeźdźcy. To Jeźdźcy Apokalipsy. Nie przypadkiem używam tego porównania. Zacytujmy słowa proroka: »... a oto koń płowy, a tego, który siedzi na nim, imię jest śmierć, a piekło szło za nim; i dana im jest moc nad czwartą częścią ziemi, aby zabijali mieczem i głodem, i morem«. Amerykanie rozumieją, dlaczego uciekam się do terminologii, która naturalniej zabrzmiałaby w ustach kardynała kościoła rzymskokatolickiego niż w ustach emerytowanego oficera marynarki wojennej. Muszę tak postąpić, zbyt beztrusko bowiem ludzkość odnosi się do swoich nieproszonych gości”. Admirał nie interesowało to, skąd się ci goście zjawili, z Syriusza czy może z Alfa Centaur!. Nie był także

zaniepokojony eksportowaniem w kosmos ziemskich lodowców. Interesowało go pojawianie się i znikanie sobowtórów. Już w Mirnym powątpiewał, czy aby na pewno znikają sobowtóry a nie ludzie. Teraz, w artykule, z przekonaniem, a nawet dość agresywnie dowodził słuszności tej swojej tezy.

Godny uwagi był nie tylko sens tego artykułu, ale i ton, w którym artykuł był utrzymany, ton panikarski i krzykliwy. Ludzi przyzwyczajonych do przyjmowania na wiarę wszelkich reklamowych bredni artykuł tego z pewnością niegłupiego, ale najwyraźniej z góry uprzedzonego człowieka, mógł doprawdy poważnie przestraszyć.

Kiedy podzieliłem się tymi myślami z Tolkiem, ten powiedział:

- Artykuł admirała to drobiazg. Zarysowuje się nowy problem. Zawsze dotąd, kiedy uczeni albo fanteści pisali o prawdopodobieństwie spotkania w kosmosie z innymi istotami myślącymi, interesowało ich, czy te istoty odniosą się do ludzi przyjaźnie czy też wrogo. Nikt jednak nie zastanawiał się nad problemem wrogiego stosunku ludzi do takich istot rozumnych. A przecież w tym właśnie tkwi problem.

No cóż, było nad czym pomyśleć.

Tolek mówił czasami bardzo roztropnie. Przypomniałem sobie, że na posiedzeniu Akademii Nauk również poruszono ten problem,

## ONI WIDZĄ, SŁYSZĄ I CZUJĄ

Przyszedłem na posiedzenie mniej więcej na godzinę przed wyznaczonym terminem, chciałem bowiem sprawdzić projektor, ekran i aparaturę dźwiękową - film wyświetlano teraz z nagrany komentarzem. W sali konferencyjnej zastałem tylko Irkę Fatiejewą, jednego z sekretarzy specjalnej komisji do spraw obłoków. Nawiasem mówiąc uprzedzono mnie, że ta Irka to nie byle kto - poliglotka i wielka erudytka. Możesz ją zapytać, co się stanie, jeżeli zanurzysz wypreparowany mózg w roztworze calcium chloratum - odpowie. Zapytasz o czwarty stan materii - odpowie. Zapytasz, co to takiego topologia - odpowie. Ale nie pytałem o nic. Jak tylko na nią spojrzałem, od razu uwierzyłem, że powiedziano mi prawdę.

Miała na sobie ciemnoniebieski sweter w surowy abstrakcyjny wzór, uczesana była w kok, nosiła lekko przydymione szkła bez oprawki - takie wąskie, prostokątne szkiełka. Ukrywały się za tymi szklami - jak się wkrótce miałem o tym przekonać - mądre, uważne i bardzo wymagające oczy. Ale wówczas, kiedy wszedłem do sali, nie zobaczyłem jej oczu - Fatiejewa nawet nie uniosła głowy, zapisywała coś w ogromnym czarnym notatniku.

Odkaszlnąłem.

- Nie pokaszujcie, Anochin, i nie stójcie na środku pokoju - powiedziała, nadal na mnie nie patrząc - znam was i wiem o was wszystko, więc możecie się nie przedstawiać. Usiądźcie sobie gdziekolwiek i poczekajcie, aż skończę to expose.

- Co to znaczy „expose”? - zapytałem. Nie udawajcie, że wiecie mniej, niż naprawdę wiecie. Co zaś do expose dzisiejszego posiedzenia to nie musicie go znać. Nie jesteście tam zaproszeni.

- Dokąd? - zapytałem znowu.

- Do Rady Ministrów. Wyświetlano tam wczoraj wasz film.

Wiedziałem o tym, ale nic nie powiedziałem. Prostokątne szkiełka zwróciły się w moją stronę. „Gdyby tak zdjęła okulary” - pomyślałem sobie.

Zdjęła okulary.

- Wierzę odtąd w telepatię - powiedziałem.

Wstała. Była wysoka i dobrze zbudowana.

- Przyszliście, żeby sprawdzić aparaturę, Anochin, żeby upewnić się, czy ekran jest dobrze naciągnięty i czy działa regulator dźwięku? Wszystko to już zrobiono.

- A co to jest topologia? - zapytałem.

Nie osłonięte szklami okularów oczy nie zdążyły mnie spopielić. Przeszkodzili im w tym uczestnicy zbliżającego się zebrania, którzy najwyraźniej za nic nie chcieli się spóźnić. Po kwadransie mieliśmy już quorum. Nie było żadnych debat nad porządkiem dziennym. Tylko przewodniczący zapytał

Ziernowa, czy będzie jakieś zagajenie. "Po co?" - zapytał Ziernow w odpowiedzi. Zgasło światło i na ekranie na błękitnym niebie Antarktydy zaczął narastać malinowy dzwon.

Kiedy malinowy kwiat połknął mojego sobowtóra wraz z całą amfibią, odezwał się czyjś wesóły bas:

- Wszyscy, którzy uważali, że człowiek jest królem stworzenia - podnieść ręce!

Rozległy się śmiechy. Ten sam głos ciągnął:

- Zechciejcie wziąć pod uwagę rzecz zupełnie bezsporną: żaden system modelujący nie może stworzyć modelu struktury bardziej złożonej niż on sam.

Kiedy krawędź kwiatu odchyliła się i zapieniła, usłyszałem:

- Płynna piana, co? A jej składniki? Gaz? Ciecz? Substancja pianotwórcza?

- Jesteście pewni, że to piana?

- Niczego nie jestem pewien.

- A może to plazma w bardzo niskich temperaturach?

- Plazma jest gazem. Cóż więc ją utrzymuje?

- A ta pułapka magnetyczna? Pole magnetyczne wytwarza konieczną zaporę.

- Nonsens, kolego. Dlaczego rozdrobniony efemeryczny gaz nie rozpada się ani nie rozsuwa pod naporem tego pola? Przecież to pole siłowe musi dążyć do zmiany kształtu.

- Jak w takim razie, waszym zdaniem, wytwarzają pole magnetyczne obłoki gazu międzygwiazdowego?

- To pytanie należy zadać autorom hipotezy plazmowej. A więc waszym zdaniem i samolot, i człowiek po prostu spłonęli w strumieniu gazowym, w magnetycznej „butelce”?

Pierwsze rzędy znowu się roześmiały.

- To jakaś mistyka. Nieprawdopodobne!

- Nie potrzeba mistyki, by uznać prawdopodobieństwo nieprawdopodobnego. Wystarczy matematyka.

- To paradoks. Wy jesteście jego autorem?

- Nie, Frisch. Matematyk przydałby się tu bardziej niż wy, fizycy. Jego praca byłaby efektywniejsza.

- Ciekawe co by on z tym począł?

- Nie musiałby robić doświadczeń. Zdjęć mamy dosyć. A co na tych zdjęciach zobaczy matematyk?



Figury geometryczne przekształcane dowolnie bez podziałów i połączeń. Zadanko z uniwersyteckiej topologii.

- Przepraszam, a kto w takim razie wyjaśni nam skład tej różowej biomasy?
- Sądzicie, że to biomasa?
- Na podstawie tych kolorowych obrazków nie mogę jej uznać za istotę myślącą.
- Widać nie ulegające wątpliwości opracowywanie informacji.
- Opracowywanie informacji nie jest równoznaczne z myśleniem.

Wymiana uwag trwała nadal. Zwłaszcza lodowa symfonia podnieciła salę. Te obłoki-piły, te gigantyczne tafle lodu w błękitnie nieba...

Skończył się film, zapalono światło, wszyscy zamilkli, jak gdyby wraz z zapaleniem się światła odzyskali właściwą im ostrożność w formułowaniu sądów. Członek Akademii Osowiec, który przewodniczył posiedzeniu, wyczuł to natychmiast.

- Nie jest to sympozjum, towarzysze, nie jest to także zebranie o charakterze akademickim - przypomniał spokojnie zebranym - wszyscy, jak tu jesteśmy, stanowimy komitet specjalny powołany decyzją rządu. Zadania tego komitetu są następujące: określić naturę różowych obłoków, cel, w jakim pojawiły się na Ziemi, stwierdzić, czy ich zamiary są agresywne, czy pokojowe, a jeżeli są to myślące, rozumne istoty - nawiązać z nimi kontakt. Wszelako to, co zobaczyliśmy, nie stanowi jeszcze dostatecznej podstawy do wysnucia konkretnych wniosków czy też podjęcia jakichkolwiek uchwał.

- Dlaczego? - przerwał Osowcowi z sali czyjś znajomy już bas. - A film? Wniosek pierwszy: zademonstrowano nam tu doskonały film naukowy. To bezcenny materiał umożliwiający podjęcie badań. A nasza pierwsza uchwała powinna brzmieć: 'spopularyzować ten film wszędzie, gdzie to będzie możliwe, u nas, i na Zachodzie.

Muszę przyznać, że wysłuchałem tego z ogromną radością. Równie dla mnie miła była także odpowiedź przewodniczącego:

- Członkowie rządu podobnie ocenili ten film. Uchwała taka została już podjęta. Co zaś do towarzysza Anochina to wszedł on w skład grupy roboczej naszego komitetu. Mimo wszystko jednak - ciągnął członek Akademii - film ten nie udziela odpowiedzi na wiele nurtujących nas pytań. Nie mówi, skąd, z jakiego zakątka wszechświata przybyli do nas nasi goście, jakie formy życia reprezentują - bo wątpię, by to były formy białkowe - jaka jest ich struktura fizykochemiczna, czy są to żywe rozumne istoty, czy też bioroboty o funkcjach zaprogramowanych w określony sposób. Można by zadać wiele jeszcze pytań, na które nie otrzymamy w tej chwili odpowiedzi. Przynajmniej w tej chwili. Można już jednak wyrazić pewne domysły, można wysunąć pewne robocze hipotezy i wystąpić z nimi w prasie. Nie tylko w prasie naukowej. Ludzie we wszystkich krajach na świecie chcieliby usłyszeć o różowych obłokach coś, co nie będzie jedynie pogłoską i wróżeniem z fusów, ale naukową informacją, choćby ta informacja miała się ograniczać tylko do tego, co już wiemy na

pewno i czego możemy się domyślać. Możemy więc na przykład powiedzieć im o możliwościach i projektach nawiązania kontaktu, o zmianach klimatu Ziemi związanych ze zniknięciem masywów lodowych, a przede wszystkim możemy przeciwstawić wypowiedzanym tu i ówdzie poglądom o agresywnych zamiarach tej nie znanej nam jeszcze cywilizacji fakty i dowody świadczące o jej lojalnym stosunku do człowieka.

- Nawiasem mówiąc do wszystkiego, co już zostało powiedziane w prasie - korzystając z tego, że Osowiec na chwilę zamilkł powiedział uczony, który siedział obok Ziernowa - dodać można jeszcze jedno. Zawartość ciężkiego wodoru w zwykłej wodzie jest bardzo nieznaczna, lód jednak i woda, którą uzyskujemy z roztopionego lodu, zawierają go jeszcze mniej niż zwykła woda, to znaczy są aktywniejsze biologicznie. Wiadomo także, że woda, na którą działamy polem magnetycznym, zmienia swoje podstawowe właściwości fizykochemiczne. A przecież lodowce Ziemi to woda, która została już poddana oddziaływaniu pola magnetycznego naszej planety. Kto wie, być może, że to rzuci jakieś światło na cele przybyszów?

- Prawdę mówiąc aczkolwiek jestem glaciologiem, to jednak bardziej interesuje mnie ich drugi cel - wtrącił Ziernow. Można zrozumieć, dlaczego modelują wszystko, co napotkają - takie modele przydadzą im się do badań nad życiem na Ziemi. Dlaczego jednak niszczą te modele?

- Zaryzykuję odpowiedź na to pytanie. - Osowiec rozejrzał się po audytorium jak wykładowca, który dostał kartkę z sali. - Przypuśćmy, że zabierają ze sobą nie sam model, ale jedynie zapis jego struktury. I że dla sporządzenia takiego zapisu nieodzowne jest zniszczenie samego modelu, a mówiąc ściślej - zdemontowanie go na cząsteczki, a może nawet i na atomy. Nie chcą wyrządzać szkody ludziom, nie chcą unicestwiać ani ludzi, ani tworów naszych rąk. Więc syntetyzują model, wypróbują go, a następnie niszczą, czy też, mówiąc ściślej, rozbierają na cząsteczki składowe.

- Zatem są to przyjaciele a nie agresorzy? - zapytał ktoś.

- Sądzę, że tak. W każdym razie nie szkodzą ludziom - ostrożnie odpowiedział członek Akademii. Przyszłość pokaże.

Padło wiele pytań. Niektórych nie zrozumiałem, innych już nie pamiętam. Zapamiętałem pytanie, które zadała Irena, pytanie skierowane do Ziernowa:

- Powiedzieliście, profesorze, że oni modelują wszystko, co napotkają. Skąd wiedzą, że coś napotkali? Czy mają oczy? W jaki sposób widzą?

Odpowiedział jej nie sam Ziernow, ale fizyk, który siedział obok niego.

- Nie muszą mieć oczu - wyjaśnił. - Mogą postrzegać dowolny obiekt na zasadzie fotografii. Przypuśćmy, że wytwarzają powierzchnię światłoczułą, podobnie jak wytwarzają pole magnetyczne czy inne i że rzutują na taką powierzchnię światło odbite od owego obiektu. I już. To, oczywista, tylko domysł, jeden z możliwych wariantów. Równie dobrze możemy przyjąć, że mają "instalację" akustyczną podobnego typu albo analogiczną "instalację" węchową.

- Jestem przekonany, że widzą, słyszą i czują wszystko znacznie lepiej od nas - dziwnie uroczyście

powiedział Ziernow.

Tym razem nikt na sali się nie roześmiał. Replika Ziernowa stanowiła jak gdyby podsumowanie wszystkiego, cośmy zobaczyli i usłyszeli, ukazywała zebrany wagę tego, co powinni teraz przemyśleć i zbadać.

Po wyjściu Tolka długo siedziałem przy oknie wpatrzony w zaśnieżoną alejkę asfaltową, która prowadziła do mojej klatki schodowej od wiodącej na ulicę bramy. Miałem nadzieję, że przyjdzie Irena. Teoretycznie mogła przyjść, nie w ramach miłości bliźniego, oczywiście, ale po prostu po to, by zakomunikować mi nowiny i przekazać polecenia - nie mogła tego zrobić przez telefon, bo telefonu jak dotąd nie miałem. A łączyły nas liczne sprawy służbowe - była sekretarzem komitetu specjalnego, ja byłem jednym z referentów tegoż komitetu. Ponadto czekał nas wspólny wyjazd do Paryża na międzynarodową konferencję naukową poświęconą podniecającemu cały świat niepojętemu fenomenowi różowych obłoków. Na czele delegacji stanął członek Akademii Nauk Osowiec, Ziernow i ja jechaliśmy jako naoczni świadkowie, Irena zaś miała wystąpić w roli skromniejszej, ale bez wątpienia ważniejszej - miała być sekretarzem a zarazem tłumaczem delegacji. Znała przecież co najmniej sześć języków. W skład delegacji wchodził poza tym Rogowin, światowej sławy fizyk, to on właśnie dysponował owym żartobliwym basem, który tak dobrze zapamiętałem z projekcji naszego filmu w sali konferencyjnej. Delegacje dla nas były już wypisane, otrzymaliśmy niezbędne dokumenty, mieliśmy wyjechać już za parę dni i trzeba było jeszcze omówić wiele spraw, tym bardziej że Ziernow wyjechał do rodziny do Leningradu i lada dzień powinien był wrócić.

Ale, prawdę mówiąc, bynajmniej nie dlatego chciałem zobaczyć Irenę. Po prostu w ciągu tego tygodnia przymusowego unieruchomienia stęskniłem się za nią, tęskniłem nawet do jej uszczypliwości, do jej przydymionych okularów, które odbierały jej sporo uroku i kobiecości. Coś mnie do niej niepohamowanie ciągnęło - to nie była przyjaźń, nie zadurzenie, ale owo nieokreślone, nieuchwytnie uczucie, które wywołuje w nas ktoś nieobecny, uczucie, które znika, kiedy ów ktoś znajduje się z nami. "Czy ona ci się podoba?" - zapytywałem sam siebie. "Bardzo". „Jesteś w niej zakochany?”. "Nie wiem". Niekiedy źle się czułem w jej obecności, czasem denerwowała mnie po prostu. Sympatia, którą do niej czułem, przeradzała się chwilami w głuche niezadowolenie, miałem ochotę powiedzieć jej coś przykrego. Mieliśmy bardzo różne charaktery i przyzwyczajenia i z pewnością dlatego to, co nas dzieliło, wyostrzało się niekiedy jak brzytwa. W takich konfliktowych sytuacjach moje wykształcenie w jej miażdżącej ocenie okazywało się być kompotem z Kafki, Hemingwaya i Bradbury'ego, jej z kolei erudycja w świetle moich replik to były strzępy wiadomości z rocznika „Młodego technika” sprzed dwóch lat. Czasami mam ochotę przyrównać ją do suszonej ryby i uczonych Laputii, ona z kolei uprzejmie zalicza mnie wtedy do rodziny Prysypkinów. A jednak mamy coś wspólnego, kiedy się ze sobą zgadzamy, jest nam obojgu bardzo dobrze razem.

Ta dziwna i zabawna przyjaźń zrodziła się zaraz po zakończeniu pamiętnej projekcji mojego filmu w Akademii Nauk. Siedziałem w kącie, póki nie rozeszli się doktorowie i kandydaci nauk, póki nie zgasł wielki żyrandol, spakowałem szpule i pudełka, włożyłem wszystko do swojej torby turystycznej i znowu usiadłem. Irena w milczeniu patrzyła na mnie przez swoje przydymione szkiełka.

- A nie jesteście przypadkiem sobowtórem? - zapytała nagle.

- Jestem - przytaknałem. - Jak się tego domyśliliście?

- Wychodząc od zachowania normalnego człowieka. Taki człowiek nie obarczony wyższym wykształceniem ulotniłby się nie czekając na koniec posiedzenia. A wy siedzicie, słuchacie,

zwlekacie i ciągle jeszcze tu jesteście.

- Badam życie Ziemi - oświadczyłem wyniosłe. - My, sobowtóry, jesteśmy systemami samoprogramującymi się i zmieniamy program w miarę potrzeby, w zależności od obiektu, który wart jest zbadania przez nas.

- Ten obiekt - to ja?

- Cóż za wstrząsająca domyślność!

- Możecie uznać seans za zakończony. Zbadaliście już obiekt.

- Zbadałem. Teraz zamówię model, wasz model, ale z pewnymi korekturami.

- Bez okularów?

- Nie tylko. Bez przemądrzałości i bez tej wyniosłości arcykapłanki. Żeby to była zwyczajna dziewczyna o waszym umyśle i o waszej powierzchowności, dziewczyna, która by lubiła chodzić do kina i włóczyć się po ulicach.

Zarzuciłem torbę ze szpulami na ramię i ruszyłem do wyjścia.

- Ja także lubię chodzić do kina i włóczyć się po ulicach - powiedziała, kiedy już byłem przy drzwiach.

W dwa dni później przyszedłem tam w porze, kiedy rozpoczynały się zajęcia, wygolony byłem i wyelegantowany jak dyplomata. Pisała na maszynie. Powiedziałem „dzień dobry” i usiadłem przy jej biurku.

- Wy w jakiej sprawie?

- Do pracy.

- Nie macie jeszcze przeniesienia do nas.

- Ale będę miał.

- Trzeba załatwić formalności w dziale kadr...

- Dział kadr to dla mnie zero do kwadratu - machnąłem lekceważąco ręką. - Interesuje mnie stenogram z przedwczoraj.

- Po co wam to? Przecież i tak nic nie zrozumiecie.

- Interesują mnie zwłaszcza uchwały posiedzenia - kontynuowałem majestatycznie, nie zwracając uwagi na jej przycinki. - O ile wiem, postanowiono wysłać cztery wyprawy - do Arktyki, na Kaukaz, na Grenlandię i w Himalaje. Co do mnie, wybrałbym Grenlandię.

Roześmiała się, jak gdyby miała do czynienia z uczestnikiem szkolnych mistrzostw szachowych, który chce rozegrać mecz z mistrzem świata. Zbiła mnie tym z tropu.

- Więc dokąd?

- Donikąd?

Nie zrozumiałem.

- Jak to? Przecież w każdej ekspedycji potrzebny będzie operator.

- Muszę was zmartwić, Anochin. Operator nie będzie potrzebny. Pojadą pracownicy naukowcy i laboranci z instytutów specjalistycznych. Z Instytutu Filmowego, na przykład. I proszę nie patrzeć na mnie jak ciele na malowane wrota. Po prostu zadaję wam pytanie: czy umiecie obsługiwać introskop? Nie. Czy umiecie filmować obiekty znajdujące się za „barierą nieprzenikliwości”? Na przykład - czy umiecie robić zdjęcia w promieniach podczerwonych? Nie. Czy umiecie przekształcać niewidzialne w widzialne za pomocą elektronowego transformatora akustycznego? Także nie. Widzę to na waszej tak doskonale wygolonej twarzy. Tak że niepotrzebnie żeście się wypucowali.

- No, a zwykłe zdjęcia? - ciągle jeszcze nie rozumiałem. - Zwykły filmus vulgaris?

- Zwykły filmus vulgaris można nakręcić zwykłą kamerą amatorską. Teraz każdy to potrafi. Ważniejsze jest otrzymanie zdjęć ze środowisk nieprzejrzystych, tego, co się znajduje pod zewnętrzną powłoką obłoku. Co się dzieje na przykład z sobowtórem, kiedy znajdzie się w malinowej rurze? Milczałem. Dla zwykłego operatora to było coś jak całki i różniczki.

- No i tak, Jurku - Irka znowu się roześmiała. -

Nic nie umiesz. Metodą Kirliana także nie potracisz się posługiwać?

Nawet nie słyszałem o takiej metodzie.

- A widzisz? Nawiasem mówiąc metoda ta pozwala na odróżnienie istot żywych od materii nieożywionej.

- Ja to mogę odróżnić na oko.

Ale Irka już weszła w rolę wykładowcy.

- Na zdjęciach otrzymanych tą metodą żywą tkankę otacza aureola widmowego światła - wyładowania prądów wysokich napięć. Im intensywniejsze funkcje życiowe, tym jaśniejsza aureola.

- Nawet przedszkolak by zrozumiał, że to żywa tkanka - rozżłościłem się i wstałem. - Proszę się nie martwić o dział kadr. Nie mam tam nic do roboty. Tu też nie. Roześmiała się, tym razem jakoś zupełnie inaczej, wesoło i dobrodusznie.

- Siadajcie. Mogę was pocieszyć. Pojedziemy razem.

- Dokąd? - Złość jeszcze mi nie przeszła. - Na grzyby?

- Nie, do Paryża.

Nie rozumiałem jednak tej diablicy, dopóki nie pokazała mi decyzji dotyczącej naszego wyjazdu na Kongres Paryski.

A teraz czekałem na tę dziewczynę jak na anioła, tkwiłem w oknie i z niecierpliwości gryzłem zapałki. I oczywiście przegapiłem ją, kiedy podszedłem do stołu po papierosy. Zadzwoiła, kiedy już rozmyślałem o możliwości zerwania stosunków dyplomatycznych.

- O Boże! - wrzasnąłem. - Nareszcie. Rzuciła płaszcz na moje ręce i wbiegła tanecznym krokiem do pokoju.

- Nawróciłeś się?

- Od tej właśnie chwili. Uwierzyłem w anioła, który zwiastuje łaskę niebios. Nie dręcz mnie. Kiedy?

- Pojutrze. Ziarnow wraca jutro, a o świcie odlatujemy. Bilety są. Nawiasem mówiąc, dlaczego przeszliśmy na "ty"?

- Instynktownie. Ale nie to mi chciałaś powiedzieć?

- Słusznie.

Śmiejąc się wyrwała mi swój płaszcz i wyjęła z jego kieszeni grubą kopertę z zagranicznymi znaczkami.

- List z Ameryki do ciebie. Zaczynasz być znany na świecie.

- Od Martina - powiedziałem spojrzawszy na adres.

List był zaadresowany, mówiąc delikatnie, w swoisty sposób:

„Jurij Anochin. Pierwszy badacz fenomenu różowych obłoków. Komitet do Walki z Przybyszami z Kosmosu. Moskwa. ZSRR”.

- Komitet do Walki - roześmiała się Irena - oto masz program kontaktów. Thompsonowiec.

- Zaraz zobaczymy.

Martin pisał, że po powrocie z wyprawy antarktycznej jest znowu w swojej jednostce lotniczej stacjonującej pod Sand City, gdzieś na południowym zachodzie Stanów. Zaraz po wystąpieniu Thompsona został oddelegowany do zmontowanego już przez admirała a zrzeszającego ochotników towarzystwa, które miało zwalczać przybyszów z kosmosu. Martin nie zdziwił się, kiedy otrzymał taki przydział. Thompson zapowiadał coś takiego już podczas lotu z Antarktydy do Stanów. Nie zdziwiła go także funkcja, jaką otrzymał - admirał dowiedziawszy się, że jeszcze w college'u Martin

pisywał do pisemek studenckich, mianował go rzecznikiem prasowym.

List napisany był na maszynie - kilkanaście dokładnie zapisanych arkusików. "To mój pierwszy szkic, przeznaczony nie dla prasy, ale dla ciebie - pisał Martin. - Odpisz szczerze czy nadaję się na dziennikarza". Przerzuciłem kilka kartek i jęknąłem.

- Masz - powiedziałem do Ireny podając jej przeczytane stroniczki. - zdaje się, żeśmy wszyscy wpadli.



Martin pisał:

Słońce zaledwie wyrzało zza horyzontu, kiedy wyjechałem za bramę bazy lotniczej. Trzeba się było śpieszyć - dwudziestoczworgodzinny urlop to niezbyt wiele czasu, a do Sand City trzeba jechać przynajmniej godzinę. Wesoło pokiwałem ręką zaspanemu wartownikowi i mój stary dwuosobowy "Coryette" pomknął szosą jak zwykle. Zamajaczył na drodze jakiś chłopak. Dałem klakson i stanąłem.

- Do miasta? - zapytał.

Przytaknąłem. Wsiadł. Był jakiś dziwny, jak gdyby wystraszony, czoło pokrywały mu drobniutkie kropelki potu, na jego koszuli ciemniały pod pachami wielkie mokre kręgi.

- Trenujesz od rana biegi na przełaj? - zapytałem.

- Gorzej - powiedział i sięgnął do kieszeni džinsów. Kiedy wyjmował chusteczkę, na siedzenie wypadła wraz z nią słuwa.

Gwizdnąłem zdumiony.

- Maleńki pościg?

- Głupiś - nie obraził się wcale. - To nie moja, to gospodarza. Pilnuję tutaj stada. Na rancho Viniccio.

- Jesteś kowbojem?

- Jakim tam kowbojem! - zmarszczył się, wycierając spocone czoło. - Nawet nie potrafię dosiąść konia jak należy. Po prostu potrzebuję pieniędzy. Od jesieni zacznę studia.

Uśmiechnąłem się w głębi ducha - uciekający przed szeryfem krwiożerczy gangster przemienił się oto w najzwyczajniejszego studenta, który dorabia sobie korzystając z wakacji.

- Mitchell Casey - przedstawił mi się.

Ja również wymieniłem swoje nazwisko. Nie bez niejakiej próżności byłem przekonany, że coś mu ono powie - od czasu mego spotkania z potworami z Mac Murdoch gazety stale o mnie pisały. Omyliłem się jednak. Nie słyszał ani o mnie, ani o różowych obłokach. Od dwóch miesięcy ani nie słuchał radia, ani nie czytał gazet.

- Może już się zaczęła wojna albo wylądowali Marsjanie, o niczym człowiek nie wie.

- Wojny nie mamy - powiedziałem - ale Marsjanie, owszem, wylądowali.

I opowiedziałem mu pokrótce o różowych obłokach. Nie oczekiwałem jednak, że moja opowieść

wywoła taką jego reakcję. Chwycił za klamkę, jak gdyby miał zamiar wyskoczyć w biegu, potem rozdziawił usta, wargi mu drżały, zapytał:

- Długie różowe ogórki? Pikują jak samoloty? Tak?

Zdziwiłem się - skąd wie, skoro nie czytał gazet?

- Dopiero co je widziałem - powiedział i otarł pot, który znów mu wystąpił na czoło. Spotkanie z naszymi znajomkami z Antarktydy zupełnie go wykończyło.

- No i co? - zapytałem. - Latają sobie. Pikują, owszem. Ale nie robią żadnych szkód. Nie jesteś za odważny...

- Każdy by stchórzył na moim miejscu - powiedział, ciągle jeszcze bardzo podniecony - o mało co nie zwariowałem, kiedy mi podwoiły stado.

Nie wiedzieć czemu rozejrzał się, jak gdyby się bał, że ktoś może nas podsłuchać, potem cicho dodał:

- I mnie też.

Sam już na pewno zrozumiałeś, Jurij, że Mitchell mimo woli wplątał się w taką samą kabałę jak my dwaj. Te cholerne obłoki zainteresowały się jego stadem, zaczęły pikować na krowy, a nasz dzielny kowboj poszedł je odpędzać. A wtedy zaczęło się coś zupełnie dlań niezrozumiałego. Jeden z różowych ogórków podpłynął do niego, zawisł nad jego głową i kazał mu odejść. Nie użył, oczywiście, słów, zrobił to tak jak jarmarczny hipnotyzer - kazał mu odejść na bok i wsiąść na konia. Mitchell mówi, że nie mógł nie posłuchać tego polecenia, nie mógł także uciec. Bez sprzeciwu podszedł do konia i skoczył w siodło. Sądzę, że tym razem potrzebny był im jeździec, pieszych mają już przecież pod dostatkiem, całą kolekcję. No a potem wszystko już poszło jak po maśle - czerwona mgła, znieruchomienie, niemożność poruszenia ręką ani nogą, wrażenie, że ktoś patrzy przez ciebie na wylot. Jednym słowem, znany nam już obrazek. A kiedy chłopak przyszedł do siebie, nie uwierzył własnym oczom - stado było dwa razy większe, a nie opodal siedział na koniu dokładnie taki sam Mitchell. I koń był taki sam, i Mitchell jak gdyby odbity w lustrze.

Chłopak oczywiście nie wytrzymał nerwowo. Sam pamiętam, co się ze mną działo za pierwszym razem. Z nim było tak samo - popędził, dokąd go oczy poniosły, byle jak najdalej stamtąd. Ale potem się zatrzymał - stado przecież nie jego, tylko gospodarza, odpowiada za nie. Pomyślał i zawrócił. A tam już wszystko było po staremu, jak przed pojawieniem się różowych obłoków - żadnych nadliczbowych krów, żadnego sobowtóra na koniu. Więc chłopak uznał, że albo to musiał być miraż, albo też zwariował. Zapędził stado do zagrody, a sam ruszył do miasta, do gospodarza.

To wszystko to załedwie wstęp, sam rozumiesz. Ledwo zdążyłem jako tako chłopaka uspokoić, a już sam zaczynam wariować - widzę stadko obłoków lecące nad szosą lotem koszącym. Mitchell też je zobaczył. Słyszę, że zamilkł. Tylko oddycha ciężko jak sprinter po finiszu.

- Poleciały do miasta - wyszeptał wreszcie. - Ale dlaczego zostawiły nas w spokoju?

- Ty i ja jesteśmy napiętnowani. Ja już też się z nimi spotykałem - wyjaśniłem. - Zapamiętały nas sobie.

- Nie podoba mi się to wszystko - powiedział i zamilkł.

I tak jechaliśmy w milczeniu, dopóki nie ukazało się za zakrętem miasto. Byliśmy o niespełna milę od niego, ale nie wiedzieć czemu nie mogłem go poznać - w niebieskawej mgiele wydało mi się jakieś dziwne, niczym miraż wśród tych sypkich żółtych piasków.

- Ki diabeł? - zdziwiłem się. - Czyżby mi licznik wysiadł. Do miasta jest jeszcze co najmniej dziesięć mil a już je widać?

- Oczywiście. Musielibyśmy mijać motel starego Johnsona - przytaknął Mitchell. - Motel jest przecież na milę przed miastem.

Rzeczywiście, hotelik starego Johnsona, który zazwyczaj osobiście witał kierowców u podjazdu, zniknął gdzieś bez śladu. Nie mogliśmy go minąć, a przy szosie nie było nawet śladu fundamentów.

Za to z minuty na minutę dokładniej było widać Sand City. Osnute fioletową mgiełką miasto nie wydawało się już być mirażem.

- Niby miasto jak miasto - powiedział Mitchell - ale coś tu nie gra. Może wjeżdżamy inną szosą?

Alei wjeżdżaliśmy tą samą szosą co zazwyczaj. I widzieliśmy przy wjeździe do miasta te same zrudziałe domy, ten sam plakat na słupach obok szosy, metrowe litery: „W Sand City dostaniecie najsoczystszy befsztyk!”, tę samą stację benzynową Samuela Fritscha z aluminiowym słupkiem licznika. Nawet sam Fritsch w białym fartuchu stał jak zawsze pod osmalonym przez piorun dębem i miał na ustach swój zwykły promienny, pytający uśmiech: „Czy obsłużyć pana, sir? Olej? Benzyna?”.

## ZAKŁĘTE MIASTO

Zatrzymałem „Corvette” ze zgrzytem dobrze znanym właścicielom wszystkich okolicznych stacji benzynowych.

- Cześć, Fritsch. Czy nic cię ostatnio nie zdziwiło? Jak ci się podoba nasze miasto?

Wydało mi się, że Fritsch nie poznał mnie. Podeszedł do nas bez zwykłej swojej usłużności, niepewnie, jak człowiek, który wszedł z mroku do jasno oświetlonego pokoju. Jeszcze bardziej wstrząsnęły mną jego oczy - były nieruchome, jak gdyby martwe, patrzyły nie na nas, ale niejako poprzez nas. Fritsch przystanął nie dochodząc do samochodu.

- Dzień dobry, sir - powiedział głuchym, obojętnym głosem. Nie wymienił mojego nazwiska.

- Co się stało z miastem? - wrzasnąłem. - Skrzydła mu wyrosły czy co? Możesz mi, do diabła, odpowiedzieć na to pytanie?!

- Nie rozumiem, sir - równie monotonicznie i obojętnie odpowiedział Fritsch. - Czym mogę służyć, sir? Nie, to nie był ten Fritsch, którego znałem.

- Gdzie się podział motel starego Johnsona? - zapytałem, z trudem się pohamowując. Powtórzył bez uśmiechu:

- Motel starego Johnsona? Nie wiem, sir. - Podeszedł bliżej i już z uśmiechem, tak jednak sztucznym, że przez moment ogarnął mnie strach, dodał: - Czy obsłużyć pana, sir? Olej? Benzyna?

- Dobra - powiedziałem. - Sami się w tym połapiemy. Jedziemy, Mitchell.

- Co mu się stało? - zapytał Mitchell. - Spił się od rana czy co?

Ja jednak wiedziałem, że Fritsch niczego prócz „Pepsi-Cola” nie pija. I nie alkohol w nim fermentował, ale coś nieczłowieczego.

- Wiesz, gdzie szukać twojego gospodarza? - zapytałem Mitchella.

- Pewnie jest w klubie.

Skręciłem na Eldorado street i pojechałem wzdłuż szeregu schludnych domków. Wszystkie były jednak żółte, przypominały pisklęta, które dopiero co się wykluły. Nie było widać żadnego przechodnia, nikt tu nie chodził piechotą, wszyscy jeździli „Pontiacami” i „Buickami”, ale właściciele „Pontiaców” i „Buicków” pojechali już do pracy, a ich żony wylegiwały się jeszcze w łóżkach albo jadły śniadanie w swoich zelektryfikowanych kuchniach. Gospodarz Mitchella jadał śniadanie w klubie, klub zaś mieścił się przy niewielkiej przecznicy głównej magistrali, State street, czyli ulicy Stanowej. Wstyd mi teraz było z powodu moich nieokreślonych lęków. Błękitne niebo nad głową, niebo, na którym nie było żadnych różowych obłoków, rozgrzany w słońcu asfalt, gorący wiatr pędzący po jezdni stare gazety, w których redaktorzy z pewnością przekonywali czytelników, że różowe obłoki to po prostu wymysł tych wariatów z Nowego Jorku, co zaś do Sand City to jest

ono najzupełniej zabezpieczone przed każdą inwazją z kosmosu - wszystko to przenosiło mnie z powrotem w codzienność spokojnego sennego miasta, takiego właśnie, jakim Sand City powinno być w ten upalny ranek.

Tak mi się w każdym razie wydawało. Bo naprawdę, Jurij, wszystko to było iluzją. Nie było żadnego upalnego ranka w mieście, samo miasto nie spało bynajmniej, ani nie drzemało. Zorientowaliśmy się w tym od razu, jak tylko skręciliśmy na State street.

- Czy nie za wcześnie, żeby jechać do klubu? - zapytałem Mitchella, ciągle jeszcze rozmyślając o sennym mieście.

Roześmiał się, ponieważ w tej właśnie chwili zatrzymał nas zgromadzony na skrzyżowaniu tłum. Ale nie był to zwykły poranny tłum. Nie rozciągało się dokoła nas zwyczajne poranne miasto. Słońce świeciło, ale latarnie elektryczne na ulicach paliły się nadal, jak gdyby nie skończył się jeszcze wczorajszy wieczór. Nad wystawami sklepów, a także na wystawach migotały ognie neonów. Za przeszklonymi drzwiami kina grzmiały wystrzały - nieustraszony James Bond realizował swoje prawo do morderstwa. Na zielonych stołach bilardów stukały bile i jak pędzący pociąg dygotał jazz za oknami restauracji "Selene", postukiwały przewracane kręgle za otwartymi drzwiami sal sportowych. A po chodnikach wałęsali się przechodnie, tak, właśnie wałęsali się, spacerowali sobie, a nie śpieszyli się do pracy, ponieważ dawno już skończyli pracę i miasto żyło nie porannym bynajmniej, ale wieczornym życiem. Wyglądało na to, że ludzie, podobnie jak elektryczne latarnie uliczne, postanowili oszukać czas.

- Po co ta iluminacja? Słońce im nie wystarcza? - Mitchell nie mógł wyjść z podziwu.

Milczałem. Stałem przed kioskiem z papierosami. Rzuciłem na ladę drobniaki i niepewnie zapytałem wyondulowaną ekspedientkę:

- Macie dziś jakieś święto?

- Jakie tam święto - powiedziała podając mi papierosy. - Zwyczajny wieczór zwyczajnego dnia.

Jej nieruchome niebieskie oczy patrzyły przeze mnie jak przedtem puste oczy Fritscha.

- Wieczór? - powtórzyłem. - Niech pani spojrzy na niebo. Od kiedy to wieczorami świeci słońce?

- Nie wiem - powiedziała spokojnym, obojętnym głosem - teraz jest wieczór, a ja nic nie wiem.

Powoli odszedłem od kiosku. Mitchell czekał na mnie przy samochodzie. Słyszał całą naszą rozmowę i myślał zapewne o tym samym o czym i ja myślałem - kto tu zwariował, my czy oni, mieszkańcy miasta? A może rzeczywiście jest teraz wieczór, może Mitchell i ja mamy po prostu halucynacje? Raz jeszcze rozejrzałem się po ulicy. Ulica ta stanowiła fragment autostrady numer sześćdziesiąt sześć, która prowadziła przez Sand City do stanu New Mexico. Samochody pędziły koło nas dwoma potokami w dwóch przeciwnych kierunkach, zwyczajne amerykańskie samochody na zwyczajnej amerykańskiej autostradzie. Ale wszystkie jechały z zapalonymi światłami.

Odruchowo, o niczym już nie myśląc, chwyciłem za ramię pierwszego przechodnia, jaki nawinął mi

się pod rękę.

- Nie rusz mnie, diabelska kukło! - wrzasnął, wrywając mi się.

Był to mały zwinny grubasek w głupawej czapeczce rowerzysty. Jego oczy nie były puste i obojętne, ale żywe i pełne gniewu - patrzył na mnie z odrazą. Spojrzałem na Mitchella - rysował sobie palcem kółko na czole. I gniew grubaska natychmiast skierował się w inną stronę.

- Ach, więc to ja mam być wariat? - nie wrzasnął nawet, ale pisnął podskoczywszy do Mitchella. - To wyście wszyscy powariowali, całe to miasto. Jasny dzień, a oni palą latarnie! Na każde pytanie, jakby ich kto nakręcił, odpowiadają: "Nie wiem" i tyle! No, powiedz mi, co jest teraz - ranek czy wieczór?

- Ranek, oczywiście - powiedział Mitchell. - Sam nie mogę zrozumieć, co się wyrabia w tym mieście. Metamorfoza grubaska była nie do wiary.

- Chwała Bogu, znalazł się w tym zwariowanym mieście jeden normalny człowiek! - krzyknął, ciągle jeszcze ściskając dłoń Mitchella.

- Dwóch - powiedziałem wyciągając do grubaska rękę. - Pan jest trzeci. Może podzielimy się wrażeniami? Może wspólnie jakoś się w tym połapiemy...

- Wyjaśnijcie mi, panowie, tę niepojętą historię z samochodami - zaczął grubasek - jada, jada i znikają! Jak w cyrku! Są - i nie ma ich!

Prawdę mówiąc nie rozumiałem, o czym mówi. Co to znaczy - "nie ma"? Wyjaśnił nam to. Ale najpierw poprosił o papierosa. "Nie palę, ale, wiecie panowie, to uspokaja".

- Nazywam się Leslie Baker, jestem z zawodu komiwojażerem. Damska bielizna i kosmetyki. Dzisiaj tu, jutro tam - słowem, koczownik. Znalazłem się tu w drodze do New Mexico, skręciłem na sześćdziesiątą szóstą. Jechałem powoli jak ślimak. Pamiętam, że przez cały czas miałem przed sobą dużą zieloną furgonetkę, nie dawała się wyprzedzić. Panowie wiecie, co to znaczy powolna jazda? Ból zębów to w porównaniu z nią rozkosz. I jeszcze ten plakat przy wjeździe do miasta:

"Wjeżdżasz do najspokojniejszego miasta w Stanach Zjednoczonych". Tymczasem to najspokojniejsze w Stanach miasto odstawiło taki numer, jakiego się nie zobaczy nawet w cyrku. Na przedmieściu, kiedy szosa zrobiła się szersza - nie ma tam jeszcze chodników - jeszcze raz apróbowałem wyprzedzić tę uprzykrzoną furgonetkę. Zrównałem się z nią, patrzę, a jej nie ma. Zniknęła. Panowie nie rozumiecie? Ja też nie mogłem zrozumieć! Zjechałem na pobocze, zwolniłem, patrzę tu, patrzę tam - furgonetki ani śladu. Rozpłynęła się jak kostka cukru w kawie. A ja tymczasem nadziałem się na druty kolczaste, nie zdążyłem nawet zahamować. Dobrze, że przynajmniej jechałem powoli.

- Skąd na szosie druty kolczaste - dziwiłem się.

- Na jakiej szosie? Nie było żadnej szosy. Szosa zniknęła tak samo jak furgonetka. Była naga

czerwona równina, wysepka zieleni gdzieś w oddali i dookoła druty kolczaste - teren prywatny. Nie wierzycie mi panowie? W pierwszej chwili i ja w to nie mogłem uwierzyć. No, dobra, furgonetka zniknęła, czort z nią! Ale gdzie się podziała szosa? Obłąd! Obejrzałem się za siebie i o mało co nie umarłem ze strachu - prosto na mnie i na te druty kolczaste pędzi czarny "Lincoln". Czarna śmierć. Ma na liczniku co najmniej sto mil! Nawet nie próbowałem wyskoczyć, tylko oczy zamknąłem - tak czy owak koniec! Minęła minuta, a końca jakoś nie widać. Otwieram oczy - żyję, a "Lincolna" ani śladu!

- Może już pana wyprzedził?

- Którędy? Po jakiej szosie?

- A więc ten „Lincoln” także zniknął?

Przytaknął.

- Wygląda na to, że te samochody znikają nie dojeżdżając do drutów kolczastych? - zapytałem.

- No właśnie. Jeden po drugim. Postąłem tak z dziesięć minut i każdy samochód zniknął, skoro tylko dojechał do miejsca, w którym urywała się szosa. Przed samymi drutami szosa zamieniała się w czerwoną glinę. A ja stoję jak Rip van Winkle i tylko mrugam oczyma. Kogo zapytać - ta sama odpowiedź: "Nie wiem". Dlaczego jeżdżą z zapalonymi światłami? Nie wiem. Co się z nimi dzieje, dlaczego znikają? Nie wiem. Może wjeżdżają do piekła? Nie wiem. A gdzie jest szosa? A oczy każdy ma takie szklane jak nieboszczyk.

Było już dla mnie jasne, co to za miasto. Chciałem zrobić jeszcze jeden test - zobaczyć je na własne oczy. Obejrzałem się i podniosłem rękę - jeden z przejeżdżających koło nas samochodów zatrzymał się. Kierowca również miał szklane oczy. Zaryzykowałem jednak:

- Nie podwiózłbyś mnie na przedmieście? Tylko dwie przecznice.

- Siadaj - powiedział obojętnie.

Siadłem obok niego, grubasek i Mitchell niczego nie rozumiejąc usiedli na tylnym siedzeniu. Kierowca obojętnie obejrzał się, nacisnął na gaz i przejechaliśmy te dwa квартаły w pół minuty.

- Spójrzcie - gorączkowo szepnął z tyłu Baker.

Szosa przed nami urywała się nagle, dalej była czerwona glina, a nad nią w poprzek szosy cztery rzędy zardzewiałego drutu kolczastego. Widać było tylko niewielki kawałek drucianego ogrodzenia, dalej ginęło ono za stojącymi po obu stronach szosy domami i dlatego można było odnieść wrażenie, że całe miasto okolone jest drutami kolczastymi i izolowane od świata ludzi żywych.

- Ostrożnie, druty! - krzyknął Baker i złapał kierowcę za rękę.

- Gdzie? - zdziwił się kierowca i strącił dłoń Bakera.

Najwyraźniej nie widział drutów.

- Stań - wtrąciłem się. - Wsiądziemy tutaj. Zwolnił, ale zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak maska samochodu powolutku rozplywa się w powietrzu. Jakby coś niewidzialnego pożerało samochód cał po calu. Oto już zniknęła przednia szyba, tarcza z zegarami, kierownica i dłonie kierowcy. Było to tak straszne, że mimo woli zamknąłem oczy. I właśnie wtedy jakieś mocne uderzenie strąciło mnie na ziemię. Upadłem twarzą w przydrożny pył, moje nogi zaś były jeszcze na asfalcie. A zatem przewróciłem się w tym właśnie miejscu, gdzie szosa się urywała. Ale jak wypadłem z samochodu? Drzwi były zamknięte, nie czułem, żeby samochód przewracał się czy też koziołkował. Podniosłem głowę i zobaczyłem przed sobą skrzynię szarej ciężarówki, której przedtem nie widziałem. Obok mnie leżał w przydrożnym pyłe biedaczysko komiwojażer. Był nieprzytomny.

- Żyjesz? - pochylając się nade mną zapytał Mitchell. Jego twarz ozdabiał purpurowoniebieski siniak pod okiem. - Rzuciło mnie wprost na ten katafalk Bakera. - Wskazał ruchem głowy uwikłaną w drutach kolczastych szarą ciężarówkę.

- A gdzie nasz samochód?

Mitchell wzruszył ramionami. Przez kilka minut staliśmy w milczeniu na skraju urywającej się szosy obserwując ten sam cud, który dopiero co sprawił, że zostaliśmy spieszeni. Grubasek komiwojażer również oprzytomniał i wraz z nami śledził to, co działo się na szosie. Cud ów powtarzał się regularnie co trzy sekundy - co trzy sekundy na pełnym gazie przekraczał krawędź szosy jakiś pickup z drewnianą karoserią albo dwukolorowy lakierowany „Pontiac”. Niknęły bez śladu jak pękające bańki mydlane. Niektóre pędziły wprost na nas, ale myśmy nawet nie próbowali odskoczyć, ponieważ samochody tajały o dwa kroki przed nami. Tak, właśnie tajały, ten proces tajemniczych i nie dających się wyjaśnić zniknięć widzieliśmy w palącym słońcu wyraźnie. Samochody te rzeczywiście nie znikały od razu, ale jak gdyby dawały nura w jakąś dziurę w przestrzeni i niknęły w niej stopniowo - najpierw przedni zderzak, potem maska i tak dalej, aż do numeru rejestracyjnego na tylnym zderzaku. Wydawać się mogło, że miasto otoczone jest przezroczystą szklaną taflą, za którą nie istnieje już ani szosa, ani auta, ani samo miasto.

Z pewnością wszystkich nas niepokoiła ta sama myśl - co robić? Wracać do miasta? Ale jakie jeszcze dziwy czekają na nas w tym mieście przekształconym w gigantyczną estradę iluzjonisty? Jakich ludzi tam spotkamy? Z kim zdołamy się po ludzku porozumieć? Jak dotąd poza korpulentnym komiwojażerem nie spotkaliśmy tu jeszcze ani jednego normalnego człowieka. Co do mnie, podejrzewałem, że jest to sprawka różowych obłoków, ale mieszkańcy miasta nie byli podobni do tych sobowtórów, które wyprodukowano w pobliżu Bieguna Południowego. Tamci byli - albo też wydawało się, że byli - ludźmi, ci zaś przypominali raczej wskrzeszonych nieboszczyków, którzy zapomnieli o wszystkim prócz tego, że mają dokądś iść, prowadzić samochód, wpędzać do łuz bilardowe bile albo popijać przy barze whisky. Przypomniałem sobie wersję Thompsona i chyba po raz pierwszy od początku całej tej historii naprawdę się przeraziłem. Czyżby obłoki zdążyły podmienić całą ludność Sand City? Czyżby?... O, musiałem zrobić jeszcze jedną próbę. Tylko jeden jedyny test.

- Wracamy do miasta, chłopcy - powiedziałem do moich towarzyszy. - Musimy sobie porządnie przewentylować mózgi, bo inaczej trafimy wszyscy do czubków. Sądząc po papierosach whisky też



powinno być tutaj prawdziwe.

Miałem w Sand City dziewczynę, Marię. To właśnie do niej jechałem, chciałem spędzić z nią mój ostatni wolny dzień przed odlotem do Nowego Jorku, do admirała. Pracowała w barze kawowym, dziewczyna jak dziewczyna, chodziła w wykrochmalonym fartuszk, czesała się wymyślnie, według mody z Hollywood, one wszystkie robią się na gwiazdy filmowe. Sam nie wiem, czemu się do niej przywiązałem i jak tylko miałem wolny wieczór, jechałem do miasta.

Było południe, kiedy doszliśmy do baru, w którym pracowała Maria. Neon nad wejściem i neony na wystawach paliły się w najlepsze. Moja biała bluza była dosłownie mokra od potu, ale we wnętrzu baru było chłodno i przestronnie. Wysokie stołki wzdłuż baru były wolne, tylko koło okien szeptały sobie jakieś parki.

Maria nie usłyszała naszego wejścia. Odwrócona do nas plecami stała przed półkami za barem i przestawiała butelki. Wgramoliliśmy się na stołki i w milczeniu zamieniliśmy między sobą wyraziste spojrzenia. Mitchell chciał już zawołać Marię, ale w porę położyłem palec na ustach.

Rozpoczął się doprawdy najtrudniejszy dla mnie spośród przeprowadzanych w tym oszalałym mieście eksperymentów.

- Maria - zawołałem cicho.

Odwróciła się gwałtownie, jak gdyby przestraszyło ją brzmienie mojego głosu. Jej lekko zmrużone oczy, brak okularów, chociaż była krótkowzroczna, wreszcie lejące się z sufitu jasne oślepiające ją światło - wszystko to chyba wyjaśniało jej uprzejmą obojętność, którą nam okazywała. Nie poznała mnie.

- Co ci jest, dziewczyno? - zapytałem. - To ja, Don.

- Co za różnica - Don czy John - odparła zalotnie, przewracając oczyma, ale w dalszym ciągu mnie nie poznając. - Czego pan sobie życzy, sir?

- Spójrz na mnie - powiedziałem dobitnie.

- Po co? - zdziwiła się, ale usłuchała. Patrzyły na mnie nie jej źrenice, takie, jakie miewają dziewczęta na płótnach Salvadore Dali, błękitne, wąskie, ale zawsze żywe czy to tkliwe, czy gniewne. Patrzyły na mnie martwe oczy, takie same, jakie miał Fritsch, jakie miała dziewczyna z kiosku z papierosami, kierowca samochodu, który roztajał na szosie. Szklane oczy lalki. Nakręcana zabawka. Wilkołak. Martwota.

- Za mną! - rzuciłem zeskakując ze stołka.

Grubas jeszcze się wahał w nadziei na obiecane drinka, ale Mitchell zrozumiał mnie od razu. Świetny chłopak, wszystko pojmował w lot. Tylko, kiedy już wychodziliśmy na ulicę, zapytał:

- I gdzie ja teraz znajdę gospodarza?

- Nie ma tu twojego gospodarza - powiedziałem. - Nie ma tu ludzi. To wilkołaki.

- No cóż, chodźmy, skoro mamy iść - zauważył filozoficznie - pamiętasz, w którym miejscu zostawiłeś samochód?

Rozejrzałem się. Na najbliższym rogu nie było mojej "Corvette", widocznie zostawiłem ją gdzieś bliżej czy dalej na tej ulicy. Zamiast niej o dwa czy trzy metry od nas stał przy chodniku czarny wóz policyjny. Miał także zapalone światła. Kilku umundurowanych policjantów siedziało w środku, a dwóch - sierżant i policjant ze złamanym nosem, zapewne były bokser - stało przy otwartych drzwiach wozu. Po drugiej stronie ulicy koło drzwi pod szyldem "Commercial Bank" stało jeszcze dwóch mundurowych.

Sierżant powiedział coś do tych, którzy siedzieli wewnątrz wozu. Jego natarczywe spojrzenie kazało mi mieć się na baczności. Najwyraźniej czekali tu na kogoś. "Czy aby nie na nas?" - błysnęła myśl. W końcu wszystko przecież może się zdarzyć w takim mieście ze złego snu.

- Szybciej, Mitchell - powiedziałem oglądając się za siebie. - Coś mi się zdaje, żeśmy wpadli.

- Na drugą stronę! - odpowiedział mi natychmiast i pobiegł lawirując między stojącymi przy chodniku samochodami.

Zręcznie uskoczyłem przed ciężarówką, która o mało co mnie nie przejechała, i w oka mgnieniu znalazłem się po przeciwnej stronie ulicy, w bezpiecznej odległości od podejrzanego czarnego wozu. W samą porę! Sierżant skoczył na jezdnię i podniósł rękę:

- Ej, wy tam, stać!

Ale ja już skręcałem w przecznicę, w wąskie ciemne przejście między domami - nie było tu wystaw ani szyldów. Grubas z niewiarygodną przy jego tuszy szybkością dogonił mnie i chwycił za rękę:

- Niech pan patrzy, co oni robią!

Spojrzałem, Rozwinięci w tyralierę policjanci przebiegali ulicę. Na przedzie biegł posapując szerokomordy sierżant i w biegu odpinał kaburę. Zobaczywszy, że się odwróciłem, krzyknął:

- Stój, bo strzelam!

Jeżeli na coś nie miałem ochoty, to na zapoznanie się z działaniem jego pistoletu. Zwłaszcza teraz, kiedy domyśliłem się właśnie, skąd się wzięło to miasto i jego mieszkańcy. Miałem jednak szczęście - usłyszałem gwizd kuli, kiedy już dałem nura za skrzynię stojącej przy trotuarze pustej ciężarówce. Ten zwarty sznur nieomal dotykających się nawzajem samochodów ułatwiał nam manewry. Zadziwiające było, jak zwinnie przeciskali się między wozami, dawali nura pod skrzyniami ciężarówek czy też zgięci we dwoje przebiegali otwartą przestrzeń poganiani przez strach Baker i Mitchell.

Poznawałem tę przecznicę. Gdzieś tu niedaleko powinny być dwa domy połączone łukiem bramy wjazdowej. Bramą tą można się było przedostać na sąsiednią ulicę. Poza tym można się tam było

ukryć w warsztatach. Pamiętam, że kiedyśmy przeszliśmy tędy z Marią przed tygodniem, warsztaty stały puste, a na ich drzwiach wisiała kłódka i tabliczka "Do wynajęcia". Przypomniałem sobie o tych warsztatach, kiedy skręcałem do bramy. Policjanci pozostali gdzieś z tyłu.

- Tędy! - krzyknąłem do Bakera i Mitchella i szarpnąłem klamkę.

Ale za drzwiami nie było wejścia. Drzwi nie prowadziły nigdzie. Ciemniał przed nami otwór wypełniony czarną jak węgiel masą. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to po prostu mrok nie oświetlonego korytarza, do którego nie przenika światło słoneczne. Skoczyłem w tę ciemność, ale natychmiast odskoczyłem - ciemność była sprężysta jak guma.

Wtedy skoczył Mitchell. Skoczył w tę złowieszczą ciemność jak kot - i poleciał z powrotem, niczym piłka futbolowa. Pomyślałem sobie - byłem o tym najzupełniej przekonany - że cały dom jest w środku taki. Nie ma w nim mieszkań ani ludzi, tylko sprężysta jak kauczuk ciemność.

- Co to jest? - zapytał Mitchell.

Widziałem, że znowu się przestraszył jak wtedy rano, kiedy jechaliśmy do miasta. Ale nie miałem czasu na to, by zajmować się analizowaniem cudzych odczuć. Gdzieś niedaleko słychać było głosy naszych prześladowców. Zapewne przeszli już pod łukiem bramy. Ale pomiędzy nami a gęstą sprężynującą czarną masą był cienki, najwyżej na stopę głęboki słój zwyczajnego mroku, ciemności nie gęstszej niż mgła albo gaz. Był to typowy londyński „smog”, dym-mgła, w której nie widzi się stojącego obok człowieka. Wyciągnąłem rękę. Zniknęła w tym mroku niczym ucięta. Stałem wciskając się w sprasowaną ciemność we wnęce drzwi i usłyszałem zaniepokojony szept Bakera:

- Gdzie pan jest?

Namacła mnie ręka Mitchella. Mitchell natychmiast zrozumiał, co jest naszą szansą. We dwóch wciągnęliśmy do drzwi grubego kamiwojażera. Policjanci, którzy byli już nie opodal, nie mogli nas wprawdzie zobaczyć, wiedzieli jednak, że mieliśmy zbyt mało czasu na to, by przebiec zaułek i skryć się na sąsiedniej ulicy.

- Są gdzieś tutaj! - Powiedział sierżant. Wiatr przyniósł nam jego słowa. - Spróbuj po ścianie!

Huknęły serie z automatu. Jedna... Druga... Nas, ukrytych za występem muru, kule dosięgnąć nie mogły, ale ich gwizdy i zgrzyty po kamieniach, stukot odbitych kawałków tynku i cegieł i ciężki oddech trzech mężczyzn skręconych w ciemności w spocony kłębek - to była niełatwa próba nawet dla kogoś o stalowych nerwach. Wystrzały grzmiały już po drugiej stronie ulicy, policjanci ostrzeliwali wszystkie wejścia do domów i wszystkie zagłębienia w murze. Mięli instynkt psów myśliwskich i przekonanie ogarów, że tropione zwierzę tak czy owak ujść im nie zdoła. Znałem takie ziółka, więc szepnąłem do Mitchella.

- Pistolet!

Nie zrobiłbym tego, gdyby to było normalne miasto i normalni policjanci, nawet w analogicznej sytuacji, ale w mieście wilkołaków każdy chwyt był dozwolony. Dłoń mi nie zadrżała, kiedy

odnalazłem w ciemności wyciągniętą w moją stronę stal zabaweczki Mitchella. Ostrożnie wyjrzałem zza załomu muru, odnalazłem w szczerbince wydatne szczęki sierżanta i nacisnąłem spust. Pistolet szczeknął i wyraźnie zobaczyłem, jak uderzenie pocisku targnęło głową policjanta. Wydało mi się nawet, że widzę idealnie okrągłą dziurkę u nasady jego nosa. Ale sierżant nie upadł, nawet się nie zachwiał.

Mógłbym przysiąc, że kula trafiła policjanta w środek czoła - miałem wiele strzeleckich nagród. A zatem kule nie mają się tych kukieł. Starając się opanować dygot kolan wyładowałem w sierżanta cały magazynek prawie już nie celując.

I znowu nic. Sierżant nawet tego nie poczuł, nawet nie próbował się uchylić. Może wypełniony był taką samą czarną gumą jak ta, w której się ukryliśmy?

Odrzuciłem nieprzydatny już pistolet i wyszedłem zza węgła. Nie ma rady, raz kozie śmierć.

Ale właśnie wtedy stało się coś... Nie, nie mogę powiedzieć: "coś nieoczekiwanego". Już od dobrej chwili w tym, co nas otaczało, zachodziły jakieś zmiany, ale w zapale potyczki nie zwróciliśmy na nie uwagi. Powietrze stało się różowawe jak papierek lakmusowy, potem spurpurowiało. Wystrzeliłem ostatni nabój prawie już nie widząc sierżanta, ginął mi w jakiejś mgiele. A kiedy pistolet upadł na ziemię, odruchowo na niego spojrzałem, ale go nie zobaczyłem - w tym miejscu, w którym sierżant stał przed chwilą, była teraz kałuża gęstej malinowej galarety i wszystko wokół niej również osnute było malinową mgłą.

Nie wiem, jak długo otulała nas ta mgła, może minutę, może pół godziny, a może godzinę, rozwiała się jednak niezauważalnie, w jednej chwili. A kiedy się rozwiała, zobaczyliśmy przed sobą zupełnie inny widok - nie było policjantów, nie było domów, nie było ulicy, tylko ceglasta, spalona przez słońce pustynia i normalne obłoki wysoko na niebie. W dali ciemniała szarawa wstążka szosy, a trochę bliżej nas stała z zadartą maską uwikłana w drut kolczasty nieszczęsna ciężarówka korpulentnego komiwojażera.

- Co to było? Sen? - zapytał komiwojażer.

- Nie - uspokajająco poklepałem go po ramieniu. - Nie chcę robić panu złudzeń. To była jawa.

A my jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy w tym uczestniczyli.

Pomyliłem się, nie byliśmy jedynymi. Znalazł się jeszcze jeden postronny świadek tego wszystkiego. A właściwie to myśmy go znaleźli. Po kwadransie marszu dotarliśmy do motelu, poczerńiałego ze starości budynek, który stał obok nowiutkiego garażu z żelbetowych płyt, pełnego plastikowych szyb w ramach z duraluminiem. Johnson, jak to miał we zwyczaju, siedział na ceglanych schodkach przed domem. Poderwał się na nasz widok, był nie wiedzieć czemu niezwykle uradowany.

- Don? - zapytał z niedowierzaniem. - Skąd się tu wzięłeś?

- Prosto z piekła - powiedziałem. - Z jego ziemskiej filii.

- Byłeś w tej Sodomie? - popatrzył na mnie nieomal z przerażeniem.

- Byłem - przytaknąłem. - Opowiem wszystko, ale najpierw przynieś nam coś do picia. Jeżeli oczywiście i ty nie jesteś mirażem.

Ale stary Johnson nie był mirażem. Nie była mirażem również i whisky z lodem. O, jak miło było usiąść na schodkach i słuchać opowiadania o tym, jak wyglądało miasto oglądane z zewnątrz, to miasto, o którym już w Piśmie Świętym powiedziano: "Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz".

Johnson zobaczył je nieoczekiwanie. Siedział, drzemał, nagle się obudził, rozejrzał się i zamarł - z lewej strony, tam, gdzie nigdy nie było niczego oprócz zeschniętej gliny, wyrosło miasto-bliźniak Sand City. Na prawo Sand City i na lewo Sand City. Johnson opowiadał: - Pomyślałem sobie: to już koniec świata! Pijany nie jestem, a wszystko widzę podwójnie. Wszedłem do domu, wyszedłem znowu - to samo: po środku ja, a po obu stronach dwa bliźniacze miasta, niczym Sodoma i Gomora. Fatamorgana czy co? Ostatecznie to pustynia, wszystko może się zdarzyć. A to miasto-bliźniak stoi sobie w najlepsze, ani myśli się rozpuścić. I jak na złość nie przejeżdża szosą ani jeden samochód. A potem nagle ściemniło się, mgła nie mgła, dym nie dym, zupełnie jakby chmura opuściła się nad samą ziemię, pomarańczowoczerwona chmura, jak o zachodzie, kiedy wieje wiatr.

Słuchając opowieści Johnsona zauważyłem, że każdy z nas widział inne barwy - mgła raz była malinowa, raz wiśniowa, raz purpurowa, raz czerwona.

Później opowiadała mi o tej mgle także Maria. Rzeczywiście czekała na mnie, ubrana była tak samo jak tamta nakręcana widmowa lalka. To właśnie Maria opowiedziała nam, co się stało w mieście. Nie piszę o tym. Posyłam ci parę wycinków z gazet. Lepiej ode mnie połapiesz się w tej fantasmagorii".

Wycinek z dziennika "Sand City Tribune":

Wczoraj można było w naszym mieście zaobserwować interesujące zjawisko meteorologiczne. O siódmej trzydzieści wieczorem, kiedy wzdłuż całej State street rozjarzyły się już elektrycznym światłem witryny barów i kin, spłynęła na miasto dziwaczna purpurowa mgła. Notabene niektórzy są zdania, że była ona raczej fioletowa. Nie była to właściwie mgła, ponieważ widzialność nawet na dalsze odległości pozostawała nadal bardzo dobra i wszystko widać było bardzo wyraziście, jak to się często zdarza rankiem w pogodny bezchmurny letni dzień. Co prawda potem mgła stała się gęstsza i przypominała zwykły kalifornijski "smog" tak dobrze znany każdemu, kto mieszkał w Los Angeles. Twierdzi się u nas, że "smog" w Kalifornii jest jeszcze gęstszy niż londyński. Nikt nie potrafi powiedzieć dokładnie, jak długo mgła gęstniała, nie musiało to trwać zbyt długo, ponieważ większość zapytywanych przez nas naocznych świadków zapewnia, że mgła nieomal przez cały czas była przejrzysta i że tylko wszystko, co znajdowało się w polu widzenia - domy, ludzie, a nawet powietrze - przybrało ciemnomalinowy, niemal pąsowy odcień i robiło wrażenie oglądanego przez okulary o czerwonych szklach. Początkowo ludzie zatrzymywali się, patrzyli na niebo, ale nie dostrzegając na nim niczego niezwykłego spokojnie powracali do swoich zajęć. Mgła nie miała również wpływu na obroty lokali rozrywkowych, nie zauważono jej tam po prostu. Zjawisko to można było obserwować mniej więcej przez godzinę, po czym mgła - jeśli określenie "mgła" jest tu właściwe - rozwiała się i miasto przybrało znowu swój normalny wieczorny wygląd.

Urodzony w naszym mieście i goszczący u nas obecnie uczony meteorolog James Backley, którego wielu spośród nas pamięta jeszcze z czasów, kiedy chodzili do szkoły, oświadczył nam, że wyżej opisane zjawisko nie jest zjawiskiem meteorologicznym. Jego zdaniem była to najprawdopodobniej gigantyczna chmura złożona z rozpylonych w powietrzu drobinek jakiegoś barwnika syntetycznego przywiana zapewne przez wiatr z jakiejś lakierni położonej w odległości stu do stu pięćdziesięciu mil. Takie nagromadzenie rozpylonych, ale nie dających się rozproszyć drobinek barwnika daje się zaobserwować niezmiernie rzadko, zdarza się jednak i bywa niekiedy przenoszone na wielomilowe odległości.

Inne wyjaśnienie tego zjawiska proponuje nam nasz muszkieter, właściciel baru "Orion" i przywódca klubu "wściekłych", Lemmie Coshen. - Szukajcie czerwonych - powiedział - jeżeli nie chcecie żeby pomalowali wam na czerwono nie tylko politykę, ale nawet powietrze, którym oddychamy. - Czy to aby nie w związku z tym został pobity przy wyjściu z baru bawiący przejazdem w naszym mieście adwokat nowojorski Roy Desmond, który, zapytany na kogo odda swój głos w zbliżających się wyborach prezydenta, odmówił odpowiedzi? Policjantom, którzy przybyli na miejsce zajścia, nie udało się niestety ująć winowajców.

Wywiad z admirałem Thompsonem opublikowany w piśmie "Time and People" zatytułowany był tak:

**SAND CITY TO MIASTO ZAD2UMIONYCH - MÓWI ADMIRAŁ - SZUKAJCIE PIĘTY ACHILLESA RÓŻOWYCH OBŁOKÓW.**

Od kilku dni niewielkie miasteczko na Południu położone przy szosie federalnej numer sześćdziesiąt sześć przykuwa uwagę całych Stanów Zjednoczonych. Dzienniki donosiły już o czerwonej mgle,

która niespodzianie zasnęła miasto, i opublikowały relację agenta handlowego Leslie Bakera o jego niesamowitych przeżyciach w mieście-sobowtórze. W związku z tym korespondent nasz poprosił o rozmowę admirała w stanie spoczynku Thompsona, który był jednym z uczestników amerykańskiej wyprawy antarktycznej i pierwszym naocznym świadkiem działalności różowych obłoków.

- Jakie jest pańskie zdanie o tym, co zaszło w San City, admirale?

- Proszę mówić do mnie po prostu Thompson. Jestem osobą prywatną, nie jestem w służbie czynnej, Jeżeli zaś chodzi o moje zdanie, to jako szary człowiek jestem przerażony perspektywą losów ludzkości.

- Sądzi pan, że istnieją powody do obaw?

- Oczywiście. Obłoki nie poprzestają już na modelowaniu poszczególnych osób, syntetyzują teraz całe fragmenty społeczeństwa. Przytoczę jedynie parę przykładów z ostatnich dni. Transatlantyk "Alameda" wraz z całą załogą i wszystkimi pasażerami, dom towarowy w Buffalo w dniu wyprzedaży, zakłady tworzyw sztucznych w Evansville. Przecież wszystkim naocznym świadkom nie mógł się przyśnić taki sam sen, sen, że tuż obok ich zakładu wyrósł, a następnie zniknął zakład-sobowtór, zakład-kopia. Nikt nie zdołał mnie przekonać, że to był miraż dający się wytłumaczyć różnicą temperatur w niejednakowo nagranych warstwach powietrza atmosferycznego. Nie jest ważne, że obiekty te istnieją zaledwie niewiele minut. Istotne jest to, że nikt nie potrafił mi udzielić przekonującej odpowiedzi na pytanie, które mianowicie z tych dwóch zakładów zniknęły, a które pozostały!

- Mówiąc w klubie "Apollo" o wydarzeniach w Sand City powiedział pan, że to miasto zadzumionych. Jak należy rozumieć to pańskie sformułowanie?

- Dosłownie. To miasto musi zostać odizolowane, a jego mieszkańcy powinni być systematycznie testowani i oddani pod ścisły nadzór. Wyłania się tu ten sam problem - czy są to ludzie, czy też sobowtóry? Niestety ani władze, ani społeczeństwo nie udzielają temu problemowi dostatecznej uwagi.

- Czy nie przesadza pan, sir? - zaprotestował nasz korespondent. - Czy doprawdy można zarzucić krajowi obojętność wobec przybyszów?

Admirał odparł z ironią:

- Nie można, oczywiście, jeśli będziemy mieli na myśli spódnice a la różowy obłok i fryzury "jeźdźcy znikąd". Albo powiedzmy, kongres spirytystów, który uznał, że obłoki te to są dusze zmarłych, które powróciły na ziemię obdarzone nadludzką mocą. Rzeczywiście, czyż mając to wszystko w pamięci możemy mówić o obojętności! A może ma pan na myśli senatorów „korsarzy”, którzy wygłaszają o „jeźdźcach” dwunastogodzinne mowy w tym jedynie celu, by uniemożliwić uchwalenie projektu ustawy o podatkach, która dotyczyła by wielkiej własności? Albo maklerów giełdowych, którzy wykorzystują obłoki do gry na zniżkę? Albo wieszczbiarzy, którzy w związku z obłokami wyznaczają koniec świata na pojutrze? A może chodzi panu o producentów takich filmów jak "Bob Merrill, postrach jeźdźców znikąd"? To wszystko to tylko pęknięta rura kanalizacyjna, nic



więcej. Ja mówię o czym innym...

- O wojnie?

- Z kim? Z obłokami? Nie jestem idiotą i nie uważam potencjału militarnego ludzkości za dostateczny w walce z cywilizacją, która jest w stanie tworzyć z niczego dowolne struktury atomowe. Ale przy całej swojej potędze - dodał admirał - cywilizacja ta może zdradzić nam jakiś swój słaby punkt, swoją piętę Achillesa. A zatem dlaczego nie mielibyśmy sami poszukać tej pięty? Wydaje mi się, że nasi uczeni nie dość energicznie dążą do nawiązania kontaktów z obłokami, i to nie tylko w znaczeniu znalezienia wspólnego języka, ale także w znaczeniu bezpośredniego zbliżenia z gośćmi z kosmosu, takiego, które by nam pozwoliło na prowadzenie badań i obserwacji. Dlaczego nie wykryto dotąd ich bazy na Ziemi, miejsca, w którym znajduje się na naszej planecie ich sztab? Ja osobiście posyłałbym tam ekspedycję za ekspedycją, dopóki nie zostałyby wykryte ich słabe miejsca, dopóki nie znaleźlibyśmy ich pięty Achillesa. A wtedy wszystkie pozostałe problemy moglibyśmy zobaczyć w zupełnie innym świetle.

Oba te wycinki wraz z listem Martina dałem Ziernowowi już w samolocie. Zajmowaliśmy coś w rodzaju osobnego przedziału, wysokie oparcia foteli izolowały nas od siedzących przed nami i za nami pasażerów. Osowiec i Rogowin mieli przylecieć do Paryża w dwa dni później, w dniu otwarcia kongresu, my zaś lecieliśmy wcześniej, by wziąć jeszcze udział w konferencji prasowej naocznych świadków działalności obłoków, a także po to, by spotkać się z amerykańskimi naukowcami z Mac Murdoch, którzy nie podzielali poglądów admirała Thompsona i którzy po odlocie admirała z Antarktydy mieli jeszcze wiele okazji obserwowania gości z kosmosu. Skończyliśmy właśnie jeść śniadanie, które podano nam zaraz po starcie z lotniska S zeremie tiewo, na pokładzie panowała cisza, w dobiegającym z zewnątrz cichym miarowym huku silników tonęły wszystkie inne dźwięki prócz szelestu przeglądanych gazet i prowadzonych półgłosem rozmów naszych najbliższych sąsiadów. Podczas kiedy Ziernow czytał drobno zapisane arkusiki, raz jeszcze zastanawiałem się nad tym wszystkim, co w liście Martina było dla mnie niejasne.

Czym się różnią jego „wilkołaki” od tamtych pamiętnych sobowtórów? Spróbowałem ułożyć w myślach. listę ich cech: puste oczy, nierozumienie wielu spośród zadawanych im pytań, automatyzm ruchów i działania, brak poczucia czasu graniczący z innym niż ludzkie widzeniem świata - „wilkołaki” nie widziały słońca, błękitu nieba, nie dziwił ich widok zapalonych latarni na ulicach. Nie miały właściwej człowiekowi pamięci - to nie było tak, że dziewczyna Martina nie poznała go, ona go po prostu nie pamiętała. Kule z pistoletu Martina, które przeszły ciało policjanta, nie uczyniły sierżantowi żadnej krzywdy, a zatem także wewnętrzna struktura „wilkołaków” była inna niż struktura wewnętrzna człowieka. Najwyraźniej tym razem obłoki nie kopiowały ludzi, a jedynie tworzyły roboty zewnętrznie podobne do ludzi, ale zaprogramowane tylko w określonych granicach. Mamy więc pierwszy orzech do zgryzienia: dlaczego uległa zmianie metoda modelowania i o ile uległa zmianie?

Ale prócz ludzi obłoki modelowały także przedmioty. Duplikat naszej amfibii śnieżnej był pełnowartościowy. Pełnowartościowe również były przedmioty w mieście Martina. Napoje chłodzące dawały się pić, papierosy można było palić, samochodami można było jeździć, a pociski z automatów policji nawet przebijały kamienie. Domy miały prawdziwe drzwi i okna, w prawdziwych barach kawowych sprzedawano prawdziwa kawę i pełnowartościowe parówki, a właściciel

prawdziwej stacji benzynowej sprzedawał pełnowartościowy olej i jak najprawdziwszą benzynę. A jednocześnie te jak najprawdziwsze samochody niczym widma pojawiały się na prowadzącej przez miasto szosie, brały się znikąd, z pustki, a na drugim krańcu tej szosy niknęły równie widmowo w takiej samej pustce zmieniając się w nicłość, w tuman kurzu wzniesionego przez koła, które jeszcze przed sekundą mknęły po asfalcie. I nie wszystkie drzwi w domach prowadziły dokądś, niektóre z nich wiodły do nikąd, za nimi była ta sama pustka, ale nieprzenikalna i czarna jak sprasowany dym. A zatem także przy modelowaniu materialnego środowiska człowieka zastosowano jakiś inny system, w jakiś sposób to środowisko ograniczający. Otóż i następny orzech do zgryzienia: dlaczego zastosowano inny system, w jakim celu to zrobiono, na czym polegają owe ograniczenia?

Już w drodze powrotnej z Mirnego do Moskwy Ziernow liczył się z możliwością zastosowania innego systemu modelowania. Czy to był właśnie ten system, który opisywał Martin?

- W pewnym sensie - uznał po namyśle Ziernow. - Najwyraźniej obłoki tworzą różne modele na różne sposoby. Pamiętacie tę purpurową mgłę w samolocie - nie widziało się wtedy sąsiadów? W wypadku Sand City nie wiemy nawet, czy mgła była tam podobnie gęsta. Dziennik pisze, że powietrze było czyste i przejrzyste, a tylko zabarwione czy też podświetlone czerwono. A zatem zapewne i rodzaj modelu związany jest z gęstością i konsystencją owego gazu. Sądzę, że ludzie z widmowego miasta Martina są ludźmi w znacznie jeszcze mniejszym stopniu niż pasażerowie naszego samolotu-sobowtóra. Spróbujmy się w tym zorientować. Pamiętacie, jeszcze w Karaczi mówiłem, że ludzie w naszym samolocie byli wymodelowani nie w całej swojej złożoności biologicznej, ale tylko w pewnej specjalnej funkcji. Całe skomplikowane życie psychiczne człowieka było wyłączone, prze' kreślone, nie było bowiem potrzebne twórcom modelu. Ale pasażerowie lecący naszym samolotem to przecież nie byli zwyczajni pasażerowie "Aeroflotu". Czyż łączyła ich tylko wspólna podróż? O, nie, łączyło ich wiele innych rzeczy - wspólnie przeżyty rok, praca, przyjaźnie albo konflikty, plany na przyszłość, marzenia o rychłym już spotkaniu z bliskimi, z rodzinami. Wszystko to rozszerzało i komplikowało ich funkcję pasażerów. Więc i twórcy modelu musieli zapewne komplikować swój model, wprowadzić do niego jakieś komórki pamięci, zachować z oryginałów jakieś procesy myślowe. Sądzę, że w bliźniaczym samolocie toczyło się życie podobne jak w naszym.

- Albo powtarzało się tam życie naszego samolotu, jak z zapisu magnetofonowego - powiedziałem.

- Nie sądzą. Oni tworzą model a nie szablon. Nawet w mieście Martina toczące się tam życie nie było odtworzeniem tego z rzeczywistego Sand City. Na przykład to policyjne polowanie. Ale zwróćcie uwagę na to, że ludzie w tym modelu miasta jeszcze bardziej różnią się od prawdziwych ludzi. Odtworzona zostaje tylko naga funkcja - przechodzień idzie, gość w barze bawi się, kierowca prowadzi wóz, sklepikarz sprzedaje albo zachwala swój towar, kupujący kupuje albo nie chce kupić. I to już wszystko. Przy tym nie są to kukły. Potrafią myśleć, kojarzyć, działać, ale tylko w granicach wyznaczonej funkcji. Proszę powiedzieć kelnerce w barze wymodelowanego miasta, że waszym zdaniem parówki wyglądają podejrzanie. Kelnerka odpowie wam natychmiast, że konserwowe parówki się nie psują, że puszka otwarta została przed piętnastoma minutami, ale jeśli wolicie, może ona wam podać zamiast parówek befsztyk, wysmażony albo krwisty, jaki wolicie. Może nawet z wami poflirtować, może żartować, jeśli jest dowcipna - wszystko to zawiera się w jej funkcji zawodowej. Właśnie dlatego nie przypominała sobie Martina, on nie wiązał się bezpośrednio z jej

pracą w barze.

- Ale dlaczego przypomnieli sobie o nim policjanci? - zapytała Irena. - Nie obrabował banku, nie próbował okraść przechodniów i nie boksował się po pijanemu na ulicy. Gdzież tu związek z funkcją?

- A pamiętacie ten wycinek z gazety? Kiedy zapadła mgła, pobito jakiegoś nowojorskiego adwokata. Policja przyjechała za późno i niestety nie znalazła już sprawców pobicia. Czy zwróciliście uwagę na to „niestety”? Policja wiedziała oczywiście, kto jest sprawcą, ale bynajmniej nie miała zamiaru go ująć. Dlaczego jednak nie miałyby wyszukać jakichś „zastępców” sprawców? Jakichś pijaków albo włóczęgów? Na to właśnie nastawieni byli policjanci. W rzeczywistym Sand City nie znaleźli nikogo stosownego. W wymodelowanym mieście nawinął im się Martin i jego towarzysze.

- Chciałbym być na jego miejscu - powiedziałem z zazdrością.

- I dostać kulę w łeb? Pociski były przecież jak najprawdziwsze.

- Martin też miał jak najprawdziwsze. A może bujał?

- Nie sądzę - powiedział Ziernow. - Po prostu obrażenia, które byłyby groźne dla człowieka, nie są groźne dla tych manekinów. Bardzo wątpię, czy ich organizmy podobne są do ludzkich.

- A oczy? Oni przecież widzieli Martina.

- Oczy również mieli nie takie jak ludzie. Widzieli Martina, ale nie widzieli słońca. To nie były takie oczy jak nasze. Były bowiem zaprogramowane do działania tylko w ciągu jakiejś wymodelowanej godziny. Sam czas również był modelowany. A także samochody, które przejeżdżały przez miasto, wymodelowane były w ruchu tylko w granicach takiego samego wycinka czasu i przestrzeni. Stąd właśnie brało się to, że w mieście-bliźniaku pojawiały się z nicości i znikwały w nicości. Krzyżówka, co? - roześmiał się.

- Kamuflaż - dodałem - taki sam, jak ich domy. Z zewnątrz niby ściana jak ściana, a wewnątrz - pustka. Czarne nic. Chciałbym to zobaczyć na własne oczy - westchnąłem. - Lecimy tam jako naoczni świadkowie, a tymczasem guzik widzieliśmy.

- Jeszcze zdążymy zobaczyć - powiedział zagadkowo Ziernow - ja i wy, podobnie jak Martin, jesteśmy „napiętnowani”. Obłoki pokażą nam jeszcze coś nowego, może przypadkiem, a może świadomie właśnie nam. Obawiam się, że pokażą...

Samolot wyszedł z chmur i już się zniżał lecąc ku wielkiemu, ledwie widocznemu w niebieskawej mgiele miastu, ku znanej mi od dzieciństwa ażurowej sylwetce wieży Eiffla. Widziana z daleka wieża wydawała się być obeliskiem z cieniuteńkich nici nylonowych.

CZEŚĆ TRZECIA

Giulietta i duchy

## KONFERENCJA PRASOWA W HOTELU "BRETAGNE"

Zbliżająca się data rozpoczęcia kongresu sprawiała, że Paryż dosłownie pękał w szwach z powodu nadmiaru turystów. Naszą delegację zakwaterowano w wielkim, pierwszorzędnym hotelu "Bretagne", którego właściciel musiał być z pewnością dumny ze staroświeckości swego przedsiębiorstwa. Było coś balzakowskiego w skrzypiących drewnianych schodach tego hotelu, w jego aksamitnych portierach, w starych wspianiałych jego żyrandolach. Na stołach, na parapetach okien, na marmurowych płytach kominków, wszędzie, dosłownie wszędzie paliły się świece. Amerykanom to się podobało, nam nie przeszkadzało. Zresztą nie byliśmy w pokojach nawet dziesięciu minut - te dwie godziny, które nam pozostały do czekającej nas konferencji prasowej, ja i Irena poświęciliśmy na spacer po ulicach "stolicy świata". Ja gapiłem się na każde arcydzieło architektury, Irena troskliwie i uprzejmie objaśniała mi, kiedy i dla kogo wzniesione zostało owe arcydzieło.

- Skąd znasz tak dobrze Paryż? - zdziwiłem się.

- Jestem tu już po raz trzeci, a w ogóle to urodziłam się w Paryżu, tymi właśnie ulicami jeździłam w dzieciennym wózek. Może porozmawiamy o tym kiedy indziej - powiedziała zagadkowo i nagle się roześmiała. - Nawet portier w naszym hotelu powitał mnie jak starą znajomą.

- Kiedy to było?

- Wtedy, kiedy płaciłeś za taksówkę. Weszłam z Ziernowem do hallu, a wtedy portier - łysy jegomość o wyglądzie senatora - przyjrzał się nam z zawodową obojętnością, po czym nagle szeroko otworzył oczy, odstąpił o krok i zaczął się na mnie gapić jak ciele na malowane wrota. "Co się panu stało?" - zaniepokoiłam się. Stoi i milczy. Więc Ziernow zapytał:

"Pan zapewne poznaje mademoiselle?". "Nie, nie - opamiętał się portier - po prostu mademoiselle jest ogromnie podobna do jednej naszej klientki". Ja jednak odniosłam wrażenie, że portier rozpoznał właśnie mnie, chociaż nigdy przedtem nie zatrzymywałam się w tym hotelu. To dziwne.

Kiedy wróciliśmy do "Bretagne", portier nie spojrział nawet na Irkę, uśmiechnął się natomiast do mnie i powiedział, że już na mnie czekają: "Proszę iść wprost na konferencję".

Dziennikarze rzeczywiście już na nas oczekiwali w restauracji hotelowej. Amerykanie także już przyszli, zajęli prawie całe podwyższenie dla orkiestry. Kamerzyści telewizji krzatali się wokół swoich aparatów. Dziennikarze z aparatami fotograficznymi i kamerami filmowymi, z notatnikami i magnetofonami rozsiedli się już za stolikami. Kelnerzy roznosili butelki o różnokolorowych etykietach. Przy nas także stał stolik pełen butelek, zatroszczyli się o, to Amerykanie. Irena pozostała na sali, tłumaczenie nie było potrzebne - wszyscy albo prawie wszyscy obecni tam dziennikarze znali francuski lub angielski. Co prawda we francuskim nie byłem najmocniejszy, rozumiałem, kiedy się do mnie w tym języku zwracano, ale mówiłem z trudem, wszelako sądząc, że obecność Ziernowa na sali uwolni mnie od obowiązku odpowiadania na pytania, wszedłem tam. Niestety byłem w błędzie. Dziennikarze zamierzali wycisnąć z "naocznych świadków" wszystko, co z nich zdołają wycisnąć, ja zaś na domiar złego byłem także autorem filmu, który już od dwóch tygodni bulwersował Paryż.

Prowadził konferencję Mac Adow, astronom z Mac Murdoch. Mac Adow zdążył się już przyzwyczaić do tego, że dziennikarze co chwila wysilali się na dowcipy o Mac Adow z Mac Murdoch, albo cytując szekspirowską komedię zaczynali robić „wiele hałasu o Mac Adow”. Po angielsku brzmiało to dość efektownie: “Much ado about Mac Adow”. Trudno jednak było wyprowadzić z równowagi pana Mac Adow. Mac Adow prowadził nasz statek przez tę “burzę prasową” i robił to z wprawą doświadczonego sternika. Nawet jego głos był godny kapitana, głos ten w razie potrzeby potrafił osadzić nazbyt natarczywych dziennikarz;

Bynajmniej cię przypadkiem napomknąłem o burzy. Przed trzema godzinami w innym hotelu paryskim odbyło się spotkanie dziennikarzy z innym “naocznym świadkiem fenomenu”, również delegatem na kongres, admirałem Thompsonem. Admirał odmówił wzięcia udziału w naszej konferencji prasowej z powodów, które wolał wyjawiać korespondentom w osobnej rozmowie. Zrozumieliśmy, co im miał do powiedzenia, skoro tylko padły pod naszym adresem pierwsze pytania z sali. Odpowiadali ci delegaci, do których zwracali się korespondenci, na pytania, które nie były zaadresowane do nikogo osobiście, odpowiadał Mac Adow. Oczywiście nie zapamiętałem wszystkiego, ale to co zapamiętałem, zapamiętałem tak dokładnie, jak gdybym miał zapis tego na taśmie magnetofonowej.

- Czy wie pan coś o konferencji prasowej admirała Thompsona?

To była właśnie pierwsza piłka tenisowa zaserwowana z sali w naszą stronę. Ale natychmiast ścięła ją rakietą przewodniczącego:

- Niestety nic mi o niej nie wiadomo, ale jeśli mam być szczery, niezbyt mnie to martwi.

- Niemniej admirał złożył sensacyjne oświadczenie. Wyjeżdża na Grenlandię.

- Będą panowie mogli o tym donieść w swoich gazetach. Proszę o zadawanie pytań.

- Co by pan powiedział, gdyby niektóre delegacje zażądały na forum ONZ zastosowania represji wobec różowych obłoków?

- Nie jestem ministrem obrony, by odpowiadać na takie pytania.

- A gdyby był pan ministrem obrony?

- Nigdy nie marzyłem o tym stanowisku.

Sala odpowiedziała śmiechem i oklaskami. Mac Adow skrzywił się - nie lubił teatralnych efektów. Nawet się nie uśmiechnąwszy usiadł w milczeniu, ponieważ pogiębiony dziennikarz także już zamilkł.

Ale już go zastąpił następny. Nie zaryzykował pojedynku na krasomówstwo z Mac Adowem i wybrał sobie inną ofiarę.

- Pytanie do profesora Ziernowa. Czy zgodzi się pan z poglądem, że działalność różowych obłoków może stanowić zagrożenie dla ludzkości?

- Z całą pewnością nie - natychmiast odciął się Ziernow. - Dotąd obłoki nie uczyniły ludziom żadnej szkody. Zniknięcie z Ziemi masywów lodowych tylko poprawi nam klimat. Żadnego uszczerbku nie doznała ani przyroda, ani twory rąk ludzkich.

- Czy jest pan o tym całkowicie przekonany?

- O ile wiem, jedyna wyrządzona przez nie szkoda to zniknięcie taboretu, na którym siedział w Mirnym mój sobowtór. Nie jest to nazbyt wielka strata dla ludzkości.

- Pytanie do profesora Ziernowa! - znowu krzyknięto z sali. - Co pan sądzi o oświadczeniu admirała, że sobowtóry to piąta kolumna przybyszów, to działania prewencyjne przed przyszłą wojną galaktyczną?

- Sądzę, że admirał naczytał się powieści fantastycznych i wątki z tych powieści bierze teraz za rzeczywistość.

- Pytanie do autora filmu, Anochina. Admirał jest zdania, że pan jest sobowtorem i że pański film także został nakręcony przez sobowtóra, a ujęcia zagłady pańskiego sobowtóra w tym filmie to zdjęcia pokazujące unicestwienie samego Anochina. W jaki sposób dowiedzie pan, że nie odpowiada to prawdzie?

Wzruszyłem tylko ramionami - jakże mógłbym tego dowieść? Zamiast mnie odpowiedział Mac Adow:

- Nie ma powodu, by Anochin tego dowodził. W nauce obowiązuje nienaruszalna „presumpcja ustalonego stanu rzeczy”. Uczni nie muszą dowodzić fałszywości jakiegoś gołosłownego oświadczenia - obowiązek udowodnienia jego prawdziwości spoczywa na jego autorze.

Na sali znowu zaczęto bić brawo. Ale wysoki, chudy i płaski jak deska Mac Adow tym razem przerwał klaszczącym.

- Panowie, to nie przedstawienie.

- A co nam może powiedzieć o Thompsonie przewodniczący? - padło pytanie z sali. - Przez cały rok współpracował pan z admirałem w ekspedycji antarktycznej. Co pan o nim sądzi jako o uczonym i jako o człowieku?

- Pierwsze rozsądne pytanie skierowane pod moim adresem - uśmiechnął się pod wąsem Mac Adow. - Niestety nie będę mógł zaspokoić ciekawości pytającego. Wprawdzie pracowaliśmy z admirałem w tej samej ekspedycji i w tym samym punkcie geograficznym, ale w różnych dziedzinach. Admirał jest administratorem, ja - astronomem. Prawie nie stykaliśmy się ze sobą. Admirał nie zdradzał szczególniejszego zainteresowania moimi obserwacjami astronomicznymi, ja - jego talentami administracyjnymi. Mam nadzieję, że sam admirał nie pretenduje do miana uczonego, w każdym razie nie są mi znane żadne jego prace naukowe. Jako człowieka zaś prawie go nie znam, aczkolwiek jestem przekonany, że działa on w najlepszej wierze nie powodując się względami osobistymi czy też politycznymi. Admirał nie jest zaangażowany ani w ruchu antykomunistycznym, ani w

przedwyborczej kampanii prezydenckiej. Wszystko, co głosi, wynika moim zdaniem z fałszywych przekonań, z awersji i z błędnych wniosków.

- Co więc pana zdaniem powinna uczynić ludzkość?

- Wskazówek co do tego udzieli właśnie kongres.

- W takim razie pytanie do pana jako astronoma. Skąd, pana zdaniem, przybyły do nas te potwory?

Mac Adow po raz pierwszy roześmiał się szczerze i niewymuszenie.

- Nie znajduję w nich niczego potwornego. Przypominają to jeźdźca, to skrzydło samolotu “delta”, to bardzo duży i piękny kwiat, to znów różowy sterowiec. Nasze i ich kanony estetyki nie są z pewnością identyczne. A skąd przybyli? Dowiemy się tego, kiedy sami zechcą nam odpowiedzieć na to pytanie, jeśli oczywiście potrafimy je zadać. Być może, że przybyli z któregoś z sąsiednich układów planetarnych. Może z Mgławicy Andromedy, może z mgławicy w gwiazdozbiore Triangulum. Równie dobrze można by wróżyć z fusów.

- Użył pan sformułowania: “kiedy sami nam odpowiedzą”. A zatem możliwe jest nawiązanie kontaktu?

- Jak dotąd żadna próba kontaktu nie dała rezultatu. Nawiązanie kontaktu jest jednak możliwe, jestem o tym przekonany, jeśli tylko są to rozumne istoty żywe a nie zaprogramowane w określony sposób biosystemy.

- Ma pan na myśli roboty?

- Nie, nie mam na myśli robotów. Mówię o systemach programowanych w ogóle. W takim wypadku kontakt zależy od programu.

- A jeśli są to systemy samoprogramujące się?

- Jeżeli tak jest, to wówczas wszystko zależy od tego, jak ich program zmienia się pod wpływem czynników zewnętrznych. Próby nawiązania kontaktu to także jeden z bodźców zewnętrznych.

- Pytanie do autora filmu, Anochina. Czy obserwował pan sam proces modelowania?

- Nie można go zaobserwować - powiedziałem - człowiek jest wtedy w stanie głębokiej śpiączki.

- Ale przecież widział pan na własne oczy powstawanie duplikatu amfibii śnieżnej. To ogromna maszyna z metalu i z mas plastycznych. Skąd się wzięła, z jakich materiałów powstała.

- Z powietrza - powiedziałem.

Na sali roześmiano się.

- Nie ma w tym nic śmiesznego - wtrącił się Ziernow. - Właśnie z powietrza. Z nie wiadomo jakich i



nie wiadomo w jaki sposób wprowadzonych do powietrza elementów.

- Zatem - cud? - w pytaniu tym słycać było j nie ukrywaną drwinę.

Ale Ziernowa to nie stropiło.

- Niegdyś uważano za cud wszystko, co nie dawało się wytłumaczyć przy ówczesnym stanie wiedzy. Nasz dzisiejszy stan wiedzy również dopuszcza możliwość i zjawisk nie wytłumaczalnych, zakładamy jednak, że i zjawiska te znajdą wytłumaczenie w toku dalszego postępu nauki. A nieustanny jej rozwój już dziś pozwala nam przewidzieć, że mniej więcej w połowie lub pod koniec przyszłego stulecia potrafiemy odtwarzać przedmioty wykorzystując działanie fal i pól. i Jakich mianowicie fal i jakich konkretnie pól - na to nauka oczywiście odpowie dopiero w przyszłości, j Ja osobiście jestem jednak przekonany, że w tym za - i kątku kosmosu, z którego przybyły do nas owe istoty, nauka i życie osiągnęły już taki poziom. :

- Jakie to jest życie? - zapytał kobiecy głos. Wydało mi się, że była w tym pytaniu wyraźna nutka histeryczna, nie ukrywany strach. - Jak zdołamy się z nimi porozumieć, skoro oni są płynni, o jakim kontakcie może być mowa, jeśli są gazem?

- Proszę napić się wody - zaproponował niewzruszony Mac Adow. - Nie widzę pani, odnoszę wszakże , wrażenie, że jest pani nazbyt zdenerwowana. ,

- Po prostu zaczynam wierzyć Thompsonowi.

- Gratuluję Thompsonowi jeszcze jednej sojuszniczki. Co zaś do myślącej struktury płynnej czy też koloidalnej to i my, jak wiadomo, jesteśmy na poły płynni. Chemia naszego życia to chemia węgla i roztworów wodnych.

- Pytanie do przewodniczącego jako do matematyka i astronoma. Co miał na myśli rosyjski matematyk Kołmogorow, kiedy mówił, że przy spotkaniu z pozaziemskimi formami życia możemy ich po prostu nie rozpoznać? Czy nie jest to ten właśnie wypadek?

Mac Adow odparował ten cios bez uśmiechu:

- Kołmogorow bez wątpienia miał na myśli również pytania, jakie bywają niekiedy zadawane na konferencjach prasowych.

Znów śmiech na sali, reporterzy omijając Mac Adowa rozpoczynają ataki z flank. Kolejną ofiarą jest fizyk Vieira.

- Panie Vieira, jest pan specjalistą w dziedzinie fizyki cząstek elementarnych. Skoro te obłoki są materialne - dziennikarz operował mikrofonem jak pistoletem - to znaczy to, że składają się one z dobrze znanych nauce cząstek elementarnych. Czy tak?

- Nie wiem. Może tak, może nie.

- Ale przecież większość znanego nam świata zbudowana jest z nukleonów, elektronów i kwantów

promieniowania?

- A jeśli mamy do czynienia z mniejszością znanego nam świata? Albo ze światem w ogóle nam nie znanym? A może jest to świat cząstek zupełnie nam nie znanych, nie mających analogii w naszej fizyce?

Dziennikarz skapitulował. Ktoś znowu przypomniał sobie o mnie.

- Czy operator Anochin mógłby nam powiedzieć, co sądzi o piosence, która jest śpiewana we francuskiej wersji językowej jego filmu?

- Nie piana tej piosenki - powiedziałem. - W Paryżu nie widziałem jeszcze mojego filmu.

- Ale autorem tej piosenki jest przecież Rosjanin. Aranżację opracowano dosłownie kilka dni temu. - I korespondent dość udatnie zaśpiewał po francusku słowa, które znałem: "...to jeźdźcy znikąd jadą, nieznani jeźdźcy znikąd".

- Znam to! - zawołałem. - Autor tej piosenki jest moim przyjacielem, to uczestnik naszej wyprawy antarktycznej Anatol Diaczuk.

Napotkałem ironiczne spojrzenie Ziernowa, ale nawet nie mrugnąłem okiem - miałem w nosie ironiczne spojrzenia, zapewniałem Tolkowi światową sławę, dzięki mnie jego nazwisko pojawiło się na szpaltach gazet Europy i Ameryki. I nie dbając o to, czy okażę się dość muzykalny, zaśpiewałem po rosyjsku:

- To mit czy sen czy jawa? Przypatrzcie się, nim znikną. To jeźdźcy znikąd jadą, nieznani jeźdźcy znikąd...

Tylko tyle odśpiewałem sam. Dalej podchwyciła ją cała sala, jedni po francusku, inni po angielsku, jeszcze inni śpiewali samą melodię bez słów. A kiedy wszystko ucichło, tyczkowaty Mac Adow zadzwonił delikatnie swoim maleńkim dzwoneczkiem.

- Uważam, panie i panowie, że konferencja dobiegła końca.

## NOCNE METAMORFOZY

Po zakończeniu konferencji prasowej rozeszliśmy się do swoich pokoi. Mieliśmy się spotkać za godzinę w tej samej sali restauracyjnej i zjeść razem kolację. Zebranie zmęczyło mnie tak, jak nie męczyły mnie nawet najbardziej dokuczliwe przemarsze na Antarktydzie. Tylko sen mógłby mi rozjaśnić umysł, usunąć otępiałą obojętność na wszystko. Ale ów zbawczy sen nie nadszedł, choć przywoływałem go, jak umiałem, wierząc się na kozetce z miękkim jedwabnym wałkiem pod głową. W końcu dałem za wygraną, wstałem, podstawiłem głowę pod kran z zimną wodą i zszedłem do restauracji, by zakończyć ten pełen wrażeń dzień. Ale dzień nie kończył się i wiele wrażeń stało w kolejce. Na jedno z tych wrażeń nie zwróciłem uwagi, chociaż w pierwszej chwili wydało mi się to dziwne.

Kiedy schodziłem po schodach szedł przede mną człowiek w brązowym garniturze, który leżał na nim jak mundur. Kwadratowe ramiona, siwy przystrzyżony wąsik i krótko ostrzyżona głowa jeszcze wyraźniej podkreślały jego zawód. Sztywny jak kij minął łysego portiera nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem, po czym nagle odwrócił się i zapytał:

- Etienne?

Wydało mi się, że w zimnych urzędniczych oczach portiera mignęło jak najautentyczniejsze przerażenie.

- Czym mogę służyć, monsieur? - wyrecytował z wyuczoną usługowością.

Zwolniłem kroku.

- Poznałeś mnie? - uśmiechając się leciutko zapytał wąsacz.

- Poznałem, monsieur - ledwie dosłyszalnie powiedział Francuz.

- No, właśnie - powiedział wąsacz. - To miłe, kiedy ktoś o nas pamięta.

Poszedł do restauracji. Rozmyślnie dudniąc po skrzypiących schodach zszedłem z podestu i niewinnie zapytałem portiera:

- Czy może zna pan tego pana, który przed chwilą wszedł do restauracji?

- Nie, monsieur - odpowiedział Francuz, prześlizgnąwszy się po mnie już znowu obojętnym spojrzeniem hotelarza. - To turysta z zachodnich Niemiec. Jeśli pan sobie życzy, mogę sprawdzić w recepcji.

- Nie warto - powiedziałem i poszedłem dalej. Natychmiast zapomniałem o całym tym epizodzie.

- Juri! - zawołał jakiś znajomy głos.

Odwróciłem się. Na mój widok wstawał z fotela Donald Martin. Ubrany był w okropną kurtkę zamszową z wyłożonym kołnierzykiem jaskrawej koszuli. Siedział samotnie przy długim pustym stole

i pociągał wprost z butelki ciemnobrązową mętną lurę. Kiedy mnie objął, poczułem na twarzy jego przepojony winem oddech. Nie był jednak pijany, był to ten sam wielki, hałaśliwy i stanowczy Martin. Spotkanie z nim przybliżyło mi jak gdyby to wszystko, cośmy razem przeżyli w lodowej pustyni, zagadkę ciągle jeszcze nie zdemaskowanych różowych obłoków i skrywaną nadzieję, którą podsyciły słowa Ziernowa: „Ja i wy podobnie jak Martin jesteśmy »napiętnowani«. Obłoki pokażą nam jeszcze coś nowego. Obawiam się, że pokażą...”. Co do mnie nie obawiałem się tego. Ja tego oczekiwałem.

Niedługo wymienialiśmy wspomnienia, zaczęto już nakrywać stół do kolacji. Podszedł Ziernow z Ireną, nasz koniec stołu od razu ożywił się.

- Przesiądźmy się - zaproponowała Irena. - Niech ten typ gapi się lepiej na moje plecy.

Obejrzałem się i zobaczyłem owego wścicza, do znajomości z którym z nie znanych mi powodów nie chciał się przyznać portier. Wścicz zdecydowanie zbyt natarczywie przyglądał się Irenie.

- Masz szczęście - uśmiechnąłem się. - To też twój stary znajomy?

- Taki sam jak tamten portier. Pierwszy raz go widzę.

Akurat przysiadł się do nas dziennikarz z Brukseli, widziałem go już na konferencji prasowej. Kłaniał się wszystkim na lewo i na prawo, mieszkał w tym hotelu już od tygodnia.

- Co to za typ? - zapytałem go, wskazując wścicza.

- Lange - skrzywił się Belg. - Herman Lange z NRF. Ma, zdaje się, kancelarię adwokacką w Dusseldorfie. Niezbyt miła osobistość. A obok niego, nie, nie przy table d'hote, przy sąsiednim stoliku, proszę zwrócić uwagę na tego człowieka z nerwowym tikiem twarzy i dłoni. To europejska sława, Włoch Carresi, modny reżyser filmowy, a skądinąd mąż Violetty Cecchi. Jej tu nie ma, kończy zdjęcia w Palermo. Mówią, że przygotowuje teraz dla niej sensacyjny szlagier według własnego scenariusza. Wariacje na tematy historyczne - "płaszcz i szpada". Nawiasem mówiąc jego vis-a-vis, ten z czarną przepaską na oku, to także znakomitość - Gaston Montjusseau, pierwsza szpada Francji...

Długo jeszcze opowiadał nam o siedzących na sali, wymieniał ich nazwiska i komunikował nam szczegóły, o których natychmiast zapominaliśmy. Dopiero podana przez kelnerów kolacja zmusiła go, by zamilkł. Zresztą, nie wiedzieć czemu, zamilkli nagle wszyscy. Dziwna cisza zaległa salę, słychać było tylko pobrzękiwanie sztućców i zastawy. Spojrzałem na Irenę. Ona również jadła w milczeniu, jakoś ospale, niechętnie, oczy miała przymknięte.

- Co ci jest? - zapytałem.

- Spać mi się chce - powiedziała, tłumiąc ziewanie - i głowa mnie boli. Nie będę czekała na deser.

Wstała i wyszła. W ślad za nią powstawali i inni. Ziernow milczał przez chwilę, a potem powiedział, że on niestety też już pójdzie - musi jeszcze przejrzeć materiały do jutrzejszego referatu. Odszedł także Belg. Wkrótce restauracja zupełnie opustoszała, tylko kelnerzy krążyli po sali niczym senne muchy.

- Co ma znaczyć ta powszechna ewakuacja? - zapytałem któregoś z nich.

- Jakaś niepojęta senność, monsieur. Czy pan niczego nie odczuwa? Podobno gwałtownie skoczyło ciśnienie. Zapewne ma się na burzę.

I poruszając się sennie odszedł.

- Nie boisz się burzy? - zapytałem Martina.

- Na ziemi nie - roześmiał się.

- Zobaczymy, jak wygląda Paryż w nocy?

- Co się dzieje ze światłem - zapytał nagle Martin.

Światło rzeczywiście jak gdyby przygasło, czy też może raczej przybrało jakąś mętną czerwonawą barwę.

- Nie rozumiem.

- Czerwona mgła w Sand City. Dostałeś mój list?

- Myślisz, że to znowu oni? Bzdury.

- A może przypikowali?

- Akurat nad Paryżem? Akurat na ten zakichany hotel?

- Kto wie? Zebrali się tu przecież uczeni, dziennikarze - westchnął Martin.

- Wyjdźmy na ulicę - zaproponowałem.

Kiedy mijaliśmy ladę recepcji, zauważyłem raptem, że przedtem wyglądała ona jakoś inaczej. Wszystko dokoła jak gdyby się zmieniło - inne portiery, zamiast żyrandola abażur, lustro, którego przedtem nie było. Powiedziałem o tym Martinowi, ale on obojętnie machnął ręką.

- Nie pamiętam. Wydaje ci się.

Spojrzałem na portiera i zdziwiłem się jeszcze bardziej - był to zupełnie inny człowiek. Podobny, nawet bardzo podobny, ale jednak nie ten sam. Był znacznie młodszy, nie był łysy i miał na sobie pasiasty fartuch, którego przedtem nie widziałem. A może tamtego portiera zastąpił na dyżurze jego syn?

- No, chodźmy już - popędzał mnie Martin.

- Dokąd, messieurs? - osadził nas portier. Wydało mi się, że słyszę w jego głosie lęk.

- Czy nie jest panu wszystko jedno, dokąd idziemy? - odpowiedziałem.

- Godzina policyjna, messieurs. Nie wolno. Ryzykujecie panowie.

- Co on, zwariował? - trąciłem Martina.

- Daj spokój - powiedział Martin. - Idziemy.

I wyszliśmy na ulicę.

Wyszliśmy i stanęliśmy jak wryci. Nawet chwyciliśmy się za ręce, żeby nie upaść. Otaczała nas jednolita, gęsta jak tusz ciemność bez żadnych cieni czy rozjaśnień.

- Domy wyglądają jak skały w nocy. Ani jednego światełka.

- Chyba cała sieć wysiadła.

- Może wrócimy?

- Nie - uparł się Martin - ja się tak łatwo nie poddam. Popatrzmy.

- Na co?

Nie odpowiadając ruszył do przodu, a ja trzymając się jego kieszeni szedłem za nim. I znów stanęliśmy. Gdzieś bardzo wysoko w czerni nieba niczym w głębokiej studni zamigotała gwiazdka. Coś błysnęło obok nas. Chciałem uchwycić ów błysk i natknąłem się na szkło. Staliśmy tuż obok szyby wystawowej. Nie puszczając Martina i ciągnąc go za sobą obmacałem całą tę szybę.

- Nie było jej przedtem - powiedziałem i stanąłem.

- Czego nie było? - zapytał Martin.

- Tej wystawy. W ogóle nie było tu żadnego sklepu. Kiedy szliśmy tędy z Ireną, było tu żelazne ogrodzenie. A teraz go nie ma.

- Poczekaj - Martin nie wiedzieć czemu nastroszył się. Nasłuchiwał.

Coś przed nami zadudniło pokilkakroć.

- Jakby grom - powiedziałem.

- Raczej jakby seria z automatu - Martin był innego zdania.

- A może jednak wrócimy?

- Przejdźmy się kawałek. Może kogoś spotkamy. Co się stało z przechodniami?

- Strzelanina? Kto strzela? Do kogo?

Jak gdyby dla potwierdzenia moich słów gdzieś przed nami raz jeszcze zaterkotał automat. Zagłuszył go warkot zbliżającego się samochodu. Dwa snopy światła przebiły ciemność i liznęły granitową kostkę jezdni. Drgnąłem - skąd tu kostka? Jeszcze przed paroma godzinami na obu okalających nasz hotel ulicach był asfalt.

Martin nagle popchnął mnie i przycisnął do ściany. Przemknęła obok nas pełna ludzi ciężarówka.

- Żołnierze - powiedział Martin. - W hełmach i z automatami.

- Jak to zauważyłeś - zdziwiłem się. - Ja nie mogłem niczego odróżnić.

- Wprawne oko.

- Wiesz co? - pomyślałem na głos. - Moim zdaniem nie jesteśmy w Paryżu. Inny hotel, inna ulica.

- Czerwona mgła. Pamiętasz? To z pewnością oni wylądowali.

W tej chwili ktoś nad naszymi głowami otworzył okno. Usłyszeliśmy skrzypnięcie ramy i dygot źle zakitowanej szyby. Nie paliło się żadne światło. Ale z ciemności nad naszymi głowami dobiegł skrzekliwy, schrypnięty głos, typowy grasejący głos spikera radiowego. Radio stało widocznie na parapecie okna.

- Uwaga! Uwaga! Obwieszczenie komendantury miasta. Dwaj angielscy lotnicy, którzy wyskoczyli na spadochronach z zestrzelonego rano samolotu, ciągle jeszcze znajdują się w Saint Dizier. Za kwadrans rozpocznie się oblawa. Zostanie przeszukana dzielnica po dzielnicy, dom po domu. Wszyscy mężczyźni zamieszkali w domu, w którym znalezieni zostaną nieprzyjacielscy spadochroniarze, będą rozstrzelani. Tylko natychmiastowe wydanie władzom ukrywających się wrogów powstrzyma rozpoczętą akcję.

Coś szcęknęło w odbiorniku, głos umilkł.

- Zrozumiałeś? - zapytałem Martina.

- Trochę. Szukają jakichś lotników.

- Angielskich.

- W Paryżu?

- Nie. W jakimś Saint Dizier.

- Kogo chcą rozstrzelać?

- Wszystkich mężczyzn z tego domu, w którym znajdą lotników.

- Za co? Przecież Francja nie prowadzi wojny z Anglią?

- Bzdura. Może jesteśmy zahipnotyzowani? A może śnimy? Uszczypnij mnie jak najmocniej.

Martin uszczypnął mnie tak, że aż krzyknąłem.

- Ciszej! Wezmą nas jeszcze za angielskich lotników!

- Oczywiście - powiedziałem. - Jesteś przecież Amerykaninem. I w dodatku lotnikiem. Wracajmy, póki mamy niedaleko.

Zrobiłem krok w ciemność i nieoczekiwanie znalazłem się w jasno oświetlonym pokoju. Właściwie oświetlona była tylko część tego pokoju, jak gdyby wyodrębniony z ciemności fragment dekoracji do filmu: przesłonięte firanką okno, przykryty kolorową ceratą stół, wielka jaskrawa papuga na drążku w wysokiej drucianej klatce i staruszka, która kawałkiem waty przecierała brudne dno klatki.



## ŚWIAT, KTÓRY OSZALAŁ

Staruszka uniosła głowę i popatrzyła na nas. W jej żółtej pergaminowej twarzy, w siwych puklach i w surowym kastylijskim szalu było coś sztucznego, nieomalże nieprawdopodobnego. Niemniej była z pewnością żywym człowiekiem, a zimne i niezyczliwe świderki, jej oczy, wkręcały się w nas. Żywa była również papuga, która natychmiast zwróciła ku nam swój wielki haczykowaty dziób.

- Proszę nam wybaczyć, madame - powiedziałem w swojej niezbyt wytwornej francuszczyźnie - trafiliśmy tu pełnym przypadkiem. Widocznie zostawiła pani otwarte drzwi.

- Tam nie ma drzwi - powiedziała staruszka.

Głos jej był skrzypiący i drewniany, przypominał skrzyp schodów w naszym hotelu.

- Jak zatem weszliśmy?

- Pan nie jest Francuzem - wyskrzypiała, nie odpowiedziawszy na moje pytanie.

Ja również jej nie odpowiedziałem, cofnąłem się w ciemność, ale natknąłem się na ścianę.

- Tu rzeczywiście nie ma drzwi - powiedział Martin.

Staruszka zachichotała.

- Pan mówi po angielsku jak Peggy.

- Do you speak English?! Do you speak English?! - rozdarło się z drążka ptaszysko.

Zrobiło mi się nieswojo. Może nie strach, ale jakiś spazm ścisnął mi gardło. Kto tu właściwie zwariował? My czy to miasto?

- Ma pani dziwnie oświetlony pokój - powiedziałem. - Nie widać drzwi. Gdzie są drzwi? Proszę się nie bać, już stąd wychodzimy.

Staruszka znowu zachichotała.

- To wy się boicie, moi panowie. Czemu nie chcecie porozmawiać z Peggy? Porozmawiajcie z nią po angielsku. Oni się boją, Etienne. Boją się, że ich wydasz.

Obejrzałem się. Pokój jak gdyby się poszerzył, zrobiło się w nim jaśniej. Widać już było drugi koniec stołu, przy którym siedział portier z hotelu, nie ten łysy starszy pan o wymiętej twarzy, ale jego odmłodzona kopia, którą spotkaliśmy w dziwnie przemienionym hotelu "Bretagne".

- Czemu miałbym ich wydać, mamó? - zapytał nawet na nas nie spojrzawszy.

- Musisz przecież znaleźć tych angielskich lotników. Chcesz ich przecież wydać. Chcesz, ale nie możesz.

Odmłodniały Etienne westchnął głośno.

- Nie wiem, gdzie się ukryli - powiedział cicho.

- To się dowiedz.

- Już mi nie dowierzają, mammo.

- Ważne, żeby ci Lange dowierzał. Zaoferuj mu swój towar. Ci także mówią po angielsku.

- Oni są z innego czasu. I nie są Anglikami. Przyjechali na kongres.

- W Saint Dizier nigdy nie odbywają się żadne kongresy.

- Oni są w Paryżu, mammo. W hotelu "Bretagne". I wiele lat później. A ja się już zestarzałem.

- Teraz masz trzydzieści lat, a oni są tutaj.

- Wiem.

- Więc wydaj ich Langemu, nim się nie rozpoczęła akcja.

Nie mogę powiedzieć, żebym rozumiał wszystko to, ale świecił mi jakiś mętny domysł. Wiedziałem już, że wszystko, co nas otacza, to nie są bynajmniej zjawy, że wyzierające z ich słów i działań niebezpieczeństwo jest jak najbardziej realne.

- O czym oni mówią? - zapytał Martin.

Wyjaśniłem mu.

- Jakiś zupełny obłąd. Komu chcą nas wydać?

- Sądzę, że gestapo.

- Ty także zwariowałeś.

- Nie - powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem. - Zrozum: znajdujemy się teraz w innym czasie, w innym mieście, w innym życiu. Nie wiem, jak i dlaczego zostało ono wymodelowane. Nie wiem jednak również, jak się stąd wydostaniemy.

- Wilkołaki! - wybuchnął Martin. - Wydostaniemy się! Mam już trochę doświadczenia.

Podszedł do siedzącego przy stole Etienne'a, chwycił go za kłapy marynarki i potrząsnął nim.

- Słuchaj, diabelski pomociu! Gdzie jest wyjście?

- Gdzie jest wyjście? - powtórzyła za Martinem papuga. - Gdzie są lotnicy?

Zadrżałem. Wściekły Martin cisnął Etienne' em, jak gdyby ten był szmacianą lalką. Etienne uderzył o ścianę i zniknął w niej. W miejscu, w którym zniknął, majaczyło już coś, co przypominało otwór drzwi zasnuty purpurową mgiełką.

Martin skoczył w tę mgłę, ja za nim. Sytuacja zmieniła się niczym ujęcie filmu. Znaleźliśmy się w hotelowym hallu, tym samym, z którego wyszliśmy z Martinem na ulicę. Etienne, tak nie po dżentelmeńsku potraktowany przez Martina, siedział za kontuarem recepcji i coś pisał, nie widział nas albo udawał, że nas nie widzi.

- Niewiarygodne - westchnął Martin.

- A co nas jeszcze czeka? - dorzuciłem niepewnie.

Martin ruszył w stronę drzwi, ale stanął - zastąpili mu drogę niemieccy fizylierzy, jota w jotę tacy sami, jakich zdarzało mi się widywać na filmach traktujących o ostatniej wojnie.

- Chcemy wyjść na ulicę. Na ulicę - powtarzał Martin wskazując ciemność.

- Verboten! - szczechnął Niemiec. - Zuruck! - I lufą automatu trącił Martina w pierś.

- Usiądźmy - powiedziałem - i porozmawiajmy. Uciec tak czy owak nie mamy dokąd.

Usiedliśmy przy okrągłym stole nakrytym zakurzonym pluszowym obrusem. Był to jakiś bardzo stary hotel, jeszcze starszy niż nasz paryski "Bretagne". Był tak stary, że niczym już nie próbował się szczycić, ani starożytnością rodu, ani tradycją przechodzącą z pokolenia na pokolenie. Kurz, graty, starzyzna i chyba strach, strach przyczajony w każdym zakamarku.

- Co tu się dzieje? - zapytał zrezygnowany Martin.

- Mówiłem ci przecież. Inny czas, inne życie.

- Inne życie - ze wzbierającą złością powtórzył Martin. - Każdy swój model kopiują z oryginału. Skąd zatem wzięli Niemców?

- Nie wiem.

Z ciemności, która pochłaniała część oświetlonego hallu, wyszedł Ziernow. Pomyślałem w pierwszej chwili - czy to aby nie jego sobowtór? Ale coś mi podpowiedziało, że nie, byłem tego pewien. Ziernow był spokojny, jak gdyby nic się wokół niego nie zmieniło, nawet na nasz widok nie zdziwił się, ani nie zaniepokoił. A przecież musiał być zdenerwowany, nie mógł się nie denerwować. Po prostu nie pokazywał tego po sobie. Trzymał się znakomicie.

- Wydaje mi się, Martin, że znowu się znalazłeś w mieście wilkołaków - powiedział, podchodząc do nas i rozglądając się. - My zresztą też.

- A wiecie, jakie to miasto? - zapytałem.

- Mam nadzieję, że to Paryż a nie Moskwa.

- Ani Paryż, ani Moskwa. To Saint Dizier, na południowy wschód od Paryża, jeśli dobrze pamiętam mapę. Prowincjonalne miasteczko na okupowanym terytorium.

- Przez kogo okupowanym? Czy wy przypadkiem nie macie, Anochin?

Ziernow ciągle jeszcze nie pojmował, zastanawiał się nad czymś.

- Kiedy tu szedłem, zauważyłem już i purpurową mgłę i to, że całe otoczenie uległo zmianom. Ale nie spodziewałem się oczywiście czegoś podobnego - obejrzał się na fizylierów, którzy trwali w bezruchu na granicy światła i ciemności. W oczach Ziernowa błysnęła tak dobrze mi znana ciekawość uczonego.

- Jak sądzicie, co modelują tym razem?

- Coś z przeszłości. Ale nam to niczego nie ułatwia. Aleale, skąd wracacie?

- Z mojego pokoju. Zaintrygował mnie czerwony odblask na ścianie, otworzyłem drzwi i znalazłem się tutaj.

- Proszę się przygotować na coś gorszego - powiedziałem i zobaczyłem Langego,

W smudze światła pojawił się ten sam adwokat z Dusseldorfu, o którego pytałem przy kolacji Belga. Ten sam Herman Lange, krótko ostrzyżony wąsacz, ten sam, a jednak nie ten sam. Był jak gdyby wyższy, wytworniejszy, młodszy, młodszy co najmniej o dwadzieścia pięć lat. Miał na sobie czarny mundur ze swastyką, miał ciasno ściągnięty pas na szczupłej, nieomal chłopięcej talii, był w charakterystycznej czapce i w olśniewająco błyszczących oficerkach. Był nawet przystojny, jeśli patrzeć na piękno z punktu widzenia reżysera operowego - wyelegantowany Nibelung z elity Himmlera.

- Etienne - niezbyt głośno przywołał do siebie portiera - mówiłeś, że jest ich dwóch. Widzę trzech.

Etienne poderwał się, stanął na baczność, twarz miał białą, jak gdyby napudrowaną niczym twarz kłowna.

- Trzeci jest z innego czasu, Herr Sturmbannfuhrer.

Lange się skrzywił .

- Możesz mówić do mnie: monsieur Lange. Pozwoliłem ci przecież. A skąd on jest, wiem równie dobrze jak ty. Pamięć przyszłości. Ale w tej chwili on jest tutaj i to jest mi na rękę. Brawo, Etienne. A ci dwaj?

- Angielscy lotnicy, monsieur Lange.

- Łże - powiedziałem, nie wstając. - Ja także jestem Rosjaninem. A kolega jest Amerykaninem.

- Zawód? - zapytał po angielsku Lange.

- Pilot - odruchowo wyprężył się Martin.

- Ale nie angielski - dodałem natychmiast.

Lange roześmiał się w odpowiedzi.

- Co za różnica, Anglia czy Ameryka? Walczymy i z jedną, i z drugą.

Zapomniałem na chwilę o niebezpieczeństwie, które przez cały czas nam zagrażało, tak wielką miałem ochotę dać po nosie temu widmu przeszłości. Nie zastanawiałem się nad tym, czy mnie zrozumie. Po prostu krzyknąłem:

- Wojna dawno się już skończyła, panie Lange. Wszyscy jesteśmy z innego czasu, pan także. Przed pół godziną razem jedliśmy kolację w paryskim hotelu "Bretagne" i był pan ubrany w cywilny garnitur adwokata na wycieczce, a nie w ten operetkowy kostium.

Lange się nie obraził. Przeciwnie, uśmiechnął się nawet, odpływając w osnuwającą go purpurową mgiełkę.

- Takiego mnie pamięta nasz dobry Etienne. Odrobinę idealizuje zarówno mnie, jak i siebie. W gruncie rzeczy wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Ciemnoczerwona mgła przesłoniła go zupełnie, po czym rozwiała się nagle. Trwało to nie dłużej niż pół minuty. Ale wychynął z mgły inny Lange, nieco niższy, bardziej otyły i kłocował, w niewyczyszczonych butach, w długim, ciemnym płaszczu. - Zmęczony żołdak z zaczerwienionymi na skutek wielu bezsennych nocy oczyma. W ręku trzymał rękawiczki, jak gdyby miał zamiar je włożyć, ale nie włożył ich, tylko wymachując nimi podszedł do lady, za którą siedział Etienne.

- Gdzie oni są, Etienne? Nadal nie wiesz?

- Już mi nie dowierzają, panie Lange.

- Nie próbuj mnie oszukiwać. Jesteś zbyt ważną figurą w tutejszym Ruchu Oporu, by mieli już stracić do ciebie zaufanie. Może kiedyś, w przyszłości, ale jeszcze nie teraz. Ty się po prostu boisz swoich przyjaciół z podziemia.

Zamachnął się i rękawiczkami uderzył Etienne'a po twarzy. Raz! Jeszcze raz! Etienne'owi tylko głowa latała.

- Najpóźniej jutro zameldujesz mi, gdzie się ukrywają. Zrozumiano?

- Tak, monsieur Lange.

Gestapowiec odwrócił się i znowu stanął przed nami. Przerazenie Etienne'a przeobraziło go, nie był to już człowiek, lecz Nibelung.

Etienne nie dotrzymał wtedy słowa, rzeczywiście nie dowierzano mu - powiedział. - Ale jak się starał, jak bardzo chciał zdradzić! Zdradził nawet najdroższą mu kobietę, w której kochał się beznadziejnie. A jak tego potem żałował! Nie, nie tego, że ją zdradził. Tego, że nie udało mu się zdradzić tych dwóch, którzy się nam wymknęli. No cóż, Etienne, poprawmy przeszłość. Masz okazję. Tego Rosjanina i tego Amerykanina rozstrzelam jako poszukiwanych spadochroniarzy, a tego drugiego Rosjanina po prostu powieszę. A na razie wszyscy do gestapo! Patrol! - zawołał.

Wydało mi się, że fizylierzy wypełnili cały ten ciemny, pełen kurzu hali. Otoczyli mnie, wykręcili mi ręce do tyłu i kopniakiem wyrzucili w ciemność. Padając skręciłem nogę i długo nie mogłem wstać, nic także nie widziałem, dopóki moje oczy nie przyzwyczyły się do purpurowego półmroku, którego prawie wcale nie rozjaśniało światło małej matowej żarówki. Wszyscy trzej leżeliśmy na podłodze bardzo wąskiej celi czy też może karceru bez okien, ale karcer ten znajdował się w ruchu, na zakrętach aż podrzucało nas - wywnioskowałem więc, że jedziemy w więźniarce.

Pierwszy wstał i usiadł Martin. Zgiąłem skrzyżowaną nogę, potem ją wyprostowałem - chwała Bogu, nie była ani złamana, ani zwichnięta. Ziernow leżał wyciągnięty na plecach, głowę oparł na rękach.

- Nic wam się nie stało, Borysie Arkadiewiczu?

- Na razie nic - odparł lakonicznie.

Nie mogłem jednak milczeć.

- Modeluje się czyjaś przeszłość - powtórzyłem - trafiliśmy w tę przeszłość przypadkiem. Ale skąd się wzięła ta przygotowana dla nas więźniarka?

- Może stała przed wejściem do hotelu. Mogli nią przyjechać fizylierzy - powiedział Ziernow.

- Gdzież więc oni są?

- Nasi konwojenci są zapewne w szoferce. Reszta została w hotelu do dyspozycji Langego. Może wówczas także byli mu potrzebni. Lange wprowadza do przeszłości tylko niewielkie korektury.

- To nie jest tylko jego przeszłość, to także przeszłość Etienne'a. Oni korygują się nawzajem. Nie rozumiem tylko, czemu to służy?

A o mnie zapomnieliście, boys? - wtrącił się Martin. - Nie rozumiem przecież po rosyjsku.

- Przepraszam, Martin - Ziernow natychmiast przeszedł na angielski - zapomnieliśmy, rzeczywiście. Tymczasem nie należało tego robić, nie tylko przez wzgląd na kolegę. Łączy nas coś jeszcze. Wiecie o czym ciągle myślę? - ciągnął, unosząc się na łokciu nad zaświnioną podłogą więźniarki. - Czy wszystko to, co się teraz z nami dzieje, jest aby przypadkowe? Przypominam sobie wasz list do Anochina, Martin, zwłaszcza to wasze sformułowanie "napiętnowani", a więc jak gdyby przez przybyszów z kosmosu oznaczeni czy nacechowani. Właśnie dlatego bez trudu możemy się przyglądać zakamarkom ich twórczej kuchni. Ale czy to jest przypadek, czy też nie przypadek? Dlaczego modelowano nie jakiś pierwszy lepszy samolot pasażerski latający na linii Melbourne - Dżakarta - Karaczi, ale właśnie ten nasz, ten w którym byliśmy my, my, „napiętnowani”? Czy to

przypadek czy nie? Załóżmy, że „obłoki” wędrując na północ zainteresowały się nagle życiem prowincjonalnej amerykańskiej dziury. Dopuszczam taką możliwość. Ale dlaczego wybrały sobie właśnie miasteczko związane z Martinem? I to właśnie wtedy, kiedy się do tego miasteczka wybierał. I dlaczego z setki tanich paryskich hotelików wybierają sobie do kolejnego eksperymentu właśnie nasz “Bretagne”? Czy to także przypadek? A może tak właśnie zawczasu zaplanowano, może to jest szczegółowo obmyślane i ma określony, na razie jeszcze nie znany nam cel? Mamy podstawy, aby tak przypuszczać.

Wydawało mi się, że Ziernow się zagalopował, Niemożność wyjaśnienia tego, co się działo, realność i ulotność tych przemieszczeń w czasie i przestrzeni, chorobliwy świat Kafki, który dla nas był rzeczywistością - wszystko to mogło przerazić każdego, ale nie Ziernowa.

Ziernow jak gdyby czytał w moich myślach.

- Myślicie, że oszalałem? A czy znacie paradoks Nielsa Bohra: „Jeśli hipoteza jest obłędna, to może to dowodzić, iż jest ona prawdziwa”? Ja jednak nie upieram się przy tym, że moja hipoteza jest prawdziwa, wyraziłem tylko pewien domysł, jeden z wielu możliwych. Ale czy to właśnie jest ów kontakt, o którego nawiązaniu marzą teraz wszyscy myślący przedstawiciele ludzkości? Czy aby „obłoki” nie próbują za naszym pośrednictwem, tak, właśnie za naszym pośrednictwem, opowiedzieć ludziom o tym, co robią i dlaczego to robią? Czy dopuszczając nas do udziału w swoich eksperymentach nie apelują do naszego intelektu w nadziei, że potrafimy zrozumieć sens tego eksperymentu?

- Dziwny sposób łączności - powiedziałem z powątpiewaniem.

- A jeśli nie ma innego? Jeśli oni nie znają naszych sposobów utrzymywania łączności? Albo jeśli te sposoby są im niedostępne? Jeśli nie mogą się posłużyć ani optycznym, ani akustycznym, ani żadnym innym spośród używanych przez nas sposobów przekazywania informacji? Jeśli nie są zdolni do telepatii, jeśli nie znają naszego języka, alfabetu Morse’a ani żadnego innego naszego kodu sygnalizacyjnego? A nam z kolei nie są dostępne ich środki łączności? Co wtedy?

- Nie rozumiem pana - rozgniewał się Martin - oni tworzą, oni modelują, oni szukają sposobu nawiązania kontaktu, a my na razie mamy iść pod mur albo wkładać głowę w stryczek?

- Może jeszcze nie potrafią... To pierwsze próby, błędy są nieuniknione.

- Będzie to dla pana pociechą, kiedy zawisnie pan na szubienicy?

- Jakoś w tę szubienicę nie wierzę - powiedział Ziernow.

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć. Więźniarka oderwała się od ziemi, nasza ruchoma cela rozpadła się. Buchnęło oślepiające światło, rozległ się piekielny łoskot, który trwał ułamek sekundy, potem pograżyliśmy się w stan nieważkości i w ciemność.

Tylko z trudem można było rozewrzeć powieki, wydawało się, że coś je sklepiło. Kiedy to zrobiłem, natychmiast poczułem na ciemieniu dotkliwy, przejmujący ból. Gdzieś bardzo wysoko nade mną migotały światełka, niczym robaczki świętojańskie w letnią noc na południu Rosji. Gwiazdy? Niebo? Odnalazłem koła Wielkiego Wozu i zrozumiałem, że znajduję się na ulicy. Powolutku próbowałem odwrócić głowę, ale każdy ruch wywoływał ten sam dokuczliwy ból na ciemieniu. Zdołałem jednak zobaczyć czarną nierówną linię dachów po przeciwnej stronie ulicy, mokrą od deszczu jezdnię - słabo połyskiwała w ciemności - i jakieś cienie na jezdni. Przyjrzawszy się dokładniej, rozpoznałem w nich resztki naszego rozbitego samochodu.

Leżałem tuż obok pnia drzewa, które w ciemnościach ledwie mogłem odróżnić, mogłem za to namacać jego starą, chropowatą korę. Podciągnąłem się i oparłem o ten pień plecy. W tej pozycji łatwiej mi było oddychać, ból osłabł. Obmacałem włosy na ciemieniu, powąchałem palce - to nie była krew, to była nafta.

Przezwyceźając słabość wstałem przytrzymując się drzewa, jak gdyby to była moja ukochana dziewczyna i długo stałem tak, wpatrując się w bezludną ciemność ulicy. Potem pomalutku, zataczając się przy każdym kroku, poszedłem w kierunku rozbitego samochodu. "Borysie Arkadiewiczu! Martin!" - zawołałem cicho. Nikt mi nie odpowiedział. Wreszcie podszedłem do czegoś nieforemnego i płaskiego, co leżało na jezdni. Przyjrzałem się. Była to połowa ciała odzianego w niemiecki mundur żołnierski, ale bez nóg i bez twarzy - wszystko, co pozostało z jednego z naszych konwojentów. Obszedłem ciało i nieco dalej znalazłem w rynsztoku Martina.

Poznałem go od razu po krótkiej kurtce zamszowej i po wąskich spodniach - takich spodni nie nosił żaden z niemieckich żołnierzy. "Don!" - zawołałem. Poruszył się i szepnął: "Kto to?" "Żyjesz, stary?". "Juri?". "Tak, to ja. Możesz się trochę unieść?". Przytaknął ruchem głowy. Pomogłem mu usiąść na krawężniku i sam usiadłem obok niego. Oddychał ciężko i najwyraźniej nie oswoił się jeszcze z mrokiem - mrugał nieustannie. Przez dwie lub trzy minuty siedzieliśmy tak w milczeniu, aż wreszcie Martin zapytał:

- Gdzie my jesteśmy? Niczego jakoś nie poznaję. Co się stało?

- Ktoś zapewne wrzucił bombę do więźniarki. Gdzie jest Ziernow?

- Nie wiem.

Wstałem i raz jeszcze obszedłem szczątki rozbitego samochodu przyglądając się uważnie zwłokom konwojentów. Ziernowa między nimi nie było.

- Niedobrze - powiedziałem wróciwszy do Martina. - Nie ma żadnych śladów.

- Myśmy jechali na górze i ocaleliśmy. A więc i on z pewnością żyje. Na pewno gdzieś poszedł.

- Bez nas? Bzdura.

- A jeżeli wrócił?



- Dokąd?
  - Do prawdziwego życia. Z tego sabatu czarownic... Może mu się udało? A może i nam się uda?
  - Cicho! Słyszysz?
- Masywne drzwi za nami skrzypnęły przeciągle i otworzyły się. Snop światła, który z nich padł, przecięła natychmiast ciężka wisząca w drzwiach portiera. Znowu zrobiło się ciemno, ale w tym krótkim przeblysku światła zobaczyłem sylwetkę kobiety w wieczorowej sukni. Teraz znowu widziałem tylko jej niewyraźny cień. Skądś z daleka, spoza portiery, dobiegała przygłuszona melodia - grano popularnego niemieckiego walca.
- Kobieta, której ciągle jeszcze nie mogłem zobaczyć w ciemności, zeszła po kilku schodkach na chodnik. Teraz tylko ów wąski chodnik dzielił ją od nas. Siedzieliśmy nadal na krawężniku.
- Co się stało? - zapytała kobieta.
  - Nic specjalnego - odpowiedziałem - tyle tylko, że ktoś wysadził w powietrze nasz samochód.
  - Wasz? - zdziwiła się.
  - No, samochód, którym jechaliśmy, czy raczej, jeśli mam się wyrazić ściśle, samochód, którym nas wieziono.
  - Kto z wami jechał?
  - A któż mógł, pani zdaniem, jechać? - drażniło mnie już to przesłuchanie. - Konwojenci oczywiście. Chce pani ich sobie poskładać z kawałków?
  - Proszę się na mnie nie gniewać... Tym samochodem powinien być jechać komendant gestapo.
  - Kto? Lange? - zdziwiłem się. - Lange został w hotelu.
  - Tak właśnie być powinno - powiedziała z zadumą kobieta. - Wtedy też było tak samo. Ale wtedy nikt nie jechał w samochodzie, który wysadzili w powietrze. A wy skąd jesteście? Czy was także sypnął Etienne?
  - Nikt nas nie sypnął madame - przerwałem jej. - Znaleźliśmy się tutaj przypadkiem i nie z własnej woli. Proszę mi wybaczyć, ale niezbyt dobrze władam francuskim. Może zna pani angielski?
  - Angielski? - zdziwiła się. - Ale jakim cudem...
  - Tego nawet po angielsku nie potrafię pani wyjaśnić. W dodatku nie jestem Anglikiem.
  - Halo, mummy - przerwał mi Martin. - Za to ja jestem ze Stanów. Zna pani piosenkę: "Yankee Doodle był w piekle. »Zinno - rzekł - tu wściekle «..."? Zapewniam panią, że w tym piekle jest,

goręcej.

Roześmiała się.

- I co ja teraz z wami pocznę?

- Chętnie zwilżyłbym sobie gardło - powiedział Martin.

- Proszę za mną. W szatni nie ma nikogo, a portiera zwolniłam na dziś wieczór. Macie szczęście, messieurs.

Weszliśmy za nią do słabo oświetlonej szatni. Rzuciły mi się w oczy niemieckie płaszcze mundurowe na wieszakach i oficerskie czapki z zadartymi otokami. Z boku był niewielki pokój, raczej komórka bez okien, której ściany wyklejone były zdjęciami z tygodników filmowych. Stały tu dwa krzesła i stół, a na stole leżała gruba księga rejestracyjna.

- To hotel czy restauracja? - zapytał Martin.

- Kasyno oficerskie - odpowiedziała.

Po raz pierwszy spojrzałem jej w twarz i zamarłem. Nastroszyła się natychmiast.

- Czy... pan mnie zna?

Wtedy Martin też coś powiedział. W tłumaczeniu brzmiałoby to mniej więcej tak:

- Ho-ho!... A to ciekawe!

Milczałem.

- Jak mam to rozumieć, monsieur? - zapytała kobieta.

- Irena - powiedziałem po rosyjsku. - Nic nie rozumiem.

- Mój Boże, Rosjanin! - wykrzyknęła, także po rosyjsku.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Irena - to mój pseudonim w Resistance. Skąd pan go zna?

- Nie znam żadnego pseudonimu. Nie miałem pojęcia, że używasz pseudonimu. Wiem tylko, że przed godziną jedliśmy razem kolację w hotelu "Bretagne" w Paryżu.

- To jakieś nieporozumienie - powiedziała chłodno.

Wściekłem się.

- Nie poznałaś mnie? Spójrz na mnie!

- Kim pan jest?

- Przecież razem przylecieliśmy z Moskwy. Czy tego także nie pamiętasz?

- Kiedy?

- W-w-wczoraj... - Zacząłem się już jąkać.

- W jakim to było roku?

Na takie dictum po prostu zamarłem z rozdziawionymi ustami. Cóż mogłem jej odpowiedzieć, skoro była w stanie zadać takie pytanie?

- Nie dziw się, Juri - szepnął do mnie Martin. Nie rozumiał ani słowa, ale domyślił się, dlaczego tak się denerwuję. - To nie ona. To wilkołak.

Irena ciągle jeszcze patrzyła obcym wzrokiem to na mnie, to na Martina.

- Pamięć przyszłości - powiedziała zagadkowo. - On z pewnością musiał kiedyś o tym myśleć. Może nawet spotkał pana i ją. Jest podobna do mnie? I ma na imię Irena? Dziwne.

- Dlaczego? - nie wytrzymałem.

- Miałam córkę, Irenę. W czterdziestym skończyła rok. Osowiec zabrał ją do Moskwy. Jeszcze przed upadkiem Paryża.

- Co za Osowiec? Akademik?

- Nie. Zwykły uczonec. Pracował z Pawłem Langevin.

W ciemnościach błysnęła nagle jakaś iskierka.

- A pani, pani mąż? - zapytałem, zaczynając już rozumieć.

- Mąż wraz z ambasadą wyjechał do Vichy. Przyjechał potem, ale już sam. Przystanął koło jakiejś przydrożnej fermy, nie wiem, czy potrzebował wody do chłodnicy, czy po prostu chciało mu się pić. Wtedy już bombardowano szosy. No cóż, to wszystko. Trafiło prosto w niego - uśmiechnęła się smutnie, ale jednak się uśmiechnęła, widocznie już się z tym pogodziła. - Trzymam się tak dobrze, bo właśnie tak wyobraża mnie sobie Etienne. Ale w rzeczywistości zniosłam to znacznie gorzej.

Wszystko się zgadzało. Osowiec nie był jeszcze wtedy członkiem Akademii Nauk, ale już pracował z Langevinem - wiedziałem o tym. To zapewne on wychował Irenę. Od niego Irena dowiedziała się o swojej matce. Ale co tu ma do rzeczy Etienne?

Nie mogłem się powstrzymać i zapytałem o to. Kobieta roześmiała się.

- Przecież istnieję właśnie w jego wyobraźni. Etienne z pewnością myśli o mnie w tej chwili. Kochał

się we mnie na zabój. A jednak wydał mnie Niemcom.

Przypomniałem sobie słowa Langego: “Zdradził nawet najdroższą mu kobietę, w której kochał się beznadziejnie. Tak bardzo chciał zdradzić!”. A zatem stało się to jeszcze przed naszym spotkaniem z gestapowcem. A zatem czas liczy się w tym życiu jakaś zupełnie inaczej. Jest przemieszany jak karty w potasowanej talii.

- Jesteście może głodni? - zapytała kobieta.

- Chętnie bym coś wypił - powiedział Martin, który domyślił się, o czym mowa.

Skinęła głową, mrużąc przy tym oczy zupełnie jak Irena, i uśmiechnęła się. Nawet uśmiechy ich obu bardzo były podobne do siebie.

- Poczekajcie na mnie, tutaj nikt nie przyjdzie. No, a gdyby... Broni, oczywiście, nie macie? - przesunęła jakąś deskę pod blatem stołu i wyjęła ze skrytki ręczny granat i mały płaski brauning. - Nie śmiecie się, to nie jest zabawka. Bije bardzo celnie.

I wyszła. Ja wziąłem brauning, Martin granat.

- To matka Ireny - powiedziałem.

- Coraz lepiej. Skąd ona się tu wzięła?

- Mówi, że Etienne w tej chwili o niej myśli. W czasie wojny była razem z nim w Resistance.

- Jeszcze jeden wilkołak - powiedział Martin i splunął. - Warto by ich wszystkich wykończyć tym granatem - i uderzył się po kieszeni.

- Nie gorączkuj się. Przecież stworzono ich ludźmi. Ludźmi a nie kukłami. To nie jest Sand City.

- Ludźmi - powtórzył ironicznie Martin. - Oni wiedzą, że powtarzają czyjeś życie, znają nawet przyszłość... przyszłość tych, których życie powtarzają. Widziałeś “Draculę”? To taki film o wampirach. Za dnia są martwi, ożywają nocą. Żyją od zmroku do świtu. Tacy to i ludzie. Obawiam się, że po tej uroczej nocy będziemy się musieli przebrać w kaftany bezpieczeństwa. Jeśli oczywiście nie zatłuką nas tu bosze.

- Nie mów tak głośno - przerwałem mu - bo jeszcze nas usłyszą. Na razie nie jest jeszcze tak źle. Mamy już broń. Przyszłość pokaże, co będzie dalej.

Weszła „Irena”. Nic wiedziałem, jak naprawdę ma na imię, i. w myślach nadal nazywałem ją “Irena”.

- Lepiej nie przynosić tu niczego do picia - powiedziała - to by mogło zwrócić uwagę. Pójdziemy do baru. Wszyscy tam są pijani, nikogo nie zdziwią jeszcze dwaj goście. Barman jest już uprzedzony. Tylko niech Amerykanin nic nie mówi, gdyby ktoś go o coś zapytał, niech odpowiada po francusku: “Gardło mnie boli, nie mogę mówić”. Jak pan ma na imię? Proszę powtórzyć, Martin: “Gardło mnie

boli, nie mogę mówić”.

Martin kilkakrotnie powtórzył to zdanie. Poprawiała go.

- O, tak. Teraz ujdzie. Co najmniej przez pół godziny nic wam nie grozi. Za pół godziny przyjdzie Lange z minierem i z fizylierami. Z baru kuchennymi schodami można przejść do pokoju na górze, gdzie gra w brydża generał Berr. Pod stołem jest tam mina z mechanizmem zegarowym. Za czterdzieści pięć minut cały budynek wyleci w powietrze.

- Matko najświętsza! - zawołałem po rosyjsku. - W takim razie trzeba stąd dać nogę!

- Nie wylecimy w powietrze - uśmiechnęła się ze smutkiem. - Etienne doniósł o wszystkim Langemu. Mnie złapią na górze, u Berra, minier rozbroi minę, a Lange dostanie Sturmbannfuhrera. Kiedy przyjdzie, odczekajcie dwie minuty i spokojnie wyjdźcie.

Otworzyłem usta i zamknąłem je znowu. Taka rozmowa była do pomyślenia tylko w klinice psychiatrycznej. Ale kobieta mówiła nadal:

- Proszę się nie dziwić. Etienne'a przy tym nie było, ale Lange pamięta wszystko. Łaził wszędzie, wypytywał wszystkich gości. Ma znakomitą pamięć. Wszystko było dokładnie tak, jak" to zobaczycie.

## ZMIENIAMY PRZESZŁOŚĆ

W pierwszym pokoju grano w karty. Unosił się tu zapach popiołu i tytoniu i było tyle dymu, że nic nie można było zobaczyć. Dym to gęstniał, to znów rzedł, ale nawet kiedy się rozwiewał, wszystko było płynne, zatracalo kształty, opływało, kurczyło się, jak gdyby kształty obowiązujące w tym świecie nie były podporządkowane prawom geometrii euklidesowej. Nagle wyciągała się długa jak narta ręka trzymająca karty i licytowały się ochryple głosy: "Te pięć i jeszcze pięć... Pas... Sprawdź...", to znów przecinała tę rękę taca, na której balansowała butelka koniaku, a w prostokącie etykiety na butelce niczym na ekranie telewizora pojawiała się nagle czyjaś twarz z przystrzyżonymi wąsikami i ta twarz z kolei przekształcała się w plakat pełen krzykliwych liter: "VERBOTEN... VERBOTEN... VERBOTEN...", to znów nasuwały się na ów plakat szare głowy bez twarzy i czyjś głos zza kłębow dymu mówił: "Jeszcze trzydzieści minut... Jeszcze trzydzieści minut..." Karty szeleściły jak liście na wietrze, mętniało światło. Dym gryzł w oczy.

- Irena - zawołałem.

Odwróciła się.

- Nie nazywam się Irena.

- Wszystko jedno. Co to jest? Gabinet krzywych zwierciadeł?

- Nie - uśmiechnęła się. - Po prostu nikt nie pamięta dokładnie sytuacji, szczegółów. Etienne próbuje to sobie wyobrazić. A w głowie Langego błyskają po prostu oderwane sceny, on się nie zastanawia nad szczegółami.

Znowu nic nie rozumiałem. A właściwie coś tam niby rozumiałem, ale niedokładnie.

- Jak we śnie - dziwił się Martin.

- Pracują jednocześnie komórki pamięci dwóch ludzi - mimo wszystko próbowałem znaleźć wytłumaczenie. - Ich wyobrażenia materializują się, zderzają ze sobą, jedno zaciera drugie.

Weszliśmy do baru. Bar znajdował się w mniejszym pomieszczeniu, oddzielnym od sali zasłoną z nanizanych na zwisające sznurki kawałków bambusa. Niemieccy oficerowie będący już na cyku, pili posępnie. Nie było tu na czym usiąść. Tylko na długiej kanapce pod ścianą całowały się jakieś pary. Pomyślałem, że Lange widocznie dobrze sobie zapamiętał to wnętrze. Na nas nikt jednak nawet nie spojrzał. Irena coś szepnęła barmanowi i zniknęła w jakichś drzwiach, za którymi widać było prowadzące na górę ceglane schodki. Barman w milczeniu postawił przed nami dwa kieliszki koniaku i odszedł. Martin spróbował.

- Niezły - powiedział i oblizał się.

- Cśśś... - syknąłem. - Nie jesteś Amerykaninem tylko Francuzem.

- Gardło mnie boli, nie mogę mówić - powiedział wyuczone zdanie i zrobił do mnie oko.

Nikt zresztą nie słuchał naszej rozmowy. Popatrzyłem na zegarek. Lange powinien przyjść za piętnaście minut. I nagle wpadłem na pomysł - a gdyby tak Lange, powiedzmy, nie poszedł na górę, gdyby minier nie rozbroił miny, to generał Berr i jego kamaryla w przewidzianym czasie zostaną rozproszeni w atmosferze! Zaraz, to ciekawe! Lange przyjdzie z jednym fizylierem i z minierem. Miner z pewnością nie będzie uzbrojony, fizylier stanie przy drzwiach na schody. Istnieje szansa!

Szeptem podzieliłem się tymi myślami z Martinem. Przytaknął. Ryzyko, że oficerowie z baru nam przeszkodzą, było niewielkie - oficerowie z trudem utrzymywali się w pozycji stojącej. Słowem - sytuacja była bardzo zachęcająca.

Minęło jeszcze dziesięć minut. Jeszcze minuta, dwie minuty, trzy minuty. Pozostawały już tylko sekundy. I oto zjawił się Lange, nie ten Lange, którego już poznaliśmy, ale Lange z czasów jeszcze wcześniejszych, jeszcze nim został Sturmbannfuhrerem. Jeśli Lange pamiętał tę sytuację, to w każdym razie my nie byliśmy w niej zanotowani, nic więc nam nie groziło. Działania Langego programowała jego pamięć, a ona kazała mu jak najszybciej dostać się do miny i unieszkodliwić ją, zapobiec katastrofie. Towarzyszył Langemu niemłody już żołnierz w okularach i chłopaczyna-gestapowiec z pistoletem automatycznym. Lange szedł szybko, spieszenie, powiódł niechętnym spojrzeniem po drzemających nad koniakami oficerach i co prędzej poszedł z minierem na górę. Bardzo się śpieszyli. Gestapowiec z automatem, tak jak na to liczyliśmy, stanął przy drzwiach na klatkę schodową. W tejże chwili Martin podszedł do niego i błyskawiczną blachą w czoło zwałił go na ziemię. Gestapowiec nie zdążył nawet wypuścić z rąk automatu, a już Martin trzymał broń. Ja zaś z brauningem w ręku biegłem już do schodach na górę w ślad za Langem. Lange obejrzał się. „Padnij, Juri!” - krzyknął Martin. Klapnąłem na schodki, seria z peemu położyła obu - Langego i miniera. Wszystko to trwało zaledwie ułamek sekundy. Z baru nikt nawet nie wyjrzał.

Z góry za to wyjrzała „Irena”. Minęło jeszcze kilka sekund, nim powoli, nie zadając nam żadnych pytań, zeszła na dół obok skurczonych na stopniach martwych gestapowców.

- Czy ktoś słyszał wystrzały? - zapytałem wskazując pokój na górze.

- Nikt oprócz mnie. Są tak przejęci rozgrywką, że nie usłyszą nawet wybuchu. - Zadrzała i przesłoniła sobie usta dłonią. O, Boże! Nie rozbroili miny!

- To świetnie - powiedziałem. - Niech się wszyscy przeniosą do piekła. Uciekajmy.

Ciągle jeszcze nie mogła zrozumieć.

- Ale przecież wtedy tego nie było.

- Za to teraz tak będzie! - Chwyciłem ją za rękę. - Czy jest stąd jakieś inne wyjście?

Poruszając się jak lunatyczka wyprowadziła nas na nieoświetloną ulicę. Z wartownikiem u wyjścia Martin rozprawił się tak samo jak z tamtym na górze.

- To już czwarty - podliczył - granat nie był potrzebny.

- Piąty - poprawiłem go - zacząłeś przecież już na Antarktydzie.

- Będą teraz musieli wymodelować dla nich specjalny raj.

Zamienialiśmy te zdania w biegu. Biegliśmy środkiem jezdni, nie wiedząc dokąd, przed siebie, w ciemność. Wreszcie coś ciężkiego stęknęło za naszymi plecami, słup ognistych iskier strzelił w niebo. Przez ułamek sekundy widziałem przed sobą wielkie, rozszerzone oczy „Irenę”. Dopiero teraz zauważyłem, że „Irenę” nie nosiła okularów.

Zawyła gdzieś syrena. Zaterkotał silnik samochodu. A potem jeszcze jeden. Odblask pożaru coraz bardziej rozjaśniał ulicę.

- Jakże to tak? - zapytała nagle „Irenę”. - Więc ja żyję? Więc to jest jakieś zupełnie inne życie? Nie tamto?

- To życie toczy się teraz samodzielnie, stosownie do praw swego czasu. Myśmy tylko cofnęli czas - powiedziałem, i dodałem, nie bez złośliwej satysfakcji: - Będiesz się teraz mogła porachować z Etienne'em.

Syrena ciągle jeszcze wyła, zawodziła. Gdzieś bardzo blisko nas przejeżdżały ciężarówki. Obejrzałem się - nigdzie nie było Martina! - Don! - zawołałem. - Martin! Nikt mi jednak nie odpowiedział. Popchnęliśmy furtkę w ogrodzeniu kościelnego dziedzińca, okazało się, że nie jest zamknięta. Za furtką trwała nie rozjaśniona jeszcze przez pożar ciemność. Tędy! - szepnęła „Irenę” chwytając mnie za rękę. Poszedłem za nią. Ciemność zaczęła się nagle rozpraszać, spływała po schodkach, które nagle przed sobą zobaczyliśmy. Na najwyższym schodku ktoś siedział.



Przyjrzałem się temu komuś. Poznałem go. To był Ziernow.

- Anochin? - ucieszył się. - Proszę!

- Gdzie jesteście, Borysie Arkadiewiczu?

- Nie poznajecie? W hotelu "Bretagne", na pierwszym piętrze. Tutaj się ocknąłem, kiedy zostaliśmy wyrzuceni z więźniarki. Co się tam, nawiasem mówiąc, potem działo?

- Ktoś rzucił bombę pod koła.

- Mieliście szczęście - powiedział Ziernow - nie na darmo powątpiewałem w nieuchronność gestapowskiej szubienicy. Ale prawdę mówiąc, nie chciałbym już dłużej wyzywać losu. Od tamtej chwili siedzę tu i boję się poruszyć, tak czy owak jest to dość bezpieczna wysepka. Siadajcie zatem obok mnie i opowiadajcie, co macie do opowiedzenia. - I posunął się, żeby zrobić dla mnie miejsce.

Wszelako opowieść moja, choć pełna niewiarygodnych wydarzeń, nie zrobiła na Ziernowie zbyt wielkiego wrażenia. Wysłuchał wszystkiego w milczeniu, o nic nie pytał. Zapytałem więc ja:

- Czy widzieliście film Felliniego "Giulietta i duchy"?

Ziernowa pytanie to także nie zdziwiło, choć mogło zapowiadać jakąś zaczepkę, może nawet spór. Ziernow jednak milczał, czekał, co jeszcze powiem. Musiałem więc mówić dalej:

- Moim zdaniem oni mają takie samo spojrzenie na świat jak Fellini. Koszmar surrealizmu. Wszystko zwrócone jest do wewnątrz, działanie to jedynie projekcja czyjejś myśli, czyjejś pamięci. Gdybyście mogli zobaczyć to kasyno w Saint Dizier! Wszystko tam było rozmydlone, rozplynięte, rozcząstkowane, zdeformowane. Są tam niby wszystkie szczegóły, wszystko z osobna niby jest na swoim miejscu, ale w innych niż rzeczywiste proporcjach. Czy pamiętacie, jak do rzeczywistego świata wtargnął nagle u Felliniego nieskoordynowany świat podświadomości? Szukam w tym jakiejś logiki i nie mogę jej znaleźć.

- To nieistotne - przerwał mi Ziernow. - Po prostu nie macie wprawy w analizowaniu obserwowanych zjawisk i nie potrafiliście uogólnić tego, coście zobaczyli. Fellini nie ma tu nic do rzeczy. Co ma z tym wspólnego kino i w ogóle sztuka? Oni modelują pamięć nie z pobudek estetycznych. I zapewne sam Bóg Ojciec nie potrafiłby stworzyć doskonalszego modelu.

- Doskonalszego modelu czego? - najeżyłem się.

- Mam na myśli życie psychiczne niektórych gości hotelu "Bretagne".

- Gości? W "Bretagne" zatrzymało się w tej chwili ponad stu gości. A nas na tę kupę nawozu cisnęło tylko dwóch ludzi, gestapowiec i portier. Dlaczego właśnie tylko oni dwaj? Dwa wzorcowe przykłady podłości? Czy też może dwie przypadkowe krople pamięci człowieka? I co właściwie modelowano? Podpowiedziane przez czyjąś pamięć czyjeś życie, przy czym dano nam możliwość

zmieniania tego życia? Cóż to za model, skoro nie odtwarza on modelowanego obiektu? Matka Ireny zostaje przy życiu, Lange poległ od serii z peemu, a Etienne'a zapewne załatwią własni towarzysze. Dlaczego? W imię wyższej sprawiedliwości, która mogła dzięki nam zadziałać? Wątpię. To już nie byłby model, to już by było stworzenie świata. Dlaczego, aby nawiązać z nami kontakt, mieliby komplikować przeszłość i teraźniejszość, cudzą przeszłość w dodatku, a potem wszystko to jeszcze zmieniać? Milion "czemu?". Milion "po co?". I ani grama logiki w tym wszystkim.

Wypaliłem tę tyradę ciurkiem i zamilkłem. Różowa mgła kłębiła się nad nami, gęstniała u stóp schodków, purpurowiała. W odległości półtora metra nic już nie było widać, liczyłem schodki i zdołałem ich naliczyć zaledwie sześć, już siódmy ginął mi sprzed oczu w czerwonej mgle.

- Posiedźmy tu sobie jeszcze, dopóki nam na to pozwalają - powiedział Ziernow, zauważywszy moje spojrzenie. - A na wszystkie wasze pytania można bez trudu udzielić odpowiedzi. Wy sami możecie na nie odpowiedzieć, jeśli pomyślicie. A więc po pierwsze - co modelowano? Nie tylko pamięć. Psychikę. Myśli, pragnienia, wspomnienia, sny. Myśl zaś nie zawsze jest logiczna, skojarzenia nie zawsze są zrozumiałe, wspomnienia nie następują w kolejności chronologicznej. I proszę się nie dziwić, że to, co widzieliśmy, było chaotyczne i pokawałkowane. To nie film. Wskrzeszone przez pamięć życie nie może zresztą być inne. Spróbujcie sobie przypomnieć jakiś szczególnie dla was miły dzień z przeszłości. Ale wszystko po kolei - od rana do wieczora. To się wam nie uda. Jak byście nie wysilali pamięci, konsekwencja wydarzeń i ścisła ich chronologia to właśnie to, czego wam się z pewnością nie uda odtworzyć. O tym i o owym zapomnicie, to i owo opuścić, jedne rzeczy będziecie pamiętali wyraźnie i dokładnie, inne mgliście, coś nieokreślonego będzie się wymykało waszej pamięci i będziecie się męczyli usiłując przywołać to umykające wspomnienie. Ale w każdym razie to jest życie. Choć zmętniało i alogiczne, ale przecież rzeczywiste, nie zmyślane. Prawdziwe. Bywa zresztą i fałszywe.

- Fałszywe? - powtórzyłem nie rozumiejąc.

- Płód wyobraźni - wyjaśnił. - Życie, które stwarza tylko moc waszego kaprysu, marzeń albo po prostu przypuszczeń. Przypominacie sobie wtedy, powiedzmy, treść przeczytanej książki, widzianego w kinie filmu albo po prostu sami coś zmyślacie. Dobrze, że jak dotąd nie mieliśmy do czynienia z takim "życiem"... Jak dotąd... - powtórzył w zadumie. - Nie wykluczone, że będziemy z nim jeszcze mieli do czynienia, widzicie - mgła jeszcze się kłębi. I za każdym razem pozostawiają nam pełną swobodę działania, nie wtrącają się, nie kontrolują nas. Po to tylko, żebyśmy zrozumieli.

- Nie wiem. Dotąd nie mogę zrozumieć, dlaczego pozwolili nam zmienić model.

- Bo nie bierzecie pod uwagę takiego bodźca jak rządzą eksperymentowania. Oni badają, wypróbują, kombinują. Dają projekcje czyjejs pamięci, obraz przeszłości. Ale nie jest to zarejestrowany na taśmie film, to samo życie. Przeszłość staje się jak gdyby realna, formuje przyszłość. No, a jeśli do tej realności wprowadzi się nowy czynnik? Wówczas nieuniknienie zmieni się także i przyszłość. My jesteśmy właśnie tym nowym czynnikiem, podstawą eksperymentu. Z naszą pomocą otrzymują dwie projekcje tego samego obrazu, mogą je porównać. Sądzicie, że wszystkie nasze czynniki są dla nich zrozumiałe? Z pewnością nie. Więc powtarzają doświadczenia. Ile schodów widzicie? - zapytał nagle.

Przeliczyłem.

- Dziesięć.

- A było sześć, liczyłem. Dalsze to była czerwona magma. Mam już dość tej “bezpiecznej wysepki”. Bolą mnie plecy. Może zaryzykujemy... i pójdziemy do mojego pokoju? - I Ziernow wskazał najbliższe drzwi, które tonęły jeszcze w czerwonej mgle.

Daliśmy nura w przelewającą się czerwoną chmurę i ostrożnie zbliżyliśmy się do drzwi. Ziernow otworzył je, weszliśmy.

## POJEDYNEK

Ale pokoju nie było. Ani sufitu, ani ścian, ani posadzki. Otwierała się przed nami szeroka droga, która kończyła się stromym, kamienistym urwiskiem - dalej na zboczu były winnice. Jeszcze niżej, jak na Krymie, błękitniało morze. Wszystko dokoła miało właściwe sobie barwy - błękit prześwitującego między chmurami nieba, rude plamy gliny pomiędzy kamieniami, żółta, spalona w słońcu trawa. Nawet kurz na drodze przypominał - puder.

- Ktoś tu cwałuje - powiedział Ziernow - zaczyna się nowy spektakl.

Zza zakrętu drogi wychynęli trzej jeźdźcy. Jechali rysią, za ostatnim cwałowały jeszcze dwa osiodłane konie. Kawalkada ta przystanąła obok nas. Wszyscy trzej mieli na głowach kirysy, każdy inny, wszyscy ubrani byli w jednakowe czarne kamizele z miedzianymi guzami. Ich zrudziałe od długiego noszenia botforty oblepione były szarym błockiem.

- Kim jesteście? - zapytał łamaną francuszczyzną najstarszy jeździec. W swoim muzealnym kirysie, ze szpadą, bez pochwy, zatkniętą za pas wydawał się nam postacią wyjętą z jakiejś powieści historycznej.

“Który to wiek? myślałem. - Wojna trzydziestoletnia czy później? Żołnierze Wallensteina czy Karola XII-ego? A może rajtarzy szwajcarscy we Francji? Ale w jakiej Francji? Przed Richelieu czy później?”

- Papiści? - zapytał jeździec.

Ziernow roześmiał się. Doprawdy, w oczach ludzi z dwudziestego wieku ta maskarada była nazbyt niepoważna.

- Nie wyznajemy żadnej wiary - odpowiedział w pięknej francuszczyźnie. - Nie jesteśmy nawet chrześcijanami. Jesteśmy bezbożnikami.

- Co on mówi, kapitanie? - zapytał jeden z młodszych jeźdźców po niemiecku.

- Sam nie mogę zrozumieć - przeszedł na niemiecki i jego dowódca. - Ubrani są też dziwacznie, niczym komedianci na jarmarku.

- A może to pomyłka, kapitanie? Może to nie ci?

- A gdzie będziemy szukali tamtych? Niech Bonneville sam sobie łamie głowę. Pojedziecie z nami - dodał po francusku.

- Nie umiem jeździć konno - powiedział Ziernow.

Jeździec roześmiał się i powiedział coś po niemiecku. Zaczęli się śmiać wszyscy trzej: “Nie umie jeździć konno! Pewnie lekarz!”

- Weźcie go w środek. Wy pojedziecie po bokach, strzemię w strzemię. I uważajcie, żeby nie spadł.

A ty? - odwrócił się do mnie ten, który miał czarne wąsy.

- Ja w ogóle nie mam zamiaru jechać - powiedziałem.

- Jurij, nie kłóćcie się z nimi! - zawołał do mnie Ziernow. Siedział już na koniu trzymając się za łąk siodła. - Zgadźcie się na wszystko i starajcie się zyskać na czasie.

- Po cygańsku mówi? - groźnie zapytał właściciel czarnych wąsów.

- Po łacinie - rozeźliłem się. - Dominus vobiscum. Jedźmy!

I wskoczyłem na siodło. Nie było to dzisiejsze angielskie siodło, ale stare siodło nie znanego mi kształtu, na rogach miało miedziane blachy. Ale to mnie nie zdetonowało - nauczyłem się jeździć konno jeszcze w instytucie, uczono nas tam po trosze wszystkiego, co się składa na współczesny pięciobój. Wąsacz zaciął mojego konia i pognaliśmy, wyprzedzając Ziernowa i jego konwojentów.

Pędziliśmy w milczeniu obok siebie, wąsacz nie odstępował mnie na krok. Słyszałem stukot kopyt mojego konia, jego ciężki oddech, czułem ciepło jego karku, sprężystość strzemion - o, nie, to nie była iluzja, to nie było złudzenie optyczne, to było rzeczywiste, realne życie, cudze życie w innej przestrzeni i w innym, czasie, życie, które wessało nas, jak bagno wsysa swe ofiary. Bliskość morza, ciepła wilgoć powietrza, kamieniste serpentyny drogi, winnice na zboczach, nie znane mi drzewa o wielkich szerokich liściach, które błyszcząły w słońcu, jak gdyby pokryte były lakierem, osły, ciągnące powoli poskrzypujące dwukółki, parterowe domki z kamienia w wioskach, okienka z miki i porozwieszane i porozkładane na dachach suszące się sznury czerwonej papryki, grubo ciosane Madonny przy studniach, mężczyźni o opalonych na brąz torsach, w starych, postrzępionych spodniach do kolan, kobiety w samodziałowych koszulach i zupełnie nagie dzieci - wszystko to świadczyło o tym, że znajdujemy się gdzieś na południu Francji, a może we Włoszech.

Cwałowaliśmy tak mniej więcej przez godzinę, nie napotykając na szczęście żadnych przeszkód oprócz leżących po bokach drogi wielkich głazów, śladów usuniętych już niegdysiejszych lawin skalnych. Zatrzymał nas niewysoki, na półtora chłopca, biały mur, okalający jakiś las czy park na przestrzeni wielu kilometrów - w każdym razie nie widzieliśmy jego końca. W miejscu, gdzie mur skręcał od morza w kierunku północnym, stał człowiek w równie godnym maskarady ubraniu z przetartego i znoszonego do niemożliwości zielonego aksamitu i w rudych botfortach, które, podobnie jak botforty moich towarzyszy podróży, niejedno już zdążyły zobaczyć, w kapeluszu bez pióropusza, ale za to przyozdobionym wielką, starannie wypucowaną kłamrą z miedzi. Prawa ręka tego człowieka spoczywała na temblaku sporządzonym z jakichś szmat, może ze starej koszuli, a jedno z jego oczu przesłonięte było wąską czarną przepaską. Jego twarz wydała mi się jakby znajoma, ale zainteresowała mnie głównie nie twarz, tylko szpada, która groźnie zabłysła w lewej jego dłoni.

Jeźdźcy zeskoczyli na ziemię i ściągnęli z konia Ziernowa. Ziernow nie był w stanie utrzymać się na nogach i zwałił się twarzą ku ziemi w przydrożną trawę. Chciałem pośpieszyć mu z pomocą, ale wyprzedził mnie jednooki.

- Wstańcie - powiedział do Ziernowa. - Czy możecie wstać?

- Nie mogę - jęknął Ziernow.

- Co ja z wami pocznę? - spytał z zadumą jednooki i zwrócił się do mnie. - A was to ja już gdzieś widziałem.

I wtedy go poznałem. Był to Montjusseau, ten sam, który gawędził z włoskim reżyserem przy table d'hôte. Montjusseau, mistrz olimpijski, pierwsza szpada Francji.

- Gdzieście ich zagarnęli? - zapytał.

- Na drodze. To nie ci?

- Cóż to, oczu nie macie? I co ja teraz mam z nimi począć? - powtórzył, pełen wątpliwości, - Dla nich ja już nie jestem Bonneville.

Zapienił się na drodze czerwony obłok. Z piany wyłoniła się najpierw głowa, potem czarna jedwabna piżama. Poznałem. To był reżyser filmowy Carresi.

- Pan nazywa się Bonneville, a nie Montjusseau - powiedział Carresi, a kąciki ust i zapadnięte policzki drgały mu przy tym rozpaczliwie. - Jest pan człowiekiem z innego stulecia. Jasne?

- Mam swoją własną pamięć - zaprotestował jednooki.

- Proszę ją jednak stłumić. Proszę ją wyłączyć. Proszę, niechaj pan zapomni o wszystkim, co nie wiąże się z filmem.

- A czy oni wiążą się z filmem? - Jednooki zerknął na mnie. - Czy przewidział pan to?

- Nie, oczywiście, że tego nie przewidziałem. To sprawiła wola kogoś, kogo nie znamy. Nie jestem w stanie przeciwdziałać tej woli. Ale pan, Bonneville, mógłby to zrobić.

- W jaki sposób?

- Jako bohater Balzaca, kształtujący rozwój wydarzeń wedle swej woli. To, co mówię, daje panu tylko bodziec. To pan jest gospodarzem sytuacji, gospodarzem tematu. Bonneville jest śmiertelnym wrogiem Savarina - i w tej chwili, jeśli chodzi o pana stwierdzenie, to wyczerpuje wszystko. Ale proszę pamiętać, że nie ma pan prawej ręki,

- Jako mańkut nie zostanie nawet dopuszczony do konkursu.

- Także w naszych czasach Montjusseau był mańkutom. Mańkut Bonneville w swojej epoce również będzie walczył lewą ręką.

Obłok znów się zapienił, pochłoniął reżysera i rozwiął się. Bonneville powrócił do niecierpliwych się jeźdźców.

- Przerzuć go sobie przez ramię - wskazał leżącego obok drogi Ziernowa. - Niech Savarin sam go

kuruje.

- Stać! - zawołałem.

Ale ostrze szpady Bonneville'a dotknęło mojej piersi. Ziarnow zaś nie jęknąwszy nawet zwisał już, przerzucony przez ramię jeźdźca.

- Morderco! - powiedziałem.

- Nic mu nie będzie - powiedział Bonneville. - Trawa tam po pas. Poleży sobie, a potem wyzdrowieje. My zaś nie marnujemy czasu. Broń się - wzniosł szpadę.

- Ja mam się bronić przed panem? To śmieszne!

- Dlaczego?

- Przecież pan jest Montjuseau. Mistrz Francji.

- Myli się pan, jestem Bonneville.

- Niech pan nie próbuje mnie oszukać. Słyszałem rozmowę pana z reżyserem.

- Z kim? - nie zrozumiał.

Patrzyłem mu prosto w oczy. Nie zgrywał się przede mną, rzeczywiście nie rozumiał.

- Wydawało się panu.

Dyskusja nie miała sensu, stał przede mną pozbawiony własnej pamięci wilkołak. Myślał za niego reżyser.

- Broń się! - powtórzył surowo.

I zaraz ostrze szpady wbiło mi się w pierś. Niegłęboko, ledwie przebiło kurtkę i drasnęło mnie, ale przecież poczułem ukłucie. I co najważniejsze, ani przez moment nie wątpiłem, że szpada przesyje mnie ma wylot, jeśli tylko pchnie on mocniej. Walczyć z Montjuseau? To by było samobójstwo. Ale przecież to nie Montjuseau dobył szpady, tylko mańkut Bonneville. Czy mu sprostam? Jak długo mu sprostam?

- Bronisz się, czy nie? - powtórzył raz jeszcze.

- Nie mam szpady.

- Kapitanie, proszę o pańską szpadę! - zawołał.

Wąsacz, który stał nie opodal, rzucił mi swoją szpadę. Schwytałem jej rękojeść w locie.

- Dobrze - pochwalił mnie Bonneville. Szpada była lekka i ostra jak igła. Nie miała „point d'arret”,

do którego byłem przyzwyczajony, owej kulki, która zabezpiecza zazwyczaj ostrze broni sportowej. Ale kiść dłoni okrywała dobrze mi znana szlifowana kulista garda. Rękojeść też była wygodna, zamachnąłem się i usłyszałem znany mi z szermierczej planszy świst przecinanego powietrza.

- L'attaque de droit - powiedział Bonneville.

“Atak z prawej” - przetłumaczyłem w myśli. Bonneville uprzedzał mnie pogardliwie, co zamierza zrobić, manifestował, że nie obawia się ujawnić przede mną swych planów. I w tejże chwili natarł.

Odparowałem cios.

- Parce - powiedział. W języku szermierzy oznaczało to, że gratuluje mi pomyślnej obrony.

Oslaniając się szpadą odstałem o krok. Moja szpada była odrobinę dłuższa niż szpada Bonneville'a, co mi dawało przewagę w obronie. “Co w takich razach mawiał Kirsch? - spróbowałem sobie przypomnieć porady mojego fechtmistrza. - Nie pozwól się oszukać, on zrobi unik i twoja szpada przetnie powietrze. Nie nacieraj przedwcześnie!” Udałem, że przechodzę do obrony. Skoczył miękko jak kot i tym razem pchnął od lewej.

Ale ja i ten cios odparowałem.

- Mądrze - zauważył Bonneville. - Z wyczuciem. Ma pan szczęście, że atakuję lewą. Gdybym natarł prawą, byłby to dla pana. koniec.

Bonneville poradził sobie z długością mojej szpady, odchylił moje ostrze i błyskawicznie pchnął. Ale jego klinga przebiła tylko marynarkę ocierając się o ciało. Bonneville się skrzywił.

- Zrzućmy kamizele - i odstał o krok. Ja nie ruszyłem się z miejsca. Bez marynarki, w samej koszuli czułem się swobodniej. A także, niestety, mniej bezpiecznie. Na zawodach sportowych wkładaliśmy zawsze specjalne kurtki, w które wszyta była cienka metalowa siatka. Ukłucie szpadą, zetknięcie metalu z motałem rejestrowała specjalna aparatura elektryczna. A teraz ukłucie to było prawdziwe ukłucie. Ostrze wdzierało się w żywą tkankę, szarpało naczynia krwionośne, mogło ciężko zranić, mogło zabić. Ale - jeśli pominąć szermiercze umiejętności i doświadczenie - obaj byliśmy w tej samej sytuacji. Nasze klingi były jednakowo niebezpieczne, nasze koszule dawały jednakowo wątplą osłonę.

Znowu skrzyżowały się szpady. Co za szczęście, że walczył lewą ręką - mogłem nadążyć za każdym jego ruchem. Bonneville jak gdyby czytał w moich myślach.

- Lewą mogę najwyżej czyścić buty - powiedział. - Chce pan zobaczyć, jak walczę prawą?

Zsunął rękę z temblaka i błyskawicznie przerzucił szpadę do prawej. Szpada błysnęła, odbiła moje ostrze i ugodziła mnie w pierś.

- Tak to się robi - zaczął się chełpić, ale nie zdążył... Ktoś niewidzialny upomniał go. Głos był znajomy:



- Lewą, Bonneville, lewą! Schowaj prawą! Bonneville posłusznie przerzucił szpadę z powrotem do lewej ręki. Krwawa plama na mojej piersi rozrastała się.

- Opatrzcie go - powiedział Bonneville.

Ściągnięto ze mnie koszulę i przewiązano nią ramię. Rana nie była głęboka, ale bardzo krwawiła. Zgiąłem i rozgiąłem prawą rękę - nie bolała mnie.

- Gdzie pan się uczył? - zapytał Bonneville. - We Włoszech?

- Czemu?

- Na włoski sposób przechodzi pan do obrony. Ale nic to panu nie pomoże.

Roześmiałem się i o mało co nie przegapiłem ciosu - zadał go z prawej. Zdołałem jednak przykucnąć i jego szpada prześlizgnęła się tylko po moim ramieniu. Odbiłem ją ku górze i teraz ja z kolei zrobiłem wypad.

- Brawo - powiedział Bonneville.

Jego szpada znów zatańczyła nie opodal mej piersi. Parowałem ciosy i cofałem się, czując, jak mi cierpną wpijające się w rękojeść szpady palce. „Byleby się tylko nie potknąć, byleby tylko nie upaść” - myślałem.

- Pośpieszcie się, Bonneville - usłyszałem znów głos kogoś niewidzialnego. - Nie będziemy powtarzali tego ujęcia.

- Nic z tego - odpowiedział Bonneville cofając się i pozwalając mi na tak upragniony odpoczynek. - Lewą sobie z nim nie poradzę.

- W takim razie on poradzi sobie z tobą. Przerobię scenariusz. Ale pan jest supermanem, Bonneville. Tak sobie pana wymyśliłem. Naprzód!

Bonneville znów dał krok w moim kierunku.

- Co, już po rozmowie - uśmiechnąłem się.

- Po jakiej rozmowie?

Znów miałem przed sobą robota, który nie pamiętał niczego poza swoim nadrzędnym zadaniem. Nagle uczułem, że opieram się plecami o ścianę. Nie miałem się już dokąd cofnąć. „To koniec!” - pomyślałem, zrozpaczony.

Jego szpada napotkała nagle moją, cofnęła się i wbiła mi się w gardło. Nie poczułem bólu, coś tylko zabulgotało mi w gardle. Ugięły się pode mną kolana, podparłem się szpadą, ale szpada wymusnęła mi się z dłoni. I jeszcze tylko usłyszałem głos dobiegający jak gdyby z zaświatów:

- Gotów.

CZEŚĆ CZWARTA

Kontakt nawiązany

## PRZEBUDZENIE

Wszystko, co było potem, widziałem jako pourywany, bezładny ciąg rozplywających się białych obrazów. W tej białości błyskały nagle jakieś niklowane cylindryczne płaszczyzny, wiły się niczym węże jakieś długie rurki i pochylały się nade mną czyjeś twarze.

- Odzyskał przytomność - usłyszałem.

- Widzę. Narkoza.

- Gotowe, panie profesorze.

Wszystko to mówione było po francusku, bardzo szybko, to i owo rozumiałem, reszta ginęła w chaosie niezrozumiałych zaszyfrowanych terminów. Potem wszystko - i światło, i myśli - zagasło, potem znowu ożyło w białości. Znowu pochylały się nade mną nieznajome twarze, połyskiwały jakieś wypolerowane przedmioty - nożyczki, łyżka, zegarek na czyimś przegubie, strzykawka. Niekiedy zamiast tego niklu widziałem przezroczystą żółtość gumowych rękawiczek albo sterylne różowe dłonie o krótko obciętych paznokciach. Ale żaden z tych obrazów nie trwał długo, ginęły jeden po drugim w ciemności, w której nie istniał ani czas, ani przestrzeń, w ciemności, w której była tylko czarna próżnia snu.

Później obrazy zaczęły być coraz wyrazistsze, jak gdyby ktoś niewidzialny regulował nastawienie obiektywu na ostrość. Szczupła i surowa twarz profesora w białej czapeczce ustępowała miejsca jeszcze surowszej twarzy siostry operacyjnej pod białym, jak gdyby zakonnym czepeczkiem, karmiono mnie bulionem i sokami, zmieniano mi opatrunki i nie pozwalano mówić.

Kiedyś zdołałem jednak zapytać:

- Gdzie ja jestem?

Mocne palce siostry natychmiast legły na moich ustach.

- Proszę nie mówić. Jest pan w klinice profesora Pelletier. Proszę oszczędzać gardło.

Kiedyś pochyliła się nade mną znajoma twarz w przydymionych szklach.

- To ty?! - zawołałem i nie poznałem własnego głosu - ni to ochrypy jęk, ni to jakiś ptasi klekot.

- Cśśś... - Ona także zakryła mi usta, ale jak ostrożne, jak nieważkie było to jej dotknięcie! - Wszystko w porządku, kochanie. Niedługo przyjdę znowu. Spij.

Zasypiałem więc i budziłem się znowu, czułem w gardle coraz mniejszy ucisk, czułem smak bulionu, ukłucie zastrzyku i znowu zapadałem się w czarną pustkę, aż wreszcie obudziłem się na dobre. Mogłem mówić, krzyczeć, śpiewać - wiedziałem o tym. Nie miałem już nawet opatrunku na szyi.

- Jak się mam do pani zwracać? - zapytałem mego codziennego gościa w białym krochmalonym czepku.

- Siostrzo Tereso.

- Pani jest zakonnica?

- W tej klinice pracują tylko siostry zakonne.

- Ach więc profesor jest katolikiem?

- Profesor będzie się smażył w piekle - odpowiedziała mi bez cienia uśmiechu - wie jednak, że nie znajdzie staranniejszych i doświadczeńszych pielęgniarek niż my. Ślubowałyśmy, że będziemy niosły ulgę cierpiącym.

“Ja także będę się smażył w piekle” - pomyślałem i zmieniłem temat.

- Czy od dawna jestem w klinice?

- Już drugi tydzień po operacji.

- Czy to bezbożnik mnie kroił? - uśmiechnąłem się.

Westchnęła.

- Wszystko jest w ręku Boga.

- Czy różowe obłoki także?

- Encyklika Jego Świątobliwości powiada, że są one tworem, naszych braci w kosmosie, których stworzono na obraz i podobieństwo boże.

Pomyślałem sobie, że Jego Świątobliwość wybrał mniejsze zło opowiadając się za hipotezą antropocentryczną. Dla świata chrześcijańskiego było to zresztą jedyne możliwe wyjście. Ale dla nauki? Za jaką hipotezą opowiedział się ostatecznie kongres? I czemu ja nic o tym dotąd nie wiem?

- Czy to szpital, czy więzienie? - wpadłem w furję. - I dlaczego dobijają mnie tym ciągłym snem?

- Nie dobijają, tylko leczą. To leczenie snem.

- A gdzie są gazety? Dlaczego nie dostaję gazet?

- Całkowita izolacja od świata zewnętrznego to także część terapii. Otrzyma pan wszystko po zakończeniu kuracji.

- A czemu nikt mnie nie odwiedza? Czyżby wszyscy o mnie zapomnieli?

- Dziś jest dzień odwiedzin... Odwiedzających zaczną wpuszczać... - spojrzała na zegarek na przegubie. Blask tego zegarka widziałem tyle razy, kiedy się budziłem - ...za dziesięć minut.

Pokorny jak jagnię odczekałem owe dziesięć minut. Pozwolono mi nawet usiąść na łóżku i

rozmawiać bez patrzenia na sekundnik - struny głosowe były już zupełnie zagojone. Irena wszakże zapowiedziała:

- Ja będę mówiła, a ty tylko zadawaj pytania.

Ale ja nie miałem ochoty na zadawanie pytań. Chciałem tylko powtarzać w nieskończoność w tej samej intonacji te siedem liter: k-o-c-h-a-n-a, k-o-c-h-a-n-a, k-o-c-h-a-n-a... Trzeba przyznać, że ciekawie to nam wyszło - żadnych oświadczeń, westchnień, aluzji i niedomówień... Całe te działania przygotowawcze zastąpiła moja choroba poczynając od chwili, kiedy znaleziono mnie ociekającego krwią w pokoju Ziernowa. Irena powiedziała, że Ziernow przyszedł w porę - oddychałem jeszcze.

- Skąd przyszedł? - zapytałem.

- Z dołu. Z hallu. Leżałeś prawie nieprzytomny. Coś niesłychanego! Zupełnie jak powrót z krucjaty.

- To musiało być trochę później. To był chyba szesnasty wiek. Szpady bez pochew, a klinga - jak trzcinka. Spróbuj taką odparować - błyskawica!

- A tyś odparowywał? Też mi muszkietier! To przecież trzeba umieć.

- Kiedyś fechtowałem trochę w instytucie. I - jak znalazł.

- Ale skończyło się to na stole operacyjnym.

- Wpadłem w pułapkę. Miałem zresztą przeciwnika, że daj Boże! As! Pamiętasz tego chłopaka z przepaską na oku, tego, który siedział przy ogólnym stole.

Irena wcale się nie zdziwiła.

- On i teraz mieszka w hotelu. Nadal chodzi wszędzie z Carresim. Ci dwaj to jedyni oprócz nas goście, którzy nie uciekli z hotelu po tamtej nocy. Ależ wybuchła panika! Portier nawet się powiesił.

- Który? - krzyknąłem.

- Ten łysy.

- Etienne? Dlaczego to zrobił?

- Nikt nie wie. Nie zostawił nawet paru słów. Ale moim zdaniem Ziernow coś podejrzewa.

- Psu pieska śmierć. A co z Langem?

- Wyjechał. Chyba na zawsze. Z nim też wynikła piękna historia - roześmiała się. - Martin nie wiadomo za co tak go zmasakrował, że trudno go było poznać. Myśleliśmy, że będzie skandal dyplomatyczny, a tymczasem skończyło się na niczym. Lange powiedział, że nie zgłasza żadnych pretensji. Reporterzy domagali się wyjaśnień od Martina. Martin postawił im whisky i powiedział, że Lange chciał mu odbić pewną rosyjską dziewczynę. Niby mnie. W ogóle - śmiechu warte, ale w

gruncie rzeczy za tym też kryje się jakaś tajemnica. Teraz Martin wyjechał razem z Thompsonem. Dokąd? Dowiesz się. Zbierałam dla ciebie wszystkie wycinki prasowe. Jest tam także list Martina do ciebie, ale Martin ani słowem nie wspomina o całej tej awanturze. Możesz mi jednak wierzyć, że Ziernow coś wie. Nawiasem mówiąc jutro wystąpi wreszcie na posiedzeniu plenarnym. Dziennikarze nie mogą się doczekać jego wystąpienia niczym rekiny pływające za rufą statku, a on tymczasem ciągle je odkłada. Nawiasem mówiąc - przez ciebie. Chce się przedtem z tobą zobaczyć. Teraz. Dziwi cię to? Powiedziałam przecież, że teraz.

Ziernow pojawił się z błyskawiczną szybkością. Nie był sam. Towarzyszyli mu Carresi i Montjuseau. Nic nie mogłoby zrobić na mnie większego wrażenia. Rozdziawiłem usta i nawet nie odpowiedziałem na ich powitania.

- Poznał - powiedział po angielsku do swoich towarzyszy Ziernow. - A panowie wątpiliście, czy pozna.

Wtedy wpadłem w furję. Na szczęście łatwiej jest się wściekać operując angielszczyzną niż jakimkolwiek innym językiem świata oprócz rosyjskiego.

- Nie zwariowałem ani nic cierpię na utratę pamięci. Trudno człowiekowi zapomnieć szpadę, która mu przebiła gardło.

- A pamięta pan tę szpadę? - zapytał Carresi, nie wiedząc czemu bardzo uradowany.

- Pewnie!

- Ta szpada wisi u mnie na ścianie od sześćdziesiątego roku. To nagroda za Tuluzę - zauważył flegmatycznie Montjuseau.

- Pamiętam, pamiętam. Pamiętam i klingę, i gardę - znowu wtrącił się Carresi. Ale Montjuseau go nie słuchał.

- Jak długo pan się trzymał? - zapytał, po raz pierwszy spoglądając na mnie z zainteresowaniem. - Minutę? Dwie?

- Dłużej - powiedziałem. - Pan przecież walczył lewą ręką.

- Wszystko jedno. Lewą mam znacznie słabszą, to prawda, bez potrzebnej lekkości. Ale na treningach... - Nie wiadomo dlaczego nie skończył tego zdania i zmienił temat. - Znam waszych mistrzów. Spotykałem się z nimi na planszy. Pana jednak nie pamiętam. Czyżby nie włączono pana do reprezentacji?

- Rzuciłem szermierkę - powiedziałem. Nie chciałem się „zdemaskować”. - Już dawno rzuciłem szpadę.

- Szko-oda - przeciągnął Montjuseau i spojrzał na Carresiego.

Nie bardzo rozumiałem, czego mu było szkoda. Czy ubolewał nad tym, że przestałem się

interesować szermierką wyczynową, czy też nad tym, że pojedynek ze mną zajął mu więcej niż dwie cenne minuty. Carresi zauważył tę moją niepewność i roześmiał się.

- Gaston się z panem nie pojedynkował.

- Jak to: nie pojedynkował się? - nie rozumiałem. - A to?

Zmacałem delikatnie ukośny szew na szyi.

- To moja wina - powiedział niepokieszony Carresi. - To ja wymyśliłem to wszystko leżąc na kanapce w swoim pokoju. Gaston, którego zsyntetyzowali i któremu dali do ręki taką zsyntetyzowaną szpadę, jest wytworem mojej wyobraźni. Nie zamierzam próbować zrozumieć, jak to się stało. Ale prawdziwy, realny Gaston nawet pana nie dotknął. Proszę nie mieć do nas żalu.

- Jeśli mam być szczery, to nawet nie pamiętam pana z tamtej kolacji - dodał Montjusseau.

- Zafałszowane życie - przypomniał mi Ziernow naszą rozmowę ze schodków. - Wyraziłem już przypuszczenie, że możliwe jest modelowanie przewidywań albo sytuacji tylko wyobrażanych sobie - wyjaśnił Carresiemu.

- Co do mnie, nic nie przypuszczałem - niecierpliwie zaprotestował Carresi - i starałem się trzymać jak najdalej od tej światowej sensacji. Na początku nie wierzyłem w to, podobnie jak w latające talerze, potem jednak obejrzałem pana film i jęknąłem: jeszcze tego brakowało! Przez cały tydzień mogłem mówić tylko o tym, potem się przyzwyczałem, jak się człowiek przyzwyczaja do czegoś niezwykłego, ale nieustannie się powtarzającego, zwłaszcza jeśli to "coś" nie dotyczy go bezpośrednio. Zajęcia zawodowe absorbowwały zarówno mój umysł, jak moje uczucia, nawet owego wieczoru w przeddzień otwarcia kongresu nie myślałem o niczym innym poza moim nowym filmem. Chciałem wskrzesić film historyczny, nie hollywoodzką bzdurę i nie eksponat muzealny, ale coś, co byłoby przewartościowywającym spojrzeniem na historię oczyma współczesnego człowieka. Wybrałem już stulecie i bohaterów i, jak to się u was mówi, tło społeczno-historyczne. A tego wieczoru przy table d'hote znalazłem i namówiłem do wzięcia udziału w filmie głównego "gwiazdora". Nie podobała mu się jedna scena - pojedynek lewą ręką. Ja jednak, proszę mi wierzyć, wiem lepiej. Pamiętam go z planszy. Trzymając szpadę w prawym ręku jest nazbyt profesjonalny, nie potrafi wejść w rolę. Za to, kiedy ma szpadę w lewej - jest boski! Niepohamowana siła, błędy, zagniewanie na samego siebie - fenomenalnie autentyczny! Przekonałem go. Rozstaliśmy się. Położyłem się w swoim pokoju, myślę. Rozprasza mnie ten czerwony kolor. Pal go lichu, zamknąłem oczy. I wyobraziłem sobie to wszystko - nadmorską drogę, kamienie, winnice, biały mur hrabiowskiego parku. I nagle - jakaś bzdura. Najemnicy Gastona - w scenariuszu Gaston nazywa się Bonneville - zatrzymują na drodze jakichś włóczęgów nie włóczęgów, turystów nie turystów, w każdym razie jakichś obcych. Z innego stulecia, z innej fabuły. Chcę ich usunąć z mojego pomysłu i nie mogę tego zrobić, tkwią w nim jak przyklejeni. No, dobrze, mówię, niech sobie będą. Jeszcze jedna perypetia, to nawet oryginalne - powiedzmy: wędrowni uliczni aktorzy. Gaston tymczasem widocznie także rozmyślał o filmie, nie o scenariuszu, oczywiście, tylko o sobie, ciągle o tym samym dylemacie - lewą czy prawą? Zaczynam dyskutować z nim w myślach, gorączkuję się, przekonuję go, żądam tej lewicy. Wreszcie ucinam kategorycznie: - Dość tego!



- Widziałem! - przypomniałem sobie. - Kłęb malinowej piany przy drodze i pan wyskakujący z tej piany niczym diabeł z tabakierki.

Carresi zamknął - oczy, usiłował sobie to wszystko wyobrazić, aż nagle ucieszył się:

- To jest myśl! Genialny chwyt! Nakręcimy wszystko, tak jak było. A więc, monsieur George, czy zechce pan być partnerem Gastona?

- Dziękuję! - wychrypiałem. - Nie mam ochoty umierać po raz drugi.

## JEDZIEMY NA GRENLANDIĘ

Po wyjściu reżysera i olimpijczyka zapanowało niezręczne milczenie. Rozdrażniony tą niepotrzebną wizytą z trudem się hamowałem.

- Wściekasz się? - zapytał Ziernow.

- Pewnie, że się wściekam - odpowiedziałem. - Myślisz, że to takie przyjemne wymieniać uprzejmości ze swoim mordercą?

I tak bez słowa przeszliśmy na „ty”.

- Montjusseau nic tu nie zawinił, nawet pośrednio - ciągnął Ziernow - właśnie się co do tego upewniłem.

- Presumpcja braku winy - ironizowałem.

Ale Ziernow nie podjął rękawicy.

- Przepraszam, nie gniewaj się, ale ja naumyślnie przyprowadziłem ich do ciebie. Chciałem dokonać konfrontacji tego modelowanego życia z jego źródłami. Zanim wygłoszę mój wykład, musiałem dokładnie sprawdzić, co było modelowane, czyja psychika. A także - co jest jeszcze ważniejsze - czy modelowano czyjąś pamięć, czy też czyjeś myśli. Teraz już to wiem. Oni zajrzeli i do tego, i do tego. Montjusseau był po prostu śpiący i myślał od niechcienia o propozycjach Carresiego. Carresi zaś pracował, przemyślał. Budował konflikty, sytuacje dramatyczne, słowem - iluzję życia. Oni modelowali właśnie tę iluzję.

Mimo woli pomacałem gardło.

- A to? Czy to też iluzja?

- To przypadek. „Obłoki” przeprowadzając swoje eksperymenty zapewne nie orientowały się nawet, jakie to niebezpieczne.

- Nie rozumiem - przerwała mu zamyślona Irena - to nie jest życie, to coś innego. Z punktu widzenia biologii to nie może być życie, nawet jeśli to dubluje życie. Nie można stworzyć życia z niczego.

- Dlaczego z niczego? Z pewnością używają do tego jakiegoś budulca, czegoś takiego jak plazma.

- Czerwonej mgły?

- Być może. Nikt tego jak dotąd nie wyjaśnił, nie wystąpiono nawet z żadną hipotezą. - Ziernow westchnął. - Nie liczcie na to, że ja jutro wysunę jakąś hipotezę. Ja tylko wyrażę pewien domysł - co jest modelowane i dlaczego właśnie to. Ale jak to się robi - darujcie...

Roześmiałem się.

- Ktoś to wyjaśni.

- Gdzie?

- Jak to gdzie? Na kongresie.

- To się nie uda. Epizod paryski dobiega końca. Możesz pakować walizki.

Powiedział to bardzo stanowczo.

- Nowa delegacja? Dokąd?

Ziernow milczał, uśmiechał się.

- A jeśli się nie zgodzę? - powiedziałem.

- Zgodzisz się, zgodzisz. Będziesz skakał z radości.

- Nie męcz mnie, Borys. Dokąd?

- Na Grenlandię.

Na mojej twarzy odmalowało się tak szczere rozczarowanie, że Irena parsknęła śmiechem.

- On jakoś nie skacze, Irka.

Położyłem się demonstracyjnie.

- Nic mnie do skakania nie dopinguje.

- Będzie i doping - powiedział Ziernow i mrugnął na Irenę.

Irena, naśladując spikera, który czyta w radio ostatnie wiadomości zaczęła:

“Kopenhaga. Jak donosi nasz specjalny korespondent samoloty zwiadowcze amerykańskiej stacji polarnej w Sondre Stromfjord (Grenlandia) zameldowały o interesującym fenomenie przyrodniczym - lub też może wywołanym sztucznie - zaobserwowanym na zachód od siedemdziesiątego drugiego równoleżnika w rejonie działania ekspedycji Thompsona...”

Uniosłem się na poduszce.

- „...na rozległym płaskowzgórzu lodowym zaobserwowano błękitne protuberancje długości jednego kilometra. Coś w rodzaju zorzy polarnej na mniejszą skalę. Protuberancje mają kształt gigantycznej elipsy, zamkniętej figury geometrycznej z błękitnego ognia. Języki płomienia zbiegają się mniej więcej na wysokości jednego kilometra tworząc ogromny ośmiościan”. Czy tak, Borysie Arkadiewiczu?

Usiadłem na łóżku.

- No cóż, gotów jesteś skakać, Anochin?

- Chyba tak.

- A zatem słuchaj. Komunikaty o tej „zorzy” obiegły już prasę całego świata. Ośmiościan jaśnieje na setki kilometrów, ale nie można się do niego zbliżyć ani piechotą, ani na traktorach, wszystkich odrzuca niewidzialna siła, którą już znamy. Samoloty także nie mogą się tam zniżyć - coś je odpycha. Podejrzewa się, że jest to potężne pole siłowe stworzone przez przybyszów. No jak, skaczesz?

- Skaczę, Borysie Arkadiewiczu. A więc oni są już w Grenlandii?

- Już od dawna. Ale teraz w głębi płaskowyżu zaczyna się dziać coś nowego. Płonie tam ogień, ale rozstawione w pobliżu przyrządy pomiarowe nie rejestrują nawet najmniejszego podniesienia się temperatury. Nic zwiększyło się ciśnienie atmosferyczne, nie zwiększyła się jonizacja, nie ma zakłóceń w łączności radiowej nawet o kilka metrów od protuberancji, a liczniki Geigera ani drgną. Jakiś straszny kamuflaż, coś jakby dziecinny kalejdoskop. Połyskują szkiełka i to wszystko. Obejrzyj zdjęcia tego, to rozłożysz ręce. Słoneczny dzień, bezchmurne niebo odbija się w gigantycznych krystalicznych powierzchniach. „Jeźdźcy” zaś przenikają przez nie jak ptaki przez chmurę. Ptaki za to odskakują od tego jak piłki tenisowe. Próbowano puszczać tam gołębie pocztowe - zawracanie głowy.

Pozazdrościłem kolegom, którzy sfilmowali taką feerię.

- Może to feeria, a może farsa - powiedział Ziernow - a może coś jeszcze gorszego. Sfilmujesz to i ty, jeśli zostaniesz przy życiu. Wiesz, jak to teraz nazywają? „Operacja Ti” - od pierwszej litery nazwiska naszego przyjaciela Thompsona wymawianej z angielska. Thompson zaś powiada, że to on na własną rękę usiłuje nawiązać kontakt. Wszystko już, powiada, wypróbowano - sygnały świetlne i fale radiowe, kody matematyczne i wypisywane na niebie przez odrzutowiec testy figuratywne. Wszystko to na darmo. „Jeźdźcy” nie reagują. Thompson uważa, że odniesie sukces. Nie wiadomo przy użyciu jakich środków chce go osiągnąć - nie wypowiada się na ten temat. Ale skład osobowy ekspedycji jest już w zasadzie skompletowany i przetransportowany do Upemavik, tam skąd startowała w roku 1913 ekspedycja grenlandzka Kocha i Wegenera. Mają do dyspozycji pasażersko-transportowego „Douglasa”, helikopter wypożyczony z bazy amerykańskiej w Thule, dwie arnfibie śnieżne i aerosanie. Jak widzisz, ekspedycja jest nieźle wyposażona.

Ciągle jednak jeszcze nie rozumiałem, na jaki kontakt liczył Thompson. Kontakt przy pomocy helikoptera i aerosań? Ziernow uśmiechnął się tajemniczo.

- Dziennikarze także tego nie rozumieją. Ale Thompson to niegłupi człowiek. Nie potwierdził ani jednego z przypisywanych mu oświadczeń. Nie wypowiedziała się też żadna z firm, które dostarczyły mu wyposażenia i potrzebnych ekspedycji artykułów. Pytają go, czy to prawda, że ekspedycja zabiera ze sobą butle gazu o jakimś nieznanym składzie? Do czego mają służyć urządzenia, które załadowano niedawno na pewien parowiec w Kopenhadze? Czy zamierza wysadzić w powietrze, przewiercić albo też przebić pole siłowe przybyszów? Odpowiadając na te pytania Thompson wyjaśnia rzeczowo, że zabierany przez jego wyprawę bagaż był kontrolowany przez celników i nie zawiera niczego, czego nie wolno byłoby wwozić na terytorium Grenlandii. Nic mu nie wiadomo o żadnych

specjalnych urządzeniach, które jakoby miały być załadowane na statek w porcie kopenhaskim. Celem wyprawy są badania naukowe i zbyt wcześnie jest na przesądzenie wyników działalności ekspedycji.

- Skąd bierze na to pieniądze?

- Któż to wie? Nie chodzi tu, o jakieś wielkie sumy, nikt nie stawia na niego zbyt poważnie, nawet "wściekli". Thompson nie walczy przecież z komunistami ani z Murzynami. Ale ktoś to oczywiście finansuje. Podobno jakiś koncern prasowy. Podobnie jak niegdyś wyprawę Stanieva w głąb Afryki. Sensacja to chodliwy towar, można zaryzykować.

Byłem ciekaw, czy ta wyprawa ma coś wspólnego z zaleceniami kongresu.

- Thompson zerwał z kongresem - wyjaśnił Ziernow. - Jeszcze przed otwarciem obrad opublikował w prasie oświadczenie, że nie będzie się uważał za związanego przyszłymi postanowieniami kongresu. A propos, przecież nie wiesz jeszcze, jak się sprawy miały na kongresie.

Rzeczywiście, nie wiedziałem jeszcze, jak się miały sprawy na kongresie. Nie wiedziałem nawet, że obrady kongresu rozpoczęły się w tej właśnie chwili, kiedy zabierano mnie ze stołu operacyjnego na salę.

Po podjęciu przez Radę Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych uchwały, że nie będzie ona rozpatrywała fenomenu różowych obłoków, póki Kongres Paryski nie zakończy swoich obrad - Rada słusznie uznała, że w sprawie tej powinni się przede wszystkim wypowiedzieć uczeni świata - atmosfera, w której obradował kongres, stała się jeszcze gorętsza niż dotąd.

Otwarcie obrad kongresu przypominało inaugurację mistrzostw świata w piłce nożnej. Były fanfary, flagi państw, odczytywano pozdrowienia, które napłynęły od organizacji naukowych z całego świata. Co prawda co mądrzejsi na sali raczej milczeli, ale mniej ostrożni składali już deklaracje, że ludzkość jest w przededniu wyjaśnienia tajemnicy różowych obłoków. Nikt niczego oczywiście na kongresie nie wyjaśnił. Może jedynie referat inauguracyjny akademika Osowca, który wystąpił z obszernie uzasadnioną tezą o pokojowym charakterze wizyty naszych gości z kosmosu, już od pierwszej chwili skierował prace uczonych w wyraźnie określonym kierunku. Ale sprawa różowych obłoków miała przecież znacznie więcej aspektów. O nich to właśnie mówił mi ze źle ukrywanym rozczarowaniem Ziernow. Ścierały się argumenty, obalano hipotezy. Niektórzy spośród uczestników kongresu byli zdania, że obłoki są jeszcze jedną odmianą latających talerzy i w gruncie rzeczy niczym więcej.

- Gdybyś wiedział, Jura, ilu jest jeszcze wśród uczonych "twardogłowych", którzy dawno już powinni utracić prawo do nazwy uczonego! - mówił Ziernow. - Oczywiście były również rozsądne wystąpienia, oryginalne hipotezy, śmiałe propozycje. Ale Thompson już po pierwszych posiedzeniach uciekł. "Stado zdzięczniałych starców nie wymyśli niczego dorzecznego" - powiedział oblegającym go reporterom na odjeździe.

Spośród wszystkich uczestników kongresu do wzięcia udziału w ekspedycji zaprosił tylko Ziernowa wraz z całą załogą naszej "Charkowianki", a także Irenę. "Razem zaczynaliśmy, razem będziemy to

kontynuować” - powiedział do Ziernowa.

- Ja nie zaczynałam - wtrąciła się Irena.

- Ale włączyliście się w to potem.

- Gdzie?

- Tamtej nocy, w hotelu “Bretagne”. Proszę zapytać Anochina, on coś niecoś może o tym opowiedzieć.

Odpowiedziałem Ziernowowi spojrzeniem, które przypominało cios szpady Bonneville’a. Irena, zupełnie zdezorientowana, patrzyła to na mnie, to na Ziernowa.

- Czy to prawda, Jura?

- Prawda - westchnąłem i zamilkłem.

- Czy stało się wtedy coś złego?

Niezręcznie było milczeć dłużej. Ucieszyłem się więc, słysząc dobrze znane skrzypnięcie drzwi.

- Teraz się zacznie najmniej przyjemne - powiedziałem, wskazując ruchem głowy otwarte drzwi, w których stał już mój biały anioł ze strzykawką w ręku. - Zabieg, którego nie powinni oglądać nawet najbliżsi przyjaciele.

I zbawcza terapia profesora Pelletiera znów pogrążyła mnie w bezdennej otchłani.

# KONGRES

Wygramoliłem się z tej otchłani snu dopiero rano, wszystko sobie od razu przypomniałem i na myśl, że mam jeszcze jeden dzień spędzić w tym szpitalnym więzieniu ogarnął mnie gniew. Nie poprawił mi humoru widok białego anioła, który przywiózł na ruchomym stoliku śniadanie.

Anioł podał mi oprawną w czerwony safian teczkę.

- Co to jest?

- Wycinki z gazet, które przyniosła dla pana mademoiselle Irena. Profesor pozwolił.

Dla człowieka umierającego z głodu informacji to już było coś. Otworzyłem tę teczkę. Był to głos świata, który docierał do mnie poprzez nikiel i szkło kliniki, poprzez białą cegłę jej murów, poprzez mrok głębokiego snu i błogość rekonwalescencji. Był to głos kongresu, głos akademika Osowca, który swym referatem od razu przesądził jedynie rozumne i konsekwentne stanowisko ludzkości wobec gości z kosmosu.

“Przybysze, by tak rzec, mimochodem obdarzyli ludzkość odkrytymi przez siebie bogactwami - mówił Osowiec. - W paśmie Gór Płomiennych znaleźli niezmiernie bogate złoża rud miedzi, a w Jakutii nowe kominy diamentowe. Na Antarktydzie wykryli naftę, własnymi środkami przeprowadzili wiercenia i wzniesli szyby oryginalnej, nie znanej nam dotąd konstrukcji. Mogę zawiadomić panów - reasumował wśród oklasków uczony - że w Moskwie podpisano właśnie porozumienie zawarte pomiędzy zainteresowanymi mocarstwami. Porozumienie to przewiduje powołanie przemysłowo-handlowego towarzystwa akcyjnego pod nazwą TOWENA, to jest Towarzystwo Wspólnej Eksploatacji Nafty Antarktycznej”.

Osowiec podsumował również wydarzenia związane z modelowaniem przez przybyszów interesujących ich przejawów życia na Ziemi.

Oprócz Sand City “jeźdźcy” wymodelowali także pewne uzdrowisko w Alpach Włoskich, plażę Lazurowego Wybrzeża o jedenastej rano, kiedy przypominają one leża fok, plac Świętego Marka w Wenecji, a także fragment londyńskiego metro. Środki komunikacji pasażerskiej w ogóle wydawały się ich interesować, zwrócili na nie uwagę w wielu krajach. Pikowali na pociągi, transatlantyki, samoloty pasażerskie, zachowane jeszcze tu i ówdzie tramwaje, helikoptery policyjne, nawet na balony, które wzniosły się na jakichś zawodach balonowych pod Brukselą.

We Francji zjawili się na zawodach lekkoatletycznych na paryskim welodromie i obserwowali tam zwłaszcza biegi, w San Francisco - na meczu bokserskim, w Lizbonie - na meczu piłkarskim o Puchar Europy. Piłkarze skarżyli się potem reporterom, że otulająca ich czerwona mgła tak się chwilami zagęszczała, że nie widzieli bramki przeciwnika. W podobnej mgłę rozgrywano wiele partii szachowego turnieju międzystrefowego w Zurychu, w podobnej mgłę obradował przez dwie godziny rząd Republiki Południowej Afryki, w podobnej mgłę przebywały przez czterdzieści minut zwierzęta w londyńskim Zoo.

Osowiec długo jeszcze wymieniał szczegółowo wszystkie fabryki i zakłady przemysłowe, które

przybysze modelowali w całości lub w części - tu cały wydział, ówdzie tylko jeden ciąg produkcyjny, jeszcze gdzie indziej po prostu tylko kilka maszyn i obrabiarek charakterystycznych dla danego rodzaju produkcji i wybranych spośród innych z nieomylną dokładnością. Dziennikarze paryscy komentując ów wybór doszli do ciekawych wniosków. Niektórzy z nich uważali, że obłoki interesują się przede wszystkim obiektami technicznie zacofanymi, tym, co się w technice w zasadzie nie zmieniało od bez mała stu lat, tym co było dla nich najmniej zrozumiałe, jak na przykład jubilerskie sposoby obróbki kamieni szlachetnych albo zastosowanie naszych naczyń kuchennych. Tak więc modelowano szlifiernię drogich kamieni w Amsterdamie, fabrykę zabawek w Norymberdze.

Inni komentatorzy omawiając ową listę z referatu Osowca wskazywali na szczególniejszą uwagę, jaką goście obdarzali usługi dla ludności. "Proszę zwrócić uwagę - pisał korespondent »Parismidi« - na ilość modelowanych zakładów fryzjerskich, restauracji, salonów mody i studiów telewizyjnych"! Z jaką starannością kopiowane są najwyraźniej wyselekcjonowane sklepy i sklepiki, zakątki targowisk i jarmarków, a nawet wystawy sklepowe!... I jakże różne sposoby modelowania tu się stosuje! Niekiedy „obłok” pikuje na „obiekt”, po czym natychmiast znika, nie zdążywszy nawet wywołać zwykłej w takich razach paniki.

"Nikt przy tym nie ucierpiał, nikt nie poniósł żadnych materialnych strat - reasumował Osowiec. - Oprócz stołka, który został unicestwiony wraz z sobowtórem profesora Ziernowa na zebraniu polarników w Mirnym, oraz oprócz wozu lotnika Martina, niebacznie pozostawionego przez niego w modelowanym akurat mieście, nikt nie jest w stanie wymienić żadnego przedmiotu zniszczonego lub też uszkodzonego przez naszych gości z kosmosu".

Stanowisko zajęte przez członka radzieckiej Akademii Nauk poparła przytłaczająca większość delegatów i dyskusja w gruncie rzeczy przekształciła się w wymianę pytań i odpowiedzi, bynajmniej nie polemicznych, a nawet niezbyt śmiałych. Wyrażono na przykład obawy, czy przyjazne nastawienie przybyszów nie jest tylko swego rodzaju kamuflażem i czy nie zdradzają oni w przyszłości innych zamiarów.

- Jakich mianowicie? - próbował to uściślić Osowiec.

- Agresywnych.

- Skoro dysponują takimi możliwościami technicznymi, to nie muszą się uciekać do kamuflażu.

- A jeżeli jest to tylko zwiad?

- Już pierwsze zetknięcie z nami musiało im unaocznic różnicę naszych potencjałów technicznych.

- Czy sądzi pan, że zdradziliśmy się przed nimi z naszymi rzeczywistymi możliwościami technicznymi?

Pytanie to zadał Thompson.

- Oni je przecież wymodelowali.

- Ale nawet nie próbowaliśmy użyć tego potencjału przeciwko ich inwazji!



- Czyżby odbyła się jakaś inwazja?

- A czyżby chciał nam pan tu zagwarantować, że nie zostaniemy napadnięci?

- Na dowód prawdziwości mojego poglądu przytoczyłem dziesiątki sprawdzonych faktów. Na poparcie prawdziwości pańskich poglądów przedstawił nam pan tylko hipotezy.

Po tej niesławnej dla oponentów radzieckiego uczonego dyskusji „sceptycy” - tak ich ochrzczono w kularach kongresu - szukali satysfakcji w komisjach, a zwłaszcza w Komisji Kontaktów i Hipotez, której posiedzenia zasłynęły jako wyjątkowo burzliwe. Formułowano na nich wiele najrozmaitszych hipotez, które były natychmiast jadownicie dyskutowane. Jedna dyskusja przeradzała się w drugą, niekiedy odbiegały one bardzo od pierwotnego tematu, wreszcie z reguły kładł im kres elektryczny dzwonek przewodniczącego obrad. Dziennikarze nawet nie próbowali beletryzować swoich sprawozdań. Po prostu cytowali stenogramy.

Wziąłem do ręki na chybił trafił jakiś wycinek. Autor przypominał czytelnikom przygody Guliwera i z udawanym szacunkiem współczuł ludziom, którzy nie potrafili się upodobnić do liliputów, nigdy, jak wiadomo, nie formułujących żadnych hipotez. Ale po przemówieniu Ziernowa z tego udawanego szacunku nie pozostało ani śladu. Kiedy otworzyłem przyniesione mi przez Irenę popołudniowe wydania dzienników paryskich, zobaczyłem, że są one solidarnie nastrojone na zupełnie inną nutę.

“Zagadka rozwiązana!”. “Rosjanie rozgryźli tajemnicę różowych obłoków!”. “Anochin i Ziernow nawiązują kontakt z przybyszami!”. “Sowiety raz jeszcze zaskoczyły świat!”. Pod takimi tytułami sugestywnie referowano, jak to współczesny Paryż przemienił się nagle w prowincjonalne Saint Dizier z lat okupacji, jak to cudownie zmaterializowały się pomysły znakomitego reżysera i jak to się pojedykowałem z pierwszym szermierzem Francji. Szczególnie to ostatnie zachwyciło paryżan. Jakiś tam operator filmowy, którego nikt nigdy nie widział na żadnych międzynarodowych zawodach na planszy, skrzyżował szpadę z samym Montjuseau. W dodatku nie przyplącił tego bynajmniej życiem. Zwycięzca olimpijski udzielił tego popołudnia kilku wywiadów i podwojono mu honorarium za wzięcie udziału w filmie. Wycisnąwszy wszystko, co się dało wycisnąć z Montjuseau i z Carresiego, reporterzy przypuścili atak do kliniki profesora Pelletiera i tylko surowy klasztorny regulamin tego szpitala uchronił mnie przed jeszcze jedną konferencją prasową. Ziernow zaś miał po prostu szczęście. Wykorzystując rytuał towarzyszący nieodmiennie otwarciu i zamknięciu obrad na każdym posiedzeniu kongresu zdołał, nie zauważony, ukryć się przed reporterami.

W referacie Ziernowa, który był szczegółowo streszczony i wszechstronnie skomentowany, nie znalazłem niczego, co by było dla mnie nowością. Wszystko, co powiedział, krystalizowało się już podczas naszych dyskusji o tym, cośmy razem przeżyli.

“Dwaj Rosjanie oraz pewien Amerykanin mieli doprawdy bajeczne przygody w pewnym paryskim hotelu w nocy, która wskrzesiła koszmar średniowiecza - przeczytałem na pierwszej kolumnie “Paris Jour”, obok mojego zdjęcia, zdjęcia Ziernowa i fotografii Martina. - Bynajmniej nie każdy przeniesiony w oka mgnieniu ze świata, w którym zwykł się znajdować, do świata zmaterializowanych zjaw i snów wydobytych z zakamarków pamięci innego człowieka zachowywałyby się równie nieustraszenie, równie rozsądnie, działałyby równie sprytnie i

konsekwentnie jak trzej uczestnicy owej fantastycznej odysei. Ziernow odegrał zresztą wśród nich szczególniejszą rolę, uczynił więcej. Borys Ziernow jako pierwszy spośród uczonych naszej cywilizacji dał jedyną możliwą odpowiedź na pytanie, które nurtuje dziś miliardy ludzi na Ziemi: dlaczego przybysze ignorując nasze próby nawiązania z nimi kontaktu nie szukają sami porozumienia z nami? Ziernow odpowiada: między ich i naszym życiem fizycznym i psychicznym istnieją wielkie różnice, niepomiarne większe być może niż te, które zachodzą pomiędzy organizacją i psychiką ludzką a organizacją i psychiką pszczoł. Co by się stało, gdyby pszczoła i człowiek podjęły próby nawiązania ze sobą kontaktu, pszczoła przy pomocy swoich pszczelich środków porozumienia, a człowiek przy pomocy ludzkich? Czy jest zatem w ogóle możliwy kontakt między dwoma jeszcze znacznie bardziej różniącymi się od siebie formami życia? Myśmy nie znaleźli sposobów nawiązania takiego kontaktu, a oni je znaleźli. Mogli nie pokazywać nam modeli naszego świata, ale je nam pokazali. Po co? Po to, by poznać nasze reakcje fizyczne i psychiczne, by poznać nasz sposób myślenia i charakter naszych procesów myślowych, by się przekonać, w jakim stopniu jesteśmy zdolni do rozumienia i oceny ich poczynań. Wybrali sobie godnych argonautów, ale jedynie Ziernow okazał się Odyseuszem - pojął i przechytrył bogów”.

Czytając ten artykuł miałem tak uszczęśliwiony wyraz twarzy, że Irena nie wytrzymała. Powiedziała:

- Chciałam cię ukarać za to, że jesteś taki skryty. Ale trudno, masz, czytaj.

I podała mi otwartą już depeszę z Umanacu na Grenlandii.

“PARYŻ. Kongres. Ziernow. Wysłuchałem referatu przez radio. Jestem wstrząśnięty. Może właśnie tu na Grenlandii dokona pan nowego odkrycia. Czekam na przylot pana i Anochina najbliższym samolotem.

Thompson”.

To był doprawdy szczęśliwy dzień.

## WYOBRAŹNIA CZY PRZECZUCIE

Szczęśliwy chyba nie tylko dla mnie.

Opowiadałem Irenie o kobiecie z kasyna.

Z początku nie uwierzyła mi.

- Robisz ze mnie idiotkę?

Zmilkiałem. Potem zapytałem:

- Twoja matka była w Resistance. Gdzie to było?

- Komitet Weteranów prosił towarzyszy francuskich, by zebrali dane. Nie wiedzą dokładnie. Wszyscy z grupy matki zginęli. Gdzie i w jakich okolicznościach - nie wiadomo.

- W Saint Dizier - powiedziałem. - Niezbyt daleko od Paryża. Była tłumaczką w kasynie oficerskim. Tam właśnie ją aresztowano.

- Skąd wiesz?

- Sama o tym opowiadała.

- Komu?

- Mnie.

Irena powoli zdjęła okulary, złożyła je.

- Nie żartuje się na takie tematy.

- Ja wcale nie żartuję. Ja i Martin widzieliśmy ją tamtej nocy w Saint Dizier. Wzięli nas za angielskich lotników, tej nocy strącono w pobliżu miasteczka samolot angielski.

Wargi Ireny drżały.

Opowiedziałem jej wszystko po kolei - o portierze i o Langem, o tym, jak Martin strzelał na schodach z automatu, o wybuchu w kasynie, który usłyszeliśmy, biegnąc przez zaciemnione miasto.

Irena milczała. Denerwowała mnie bezradność moich słów, które nie były w stanie oddać nawet modelu życia, nie mówiąc już o samym, życiu.

- Jaka ona jest? - zapytała nagle Irena.

- Za każdym razem była inna, zależnie od tego, kto akurat ją wspominał, Etienne czy Lange. Młoda, w twoim wieku. I Etienne, i Lange zachwycali się nią, choć jeden z nich ją wydał, a drugi zabił.

Powiedziała bardzo cicho.

- Teraz rozumiem Martina.

- To zbyt mało, żeby się mścić.

- Rozumiem go - powtórzyła, a potem zapytała: - Co było dalej?

- Potem zacząłem wchodzić na schody w hotelu "Bretagne".

- I wszystko zniknęło?

- Dla mnie - tak.

- A dla niej?

Bezradnie rozłożyłem ręce - ktoś to może wiedzieć?

- Nie rozumiem - powiedziała Irena. Istnieje teraźniejszość, istnieje przeszłość. Życie, wiemy. Ale czym jest to?

- To model.

- Żywy?

- Być może w jakiś sposób utrwalony. Po co - nie wiem. Moja wyobraźnia po prostu tego nie ogarnia.

Był jednak człowiek, który miał dostatecznie bogatą wyobraźnię. Spotkaliśmy go już następnego dnia.

Rano wypisałem się z kliniki, z męską powściągliwością pożegnałem się z małomównym jak zwykle Pelletierem („Uratował mi pan życie, profesorze. Jestem panu bardzo zobowiązany”), objąłem na pożegnanie siostrę oddziałową, mego białego anioła z diabelską strzykawką („Przykro mi, że się muszę z panią rozstać, mademoiselle”) i wyszedłem na bulwar Woltera, na którym wyznaczyła mi spotkanie Irena. Irena natychmiast zawiadomiła mnie o tym, że Tolek Diaczuk i Wano odlecieli już z Kopenhagi bezpośrednio na Grenlandię, a dla mnie i dla Ziernowa przygotowuje się już w ambasadzie duńskiej wizy. Mogłem jeszcze pójść na plenarne posiedzenie kongresu.

“Był taki upał, że asfalt na ulicy topił się pod nogami, ale na klatkach schodowych i na korytarzach Sorbony, najstarszego uniwersytetu Francji, w którym korzystając z letnich wakacji obradował kongres, panował chłód i cisza, niczym w kościele, w którym dawno już skończyło się nabożeństwo. I było równie pusto jak w kościele. Nie mijali mnie spóźnieni ani tacy, co po prostu wyszli na papierosa i na kularową pogawędkę, nie było widać rozdyktowanych grup, palarnie i bufety świeciły pustkami. Wszyscy zgromadzili się w audytorium, w którym nawet na najbardziej lubianych przez studentów wykładach nie panował taki tłok. Zajęte były nie tylko ławy, siedziano także w przejściach na podłodze, a nawet na schodkach amfiteatralnej sali.

Przemawiał właśnie Amerykanin. Znałem, jak wszyscy czytelnicy pism, jego nazwisko, nie był to jednak polityk ani nawet uczonek, co by było naturalne na tego rodzaju zgromadzeniu, gdzie uczeni i politycy przemawiali najczęściej. Był to pisarz, autor książek fantastycznonaukowych, który, jak w swoim czasie Wells, zdobył sobie popularność na całym świecie. W gruncie rzeczy niezbyt się nawet troszczył o naukowe prawdopodobieństwo swoich zadziwiających pomysłów i nawet tutaj, w obliczu najświetniejszych przedstawicieli współczesnej nauki miał odwagę stwierdzić, że jego osobiście nie interesuje informacja naukowa o przybyszach, którą tak skrętnie, po okruszynce, stara się zgromadzić kongres (tak właśnie powiedział: „skrętnie” i “po okruszynce”), ale sam fakt zetknięcia się dwóch w gruncie rzeczy nieporównywalnych cywilizacji.

Kiedy ja i Irena sadowiliśmy się na schodkach w przejściu, usłyszeliśmy właśnie to oświadczenie pisarza i szmerek na sali, trudno orzec - szmerek solidarności czy protestu, który je powitał.

- Niech was nie urażają te “okruszynki”, panowie - ciągnął Amerykanin, odrobinę chyba rozbawiony. - Zebraliście, panowie, całe tony najpożyteczniejszych w świecie informacji, zebrały je komisje glaciologów i klimatologów, specjalne ekspedycje, stacje badawcze i instytuty naukowe, gromadzicie je w specjalnych pracach o problemach nowych form lodowych, zmian klimatycznych oraz następstw meteorologicznych różowych obłoków. Jednak tajemnica owego fenomenu nadal pozostała tajemnicą. Nie poznaliśmy ani natury pola siłowego, ani charakteru tej formy życia, z którą się zetknęliśmy, ani nie dowiedzieliśmy się niczego o usytuowaniu we wszechświecie jej siedzib. Rozważania Borysa Ziernowa o eksperymencie przybyszów, który ma na celu nawiązanie kontaktu z ziemianami, są interesujące. To jednak ich eksperyment a nie nasz. Co do mnie mogę zaproponować, abyśmy w odpowiedzi na to również przeprowadzali pewien eksperyment, jeśli nadarzy się po temu okazja. Spróbujmy rozpatrywać stworzony przez nich świat jako bezpośredni kanał do ich świadomości, do ich umysłowości. Spróbujmy nawiązać z nimi rozmowę przez “sobowtóry”. Spróbujmy wykorzystać każdy model, każdą zmaterializowaną przez nich substancję jako mikrofon służący do nawiązania bezpośredniego czy też pośredniego kontaktu z przybyszami. Coś w rodzaju elementarnej rozmowy telefonicznej, bez żadnych kodów matematycznych, chemicznych czy jakichkolwiek innych.

Mówmy po prostu najnormalniejszym ludzkim językiem, po angielsku czy po rosyjsku, nie ma żadnego znaczenia. Zrozumieją nas. Powiecie panowie, że to fantazjowanie? Tak. Ale kongres wzniosł się już -proszę zwrócić uwagę, że powiedziałem “wzniosł się”, a nie “zniżył się” - do poziomu rzeczywiście naukowej fantastyki. Nie obstaję szczególnie przy tym: “naukowej”. Ja po prostu raz jeszcze podkreślam: “fan-tas-ty-ki”, owej natchnionej fantastyki, w której wyobraźnia zamienia się w przecucie, w przewidywanie przyszłości. (Szmerek na sali). Jakże dobrze jesteście wychowani, panowie uczeni! Powiedzcie to wprost, głośniej: “On bluźni w świątyni nauki!” (Krzyki z sali: “Oczywiście, że to bluźnierstwo!”). Bądźcie nieco sprawiedliwsi, panowie. Czy to uczeni przeczuli telewizję, wideofon, lasery, eksperymenty profesora Petrucciego i loty kosmiczne? Wszystko to przewidzieli fanteści, autorzy książek fantastyczno-naukowych.

Nie opuściłem ani jednego posiedzenia Komisji Teoretycznej i to, co tam słyszałem, chwilami wprawiało mnie w niekłamaną zachwyty - była to czystej wody fantastyka! Eksplozje wyobraźni! Jakież trzeba było wyobraźni, by wysunąć hipotezę o hologramie - o wzrokowym odbiorze przez

przybyszów dowolnego przedmiotu przy wykorzystaniu odbicia fal świetlnych? Taki fotozapis odbierany jest jako trójwymiarowy i zachowuje wszystkie charakterystyczne cechy wizualne rzeczywistego krajobrazu. Wczorajszy komunikat o zabarwionych górach lodowych, które napotkano w zatoce Melville'a na Grenlandii, potwierdził tę hipotezę. Duński statek oceanograficzny „Królowa Krystyna” rozpylił barwnik na górach lodowych w momencie, gdy jeźdźcy cwałowali nad nimi. Znajdowali się na wysokości paru kilometrów, a z pokładu statku już z odległości stu metrów nie można było gołym okiem zauważyć ani śladu barwnika na lodzie. Niemniej „jeźdźcy” przypikowali, przede wszystkim zmyli barwnik, a następnie wyłowili z wody czysciuteńki już błękitnawy lód. W ten sposób hipoteza o superczułym „wzroku” przybyszów stała się faktem naukowym.

Nie każdy twór wyobraźni jest przecuciem czegoś rzeczywistego, co nastąpi, nie każda hipoteza musi być rozsądna. Chciałbym na przykład odrzucić wysuniętą przez kościół katolicki hipotezę, która zakłada, że przybysze nie są istotami żywymi, ale tylko sztucznymi twórcami naszych braci kosmicznych stworzonych również „na obraz i podobieństwo boże”. W istocie rzeczy jest to stary religijny pogląd na Boga, Ziemię i człowieka, rozszerzający jedynie pojęcie „Ziemia” tak, by obejmowało ono cały wszechświat. Z filozoficznego punktu widzenia jest to hołd złożony naiwnemu antropocentryzmowi, nie trudny do obalenia nawet przy pomocy tych okruchów wiedzy o różowych obłokach, które już się nam udało zgromadzić. Gdyby twórcami obłoków były humanoidy, to humanoidy te wysyłając swój cybernetyczny zwiad w kosmos niewątpliwie wzięłyby pod uwagę możliwość spotkania z istotami sobie podobnymi, jeśli nie pod względem umysłowości to w każdym razie podobnymi zewnątrznie. W takim wypadku owe odpowiednio zaprogramowane bioroboty bez trudu znalazłyby wspólny język z ludzkością i życie ludzi nie stanowiłoby dla nich takiej zagadki. O nie, cokolwiek mówiliby o tym teologowie i antropocentryści, zetknęliśmy się z inną, nie znaną nam i jak dotąd niezrozumiałą jeszcze dla nas formą życia. Być może my dla nich również ciągle jeszcze jesteśmy formą życia nie znaną i niezrozumiałą, ale niewielka to dla nas pociecha. Proszę na przykład spróbować udzielić odpowiedzi na pytanie, jak żyją u siebie nasi goście z innej planety, czy są nieśmiertelni czy też może jedynie długowieczni, jak długo żyją, jak bardzo inaczej niż my. Jak się rozmnażają, w jaki sposób tworzą istoty do siebie podobne, jak organizują sobie życie pod względem biologicznym i socjalnym, w jakim środowisku żyją, płynnym czy może gazopodobnym, a może w ogóle nie potrzebują żadnego środowiska, może są tylko zagęszczeniami energii oddzielonymi od środowiska zewnętrznego polami siłowymi? Apeluję do waszej wyobraźni, panowie - spróbujcie udzielić odpowiedzi na te pytania! (Ożywienie na sali, oklaski). Widzę, że nie uciekniecie się panowie do votum nieufności, nikt zdaje się nie przepędza z mównicy zuchwałego fantasty? W takim razie pozwolicie, może bym mówił dalej?

(Zobaczyłem, że przewodniczący odruchowo spogląda na zegarek, że jego ręka wyciąga się ku przyciskowi dzwonka. Ale huk oklasków i różnojęzyczne okrzyki: „Prosimy, prosimy!” sprawiają, że przewodniczący postanawia zostawić dzwonek w spokoju).

- Przemawiając z tej trybuny Borys Ziernow powołał się na człowieka i pszczołę jako na przykład dwóch nieporównywalnych form życia. Spróbujmy pobudzić wyobraźnię - a co będzie, jeśli odwrócimy ten przykład? Otrzymamy wówczas, powiedzmy, jakąś supercywilizację pszczół i pozostającą za nią w tyle o całe tysiąclecia cywilizację człowieka. Obserwacje nasze dowiodły już istnienia wśród przybyszów podziału pracy - jedni tną lód, inni zajmują się odtransportowaniem go w kosmos, jeszcze inni badają i rejestrują schemat atomowy modelu, jeszcze inni budują ów model.

Odpowiednio różnorakie są również formy strukturalne "jeźdźców" - jedni z nich wyciągają się w coś na kształt piły taśmowej, inni rozchylają się w gigantyczny kwiat, jeszcze inni rozrzedzają się w purpurową mgłę, jeszcze inni zagęszczają się tworząc coś w rodzaju wiśniowego kisielu. Nasuwa się zatem pytanie - czy nie mamy do czynienia z rojem, z wysoko zorganizowanym rojem istot wraz z charakterystycznym dla takich rojów wyspecjalizowaniem funkcjonalnym? Nawiasem mówiąc życie ula jest również zorganizowane inaczej niż życie w czynszówkach nowojorskiej Park Avenue czy Pól Elizejskich w Paryżu. Inaczej jest zorganizowana zarówno praca, jak wypoczynek. Ale czy i m potrzebny jest wypoczynek? Czy mają poczucie piękna? Czy mają na przykład muzykę? Co zastępuje im sport? Powtarzam raz jeszcze - spróbujcie, panowie, odpowiedzieć na te pytania. Tak jak w szachach - z uwzględnieniem wszystkich możliwych wariantów. Trochę to trudne, powiecie. Oczywiście. Ale przecież arcymistrzowie szachowi postępują tak właśnie.

I dziwię się, czemu to arcymistrzowie nauki nie zadali sobie dotąd najważniejszego pytania - po co przybyli do nas nasi goście? (Szmer na sali). Wiem, wiem, każdy z was ma gotową odpowiedź, nawet dwie odpowiedzi. Dziewięćdziesięciu na stu spośród was odpowie mi, że przybyszom był do czegoś potrzebny lód Ziemi, którego skład izotopowy jest być może unikalny w całym kosmosie. Mniejszość z Thompsonem na czele odpowie mi, że jest to zwiad wynikający z agresywnych zamiarów przybyszów na przyszłość. Osobiście jestem zdania, że zwiad był wcześniej. Wtedyśmy go po prostu nie zauważyli. Teraz zaś przybyła do nas potężna, wszechstronnie wyekwipowana wyprawa (na sali zapanowała napięta cisza, słychać było jedynie szmery dyktafonów reporterów) nie zdobywców, nie, naszych kolegów z innej planety, panowie, wyprawa, która ma za zadanie zbadanie nie znanej im formy życia. (Krzyki z sali: "A lód?"). Poczekajcie, przejdziemy jeszcze i do lodu. Lód to operacja uboczna. Najważniejszą dla nich rzeczą jesteśmy my sami, wysoko rozwinięta forma białkowa życia oparta na roztworach wodnych. Jest coś, co nie pozwala im badać tego życia tutaj na Ziemi. Może jest to środowisko zewnętrzne, może obawa, by tego środowiska nie naruszyć, nie zanieczyścić. Cóż więc robić, od czego zacząć? Od pracy Pana Boga, od stworzenia świata? (Hałas na sali, ktoś przenikliwie krzyczy: "Zamilcz, bluźnierco!"). Nie jestem większym bluźniercą niż ojciec cybernetyki, Herbert Wiener. Niegdyś tacy sami jak pan tak samo histerycznie krzyczeli o Wienerze: "To diabelskie sztuczki! On sponiewierał Przykazania Pańskie! Nie będziesz czynił sobie obrazu rytego, ani żadnego podobieństwa tych rzeczy, które są na niebie i które są na ziemi i które są w wodach!" A jednak budujecie, panowie, teraz roboty i konstruujecie mózgi elektroniczne. Idea stworzenia modelu naszego życia w całej jego złożoności i w całym jego bogactwie, ta idea przybyszów jest jak najbardziej na miejscu, czymże jest bowiem proces poznania, jeśli nie modelowaniem przy pomocy myśli? A przejście od modelowania w myśli do modelowania w rzeczywistości to tylko jeden krok na drodze postępu. Kiedyś my również zrobimy ten krok, wymienia się już nawet termin - ma to się stać w przyszłym stuleciu. Czemuż więc supercywilizacja przybyszów nie miałaby osiągnąć tego wcześniej, powiedzmy o tysiąc lat wcześniej.

Pisarz zamilkł, napił się wody i zamyślił się. Audytorium czekało. Nikt nie kaszłał, nie kręcił się na krześle, nie rozmawiał szeptem ze swoim sąsiadem. Nigdy nie byłem na wykładzie, którego słuchano by z taką pełną szacunku uwagą.

- Skoro można zbudować model życia, można go również zabrać ze sobą - powiedział Amerykanin tak cicho, że w normalnych warunkach nie usłyszano by go nawet z odległości trzech kroków, tu jednak nikt nie uronił ani słowa, nawet intonacji - można go zanotować i odtworzyć gdzieś

w pobliżu własnych siedzib, stworzywszy tam uprzednio odpowiednie środowisko, w którym model ów mógłby się rozwijać. Co jest do tego potrzebne? Sztuczny satelita, asteroid, planeta, model atmosfery ziemskiej, model promieniowania słonecznego. A przede wszystkim woda, woda, woda, bez której niemożliwe jest życie białkowe. To rzuca światło na transport lodu ziemskiego w ilościach, które są wystarczające dla nawodnienia całej planety. W głębinach naszej, a może jakiejś innej galaktyki powstanie nowy świat, który nie będzie powtórzeniem naszego świata, ale będzie doń podobny tak jak dobry portret podobny jest do portretowanej osoby, wszystkie modele przybyszów są bowiem bezbłędne i dokładne. (Ktoś krzyknął z sali: "Kosmiczne Zoo z człecoształtymi na wolności!"). Oczywiście, będą tam i tacy jak autor tej repliki. (Śmiech na sali). Ja jednak poprawiłbym autora tego zdania - nie Zoo tylko laboratorium. Albo może dokładniej - instytut naukowy, w którym życie człowieka wraz z całą złożonością jego aspektów psychicznych, bytowych i socjalnych stanie się przedmiotem wszechstronnych starannych i ostrożnych badań. Badania te niewątpliwie nastąpią, po to właśnie przeprowadza się cały eksperyment. Ale badać życie nie przeszkadzając mu zarazem, badać je w rozwoju, w ruchu, a zrozumiałwszy prawa, które tym ruchem i rozwojem rządzą - rozwój ów udoskonalić i przyspieszyć - oto ich cel. Powiedziałem już chyba wszystko. Oto moja hipoteza. Przedyskutujcie ją, panowie, jeśli chcecie. Jak każda hipoteza zrodzona z wyobraźni da się ona zapewne bez trudu obalić. Ale miło mi jest pomyśleć, że gdzieś w przestworzach wszechświata istnieje może i rozwija się cząstka naszego życia, to nic, że wymodelowana, to nic, że zsyntetyzowana, ale przecież stworzona w imię wielkiego celu - zbliżenia dwóch na razie bardzo jeszcze od siebie dalekich cywilizacji, zbliżenia, do którego pierwszy krok uczyniono jeszcze tutaj na Ziemi. A jeśli przybysze do nas powrócą, to powrócą już jako istoty, które nas rozumieją, jako istoty wzbogacone o rozumienie nas, umiejące coś tam od nas przejąć i dać nam coś w zamian na wspólnej drodze ku udoskonalaniu się.

Pisarz zgarbił się nieco i zszedł z mównicy. Odprowadzała go cisza wymowniejsza niż huragan oklasków.



## FIOLETOWA PLAMA

Na samym skraju lodowego płaskowyzu, który urywał się tu jak gdyby ścięty gigantycznym nożem, wyrąbaliśmy sobie coś w rodzaju okopu. Wypolerowany przekrój przeciętego lodowca odbijał błękitne niebo bez jednej chmurki, opadał z wysokości pięciu pięter. Była to właściwie szeroka na jakieś trzysta metrów szczelina lodowa, która sięgała aż do fioletowej plamy.

W równej ścianie zimnego błękitnego blasku plama ta ciemniała niczym wejście do pieczary. Nie zawadzając o jej nierówne pulsujące krawędzie mogłaby się w niej zmieścić nie tylko amfibia śnieżna, ale nawet łamacz lodów o średniej wyporności. Wycelowałem kamerę, zużyłem kilka metrów taśmy i przestałem filmować. Plama jak plama, nic nadzwyczajnego.

Za to ściana błękitnego blasku mogła zakasować wszystkie cuda świata. Wyobraźcie sobie rozpalony na śniegu błękitny płomień maszynki spirytusowej podświetlony z tyłu promieniami niezbyt wysoko nad widnokregiem zawieszono bladego słońca. Pełgający płomień błękitnieje w tym świetle, obok niego pęcznieje drugi, dalej wije się trzeci, jeszcze dalej czwarty, a wszystkie one nie zlewają się z sobą w jeden równomierny płomień, ale stykają się jak gdyby krawędziami jakichś niezwykle, jarzących się kryształów. Wyobraźcie sobie teraz, że jest to powiększone stokrotnie, tysiącrotnie. Płomienie wzbijają się na wysokość kilometra, gdzieś tam na wysokościach, w bladobłękitnym niebie zaginają się i łączą w jeden gigantyczny kryształ, który nie odbija owego bladego nieba, poranka, słońca, ale je jak gdyby pochłania. Ktoś niesłusznie nazwał go ośmiościanem. Kryształ ów jest po pierwsze płaski od dołu, a po drugie ma mnóstwo krawędzi, mnóstwo niejednakowych ani niesymetrycznych dziwnych płaszczyzn krystalicznych, za którymi jarzy się i kłębi błękitny gaz.

- Nie sposób oderwać od tego oczu - powiedziała Irena, kiedy podeszliśmy po tym lodowisku do błękitnego płomienia. Podeszliśmy do niego na jakieś trzydzieści metrów, bliżej już się nie dało, ciało zaczynał wypełniać dobrze znany wielusetkilogramowy ciężar. - W głowie mi się kręci, zupełnie jak nad przepaścią.

Patrzyłem na fioletową plamę i przypominałem sobie wczorajszą rozmowę Ziernowa z Thompsonem.

- Przecież mówiłem panu, że to wejście. Dym, gazy, diabli wiedzą co. Oni przeszli przez to gęsiego. Widziałem na własne oczy. A teraz udało się przejść przez to i nam - mówił Thompson.

- Nie panu, tylko kierowanej fali podmuchu.

- Co za różnica? Dowiodłem im, że człowiek umie myśleć i wysnuwać wnioski.

- Komar znalazł otworek w moskitierze i ugryzł. Czy to dowód, że umie myśleć i wysnuwać wnioski?

- Spróbujemy użyć czego innego.

- A mianowicie czego? Przecież są nieczuli zarówno na promieniowanie beta, jak i na promieniowanie gamma.

- A laser? A armatki wodne? Najzwyczajniejszy hydromonitor. Już sam fakt, że próbujemy przeniknąć przez fioletową plamę używając innych środków, zmusi ich do myślenia. A to już równa

się nawiązaniu kontaktu. A w każdym razie to wstęp do kontaktu.

Hydromonitor Thompsona zainstalowano w bezpośrednim sąsiedztwie „plamy” - dzieliło go od niej nie więcej niż piętnaście metrów, pole siłowe w tym akurat miejscu najwidoczniej nie działało. Z tego miejsca na szczycie płaskowyżu, z którego filmowałem, hydromonitor przypominał spiętego do skoku szarego kota.

Ja również przygotowałem się, wycelowałem kamerę. Uwaga, już! Strumień wody błysnął jak klinga i przebił kurtynę gazową „plamy”, nie napotkał żadnego oporu, zniknął za tą kurtyną. W trzydzieści sekund później strumień przesunął się i rozciął ukośnie fioletowy miraż.

Trwało to nie dłużej niż dwie minuty. Potem nagle „plama” powoli zaczęła się wznosić ku górze - tak pełźnie po niebieskiej firance mucha. Napotkawszy jej połyskujący błękit strumień wody rozprysnął się na boki. W oka mgnieniu wokół błękitnego płomienia utworzyło się coś na kształt wścieklej trąby powietrznej z miliardów rozpylonych kropeł wody.

Filmowałem nadal. Ale wkrótce hydromonitor przestał pracować. Widocznie Thompson postanowił zakończyć eksperyment. „Plama” natomiast ciągle pełzła ku górze, aż zniknęła gdzieś na wysokościach, za gigantycznymi językami płomieni.

Było to jedno z moich najmocniejszych wrażeń z Grenlandii. A wrażeń tu mieliśmy sporo. Na całe życie zapamiętałem gościnny port lotniczy w Kopenhadze, wielowarstwowe duńskie kanapki i wyraziste kolory Grenlandii, którą zobaczyliśmy z powietrza - biel wielkiego lodowca na północy, czerń płaskowzgórza na południu, gdzie lód już zdjęto, ciemnoczerwone urwiska nadbrzeżnych gór, granat morza przechodzący w matową zieleń fiordów. Patrzyliśmy na nią nieco później, z pokładu szkunera, którym płynęliśmy na północ, do Umanacu.

Ani w czasie rejsu, ani po przybyciu do Umanacu nie zetknęliśmy się z przybyszami. Byli tu już wcześniej i odeszli po wycięciu idealnego trzystukilometrowego kanału wiodącego w głąb kontynentalnego lodowca. Jak gdyby wiedzieli, że wyruszymy z Umanacu ich śladami. Czekająca na nas wspaniała szosa lodowa szersza niż jakakolwiek autostrada świata, oczekiwał na nas zamówiony w Dusseldorfie samochód terenowy. Załoga była nasza, z Antarktydy, pojazd jednak mniejszy był od „Charkowianki” i nie był ani tak szybki, ani tak wytrzymały jak nasza stara amfibia.

- Zobaczysz, że jeszcze się z nim namęczymy. Godzina jazdy, dwie godziny postoju - powiedział Wano, który otrzymał właśnie radiogram ze sztabu Thompsona; donoszono w tym radiogramie, że dwa inne samochody ekspedycji, które wyruszyły o dwadzieścia cztery godziny wcześniej, dotąd nie przybyły do miejsca przeznaczenia. - Ale pogódka jest ładna. Ciepło.

- Przemieściła się linia cyklonów - wyjaśnił Tolek - nie ma śniegu, południowy wiatr. Nie biadol, dojedziemy na miejsce bez przygód.

Ale przygody zaczęły się już w trzy godziny po wyjeździe. Zatrzymał nas śmigłowiec wysłany nam na spotkanie przez Thompsona - admirał potrzebował porady i chciał jak najszybciej mieć u siebie Ziernowa. Śmigłowiec pilotował Martin.

To, co opowiedział, wydawało się fantastycznie nawet nam, którzyśmy się już przecież zdążyli przyzwyczaić do fantastyki „jeźdźców znikąd”.

Na tym samym śmigłowcu dokonywał oblotu błękitnych protuberancji, które w górze łączyły się ze sobą. Różowe obłoki zjawiły się jak zawsze nieoczekiwanie i jak zawsze nie wiadomo skąd. Przeleciały nad Martinem nie zwracając na niego uwagi i zniknęły w fioletowym kraterze. Tam też skierował swój śmigłowiec i Martin.

Obniżył się aż na fioletową płaszczyznę i nie napotkał żadnego oporu. Śmigłowiec nadal się zniżał, bez trudu przecinając szaroliliowe obłoki. Przez dwie minuty nic nie było widać, a potem Martin znalazł się nad miastem, nad wielkim współczesnym miastem, tylko jak gdyby okrojonym po bokach. Niczym wypukły klosz przykrywała to miasto błękitna kopuła nieba. Martinowi wydało się, że to miasto ma w sobie coś dlań znajomego. Zniżył się jeszcze trochę i poprowadził śmigłowiec nad centralną arterią przecinającą całe miasto. Natychmiast rozpoznał tę arterię. To był Broadway. Wydało mu się to jednak tak niewiarygodne, że zamknął oczy. Otworzył je - wszystko było jak przedtem. Oto Czterdziesta Druga ulica, dalej dworzec, a bardziej na lewo Times Square, wąwóz Wali Street, widać nawet kościółek, słynny kościółek milionerów. Martin chciał skrócić nad morze, ale mu się to nie udało, coś mu przeszkodziło, odsunęło helikopter. Wtedy zrozumiał, że to nie on kieruje śmigłowcem, że to nie on decyduje, w którą stronę mają lecieć, ale to nim kierują jakieś niewidzialne oczy i ręce. Jeszcze ze trzy minuty prowadziły go one nad rzeką - wydawało się, że kopuła nieba przecina w którymś miejscu Hudson River - przeciągnęły go ponad koronami drzew Central Parku, po czym zaczęły go podnosić, a może raczej przepychać przez jakiś ulotny korek. I oto znalazł się wraz ze swoją maszyną pod prawdziwym niebem, ponad miastem ukrytym w błękitnym płomieniu i natychmiast wyczuł, że śmigłowiec znów jest posłuszny każdemu ruchowi jego ręki.

Słuchaliśmy chciwie tej opowieści, nie przerwaliśmy Martinowi ani jednym słowem. A potem Ziernow zastanawiał się przez chwilę, wreszcie zapytał:

- Widział pan wszystko dobrze? Nie myli się pan?

- Nowego Jorku nie sposób pomylić z niczym innym na świecie. Ale dlaczego to był właśnie Nowy Jork? Przecież oni się nawet nie zbliżali do Nowego Jorku.

- Może zbliżyli się w nocy? - powiedziałem.

- Po co by mieli to robić? - sprzeciwił się Ziernow. - Znamy już przecież modele rekonstruowane tylko na podstawie obserwacji, z pamięci... Pan dobrze zna to miasto? - zwrócił się do Martina.

- Urodziłem się w Nowym Jorku.

- Ile razy chodził pan jego ulicami?

- Czyż to można zliczyć?...

- No, proszę, chodził pan, patrzył, oswajał się z miastem. Oko rejestrowało wszystko, pamięć odnotowywała wrażenia we właściwych komórkach. A oni obejrzeliby to sobie i zrekonstruowali.

- A zatem to był mój Nowy Jork, taki, jakim go widziałem?

- Tego nie jestem pewien. Mogli modelować według mózgow wielu nowojorczyków. Między innymi pańskiego. Jest taka gra, jig-saw puzzle, zna ją pan?

Martin przytaknął.

- Z wielu kawałków kolorowego plastyku zestawia się, układa taki lub inny obrazek, jakiś portret, widoczek albo martwą naturę - tłumaczył nam Ziernow. - Oni postępują tak samo. Z tysięcy obrazów wzrokowych montują coś, co istnieje w rzeczywistości, ale widziane było i zarejestrowane zostało przez różnych ludzi na różne sposoby. Sądzę, że Manhattan odtworzony w błękitnym laboratorium przybyszów to nie jest taki zupełnie prawdziwy Manhattan. Pamięć wzrokowa jest twórcza i bardzo rzadko odtwarza cokolwiek zupełnie dokładnie. A kolektywna pamięć to z kolei znakomity materiał do współtworzenia - jig-saw puzzle, układanka obrazkowa.

Po tej opowieści Martina wszystko już wydawało mi się mdłe i niezbyt interesujące, dopóki nie zobaczyłem i nie utrwaliłem na taśmie filmowej błękitnych protuberancji i fioletowej „plazmy”. Nowy eksperyment przybyszów był równie niezwykły i równie trudny do zrozumienia jak wszystkie ich poprzednie sztuczki. Rozmyślając o tym wracałem do obozu.

A tymczasem biegła mi na spotkanie bardzo czymś podniecona Irka:

- Do Thompsona, Jurek! Admirał wzywa wszystkich uczestników wyprawy.

## JIG-SAW PUZZLE

Okazało się, że przyszedł ostatni, i skoro tylko weszliśmy do admirała, od razu wyczuliśmy ogólne zaciekawienie i pewne napięcie panujące wśród obecnych. Wyjątkowy i niezwykły charakter tego zebrania zwołanego natychmiast po przeprowadzeniu eksperymentu świadczył o tym, że Thompson ma jakieś wątpliwości. Skłonny zazwyczaj do jednoosobowych decyzji admirał niewiele się troszczył o kolegalność. Teraz najwyraźniej postanowił zapoznać się ze zdaniem większości.

- Eksperyment udał się - zaczął bez żadnych wstępów Thompson. - Fioletowe wejście uległo już przesunięciu na górną krawędź kopuły. W związku z tym chciałbym użyć nowych środków. Chciałbym zaatakować z góry, z powietrza.

- Bomba? - zapytał ktoś.

- Bzdura! Potrzebni mi są spadochroniarze. Zapadło milczenie. Sam Thompson nie przewidział, że może to być potrzebne, i nie zabrał na wyprawę ani jednego spadochroniarza.

- Skoczyłbym - powiedział Martin. - Ale kto będzie pilotował samolot?

Thompson z niezadowoleniem poruszył wargami. Robił to zawsze, ilekroć opanowywał ogarniające go rozdrażnienie.

- Nawet gdyby był inny pilot, nie zgodziłbym się na to, żeby skakał Martin. To, co on widział, uważam za sterowaną halucynację. Za hipnomiraż. I dlatego potrzebny mi jest teraz inny człowiek, z inną psychiką.

Popatrzyliśmy po sobie. Ziernow nie wchodził w rachubę. Wano zwicznął rękę w czasie ostatniej jazdy. Ja tylko dwa razy w życiu skakałem ze spadochronem, ale przyznam, że bez szczególniejszej przyjemności.

- Skakałem z wieży spadochronowej - powiedział Diaczuk - ale mogę zaryzykować.

- Ja też - przyłączyła się do niego Irena.

- Nie pchaj się tam, gdzie cię nie prosili - przerwałem jej. - To nie jest zadanie dla dziewczyn.

Thompson, który cierpliwie czekał, aż skończymy tę rozmowę, zapytał, co jest przedmiotem dyskusji.

- Grupa spadochronowa jest gotowa - wyskandowałem. - Wskoczycy dwóch, Diaczuk i Anochin.

- Nie zawiodłem się na panu - uśmiechnął się admirał. - To się nazywa człowiek z charakterem. Tego mi właśnie potrzeba. Dwóch - to jeszcze lepiej. - Popatrzył na pozostałych. - Jesteście, panowie, wolni.

Przed startem otrzymaliśmy instrukcje:

- Samolot wzniesie się na dwa tysiące metrów, podejście od północnego wschodu i zniży się nad

celem do trzystu metrów. Nie stworzy to żadnego niebezpieczeństwa - spadochroniarze będą mieli pod sobą tylko korek powietrzny. Przebijecie ten korek i - gotowe!

Admirał popatrzył najpierw na Diaczuka, potem na mnie i jak gdyby zaczął mieć jakieś wątpliwości, dodał:

- Jeżeli któryś z was się boi, możecie odmówić wykonania zadania. Nie nalegam.

Spojrzałem na Tolka. Tolek spojrzał na mnie.

- Staruszek zwariował - powiedział po rosyjsku - już chce zdjąć z siebie odpowiedzialność. Co ty na to?

- Skaczę, jasne.

Admirał czekał w milczeniu, przysłuchiwał się dźwiękom nie znanego mu języka.

- Wymieniliśmy poglądy - wyjaśniłem oschle. - Jesteśmy gotowi do lotu.

Samolot poderwał się z lodowej równiny, nabrał wysokości i leciał ku wschodowi okrążając pulsującą protuberancję. Potem zawrócił i poleciał z powrotem, ciągle zmniejszając wysokość. W dole, pod nami, niebieszczyło się morze buszującego ognia, który wszakże nie parzył. Fioletowe wejście było już doskonale widoczne - nieregularna łąka na błękitnym brokacie - i wydawało się stąd płaskie i twarde jak ziemia.

- Nie bójcie się - Martin denerwował się za nas. - Nie roztrzaskacie się. Jest to coś jak piana na piwie, tyle że trochę podbarwiona.

Wyskoczyliśmy. Pierwszy wyskoczył Tolek, ja za nim. Widziałem, jak pogrążył się w fioletowym kraterze, jak gdyby się weń zapadł. Co jest tam, za mętną przesłoną gazową, lód, ciemność, śmierć przez roztrzaskanie się czy śmierć przez uduszenie? Pogrążyłem się w czymś ciemnym, niezbyt wyczuwalnym, w czymś, co nie miało ani temperatury, ani zapachu. Tylko fioletowy kolor zastąpiła dobrze mi znana czerwień.

I nagle, niczym cios w oczy, błękit nieba i miasto pode mną, najpierw niewyraźne, zaledwie majaczące we mgle, potem, kiedy mgła się rozviała, coraz bliższe i coraz wyraźniej widoczne. Dlaczego Martin twierdził, że to Nowy Jork? Nie byłem nigdy w Nowym Jorku, nie oglądałem go z pokładu samolotu, ale dzięki kronikom filmowym wytworzyłem sobie pewien obraz tego miasta. To w dole wyglądało zupełnie inaczej, nie widziałem niczego, co było mi znane ze zdjęć - ani posągu Wolności, ani Empire State Building, ani wąwozów ulic, ani drapaczy chmur. O nie, to nie był Nowy Jork, to było jakieś zupełnie inne miasto, miasto bliższe mi i lepiej znane.

Pode mną niczym gigantyczna litera "A", ale litera trójwymiarowa, wznosiła się ażurowa wieża Eiffla. Po lewej i po prawej jej stronie widziałem krzywe łuki - wstęgę Sekwany. Wielu ludziom wszystkie rzeki oglądane z lotu ptaka wydają się błękitne, nawet granatowe, mnie zawsze się wtedy wydaje, że są one zielone. Ta zielona Sekwana skręcała w prawo w stronę Mairie d'Ivry i w lewo, w stronę Lasku Bulońskiego. Moje oczy od razu odnalazły Luwr i rozwidlenie koryta rzeki wokół

wyspy Cite. Pałac Sprawiedliwości i Notre Dame wyglądały stąd, z góry, jak dwa kamienne sześciany, rozpoznałem je jednak. Poznałem również Łuk Triumfalny na słynnym placu, z którego rozchodzi się promieniście chyba z dziesięć ulic.

- Martin nałgał - powiedział Tolek. - To ma być Nowy Jork?

Obejrzałem się i zobaczyłem Tolka - wisiał na napiętych linkach swego spadochronu o dwa metry ode mnie. Właśnie - wisiał. Nie opadał, nie płynął w powietrzu, nie był unoszony przez wiatr - wisiał, zastygł nieruchomo w równie dziwnie nieruchomym powietrzu. Mówię "w powietrzu", ponieważ oddychaliśmy swobodnie i lekko, niczym w Schronisku Jedenastu pod szczytem Elbrusu.

- Nie - powiedziałem. - Nie nałgał.

- A co ty widzisz?

- Po wieży Eiffla można poznać co.

- A jednak to nie jest Paryż. Niby to, a jednak nie to - powiedział Tolek.

- Głupstwa gadasz.

- Skąd ci się wzięły w Paryżu góry? Pireneje daleko, Alpy też nie bliżej. A to co?

Spojrzałem w prawo i zobaczyłem łańcuch lesistych stoków zwieńczonych rudawymi iglicami skalnymi w czapach ze śniegu.

- Może to tutejsze, grenlandzkie góry? - wyraziłem domysł.

- Jesteśmy wewnątrz kopuły. A dookoła nie ma żadnych gór.

Raz jeszcze popatrzyłem na góry. Pomiędzy nimi a kopułą widać było granatowe pasemko wody. Jezioro? Morze?

- Jak się nazywa ta gra? - zapytał nagle Tolek.

- Jaka znowu gra?

- No, ta układanka z kawałków...

- Jig-saw.

- Ile jest w hotelu personelu nie licząc gości? - myślał na głos Tolek. - Ze trzydzieści osób. Czy oni wszyscy są z Paryża? Któryś napewno jest z Grenoble. Albo jeszcze skądś, z jakichś takich stron, gdzie są góry i morze. I każdy ma własny Paryż pół na pół z Pipidówką. Jeśli skleisz to wszystko do kupy, nie będzie modelu. Nie da rady, nie to.

Powtórzył przypuszczenia Ziernowa, ale ciągle jeszcze miałem wątpliwości. Bawimy się klockami?

Dziś zbudujemy, jutro rozrzucimy? Dziś Nowy Jork, jutro Paryż? Dziś Paryż z Mont Blanc w tle, a jutro z Fudzijamą? Ale niby dlaczego nie? Może w tym laboratorium poszukuje się tego, co w naszym ziemskim życiu jest typowe? Może sprawdza się tu owo „typowe” i uściśla? A może to “nie to” to dla nich jest właśnie “to”, to, czego szukają?

- A dlaczego nie opadamy? - zapytał nagle Tolek.

- Słyszałeś kiedy o zjawisku nieważkości?

- W stanie nieważkości człowiek jak gdyby pływa. A ja się nie mogę ruszyć. Spadochron też jest jak z drewna. Coś nas trzyma.

- Nie coś tylko ktoś. Gościnni gospodarze dają nieproszonym gościom lekcję uprzejmości.

- DUBY SMALONE! - powiedział Tolek i zamilkł, ponieważ coś, jak gdyby nagły podmuch wiatru, poderwało nas właśnie i poniosło nad Paryżem. Początkowo opadliśmy na jakieś dwieście metrów. Miasto stało się jeszcze wyrazistsze, było je jeszcze lepiej widać. Nad kominami fabryk zakłębiły się czarne, szpakowate dymki. Liszka, która powolutku pełzła wzdłuż Sekwany, przepoczwarzyła się w pociąg jadący na Gare de Lyon, a kasza rozsypana na chodnikach ulic przemieniła się w barwną mozaikę letnich garniturów i sukienek. Potem podrzuciło nas do góry, miasto znowu zaczęło się zmniejszać, wreszcie topnieć. Tolek wzleciał wyżej niż ja i nagle zniknął wraz ze spadochronem w korku Ula. W dwie czy trzy sekundy później wpadłem w ów korek i ja, a potem obaj z Tolkiem jak dwa delfiny podskoczyliśmy ponad krawędzią błękitnej kopuły, przy czym żaden z naszych spadochronów ani na chwilę nie zmienił swego kształtu, zupełnie tak, jak gdyby wiał w nie od dołu jakiś niewidzialny strumień powietrza. Zaczęliśmy opadać na białą równinę lodowca.

Wylądowaliśmy wolniej niż przy normalnym skoku ze spadochronem, Tolek jednak upadł przy lądowaniu i spadochron powłókł go po lodzie. Zanim odpiąłem swoje szelki, zanim zdążyłem pośpieszyć mu z pomocą, biegli już w naszą stronę ludzie z obozu. Thompson biegł na czele. W rozpiętej kurtce i kanadyjskich sznurowanych butach, bez czapki, ostrzyżony na jeżę wyglądał jak stary trener. Widywałem takich trenerów na ostatniej olimpiadzie zimowej.

- No i co? - zapytał swoim zwykłym władczym tonem.

- Wszystko w porządku - powiedziałem.

- Martin już nas zawiadomił, że obaj pomyślnie przebyliście korek.

Wzruszyłem w milczeniu ramionami. Po kiego diabła trzymali Martina w powietrzu? Cóż on by nam pomógł, gdybyśmy nie przebyli korka pomyślnie?

- Co tam jest? - zapytał wreszcie Thompson.

- Jig-saw - odpowiedziałem.



## ZAKŁAD

Wracaliśmy do Umanacu samochodem terenowym. Admirał wraz z całą aparaturą, jaka tylko się dała załadować do samolotu, odleciał już bezpośrednio do Kopenhagi.

W Kopenhadze odbyła się jego ostatnia konferencja prasowa. Wysłuchaliśmy jej przez radio w naszym wozie i nagraliśmy ją nawet na magnetofonie. Oto zapis naszego nagrania. Usunęliśmy wszystkie okrzyki, śmiechy, nieistotne repliki z sali, zostawiliśmy tylko same pytania i odpowiedzi:

- Może komandor zechce nam na początek złożyć oficjalne oświadczenie?
- Będzie ono krótkie. Wyprawa się nie powiodła. Nie udało się nam zbadać ani fizycznego i chemicznego charakteru błękitnego blasku, ani istoty zachodzących w jego wnętrzu zjawisk - mówiąc o wnętrzu blasku mam na myśli przestrzeń ograniczoną protuberancjami.
- Dlaczego wam się nie powiodło?
- Otaczające rejon protuberancji pole siłowe jest, jak się okazało, nieprzenikliwe dla środków, którymi dysponowaliśmy.
- Prasa otrzymała jednak pewne informacje świadczące o tym, że udało się wam poprzez to pole przeniknąć.
- Co pan ma na myśli?
- „Fioletową plamę”.
- Widzieliśmy kilka takich „plam”. Rzeczywiście nie są one chronione przez pole siłowe.
- Tylko je widzieliście czy też próbowaliście się przez nie przedostać?
- Próbowaliśmy. I nawet udało nam się to. W pierwszym wypadku przeniknął przez „plamę” kierowany podmuch eksplozji, w drugim - superszybki strumień wodny z hydromonitora. A także ludzie.
- Dlaczego Martin nie chce udzielać wywiadów? Proszę nam zdradzić tajemnicę.
- Nie ma żadnej tajemnicy. Po prostu zabroniłem rozgłaszania wiadomości o naszej pracy.
- Komu oprócz Martina udało się przeniknąć w głąb błękitnego blasku?
- Dwóm Rosjanom. Operatorowi filmowemu i meteorologowi.
- W jaki sposób?
- Na spadochronach.

- A jak wrócili?

- Również na spadochronach.

- Spadochron służy do opadania, nie można się na nim wznosić. A może udzielono im pomocy ze śmigłowca.

- Nie udzielano im pomocy ze śmigłowca. Pole siłowe zatrzymało ich i wyrzuciło. Z jego też pomocą wylądowali.

- Co widzieli?

- Zapytajcie ich samych, kiedy ekspedycja zostanie rozwiązana. Sądzę, że wszystko, co tam zobaczyli, to zasugerowany miraż.

- W jakim celu posłużono się nim?

- Tego nie wiem.

- Wiemy, że pilot widział Nowy Jork, Rosjanie zaś Paryż. Niektórzy są zdania, że mamy tu do czynienia z modelami działającymi, takimi jak w Sand City.

- Mój pogląd na tę sprawę jest już panom znany. Zresztą teren objęty błękitnymi protuberancjami nie jest dostatecznie rozległy, by można było wybudować na nim takie dwa miasta jak Nowy Jork i Paryż.

KOMENTARZ ZIERNOWA. Mister Thompson wyraził się nieścisłe. Nie chodzi o budowę miast, ale o rekonstrukcję obrazów wzrokowych, które przybyszom udało się zarejestrować. Jak na stole montażowym, kiedy kręci się film. Przegląda się różne ujęcia, wybiera z nich pewne kadry, łączy je ze sobą. Nasi chłopcy i Martin mieli szczęście - mogli obejrzeć ten stół montażowy, wpuszczeni kuchennymi schodami.

Tak zabijaliśmy czas jadąc do Umanacu najprzedziwniejszą w świecie drogą. Nie istnieją maszyny, przy pomocy których można by było uzyskać równie idealnie płaską powierzchnię. Nasz samochód jednak nawalił. Zepsuła się gąsienica czy też coś w silniku. Wano nie tłumaczył nam, co mianowicie, burknął tylko: „A nie mówiłem, że użyjemy jak pies w studni?”. Minęła godzina, dawno już wyprzedził nas bliźniaczy wóz ciągnący za sobą długi sznur sań, a naprawa ciągle jeszcze trwała. Moim towarzyszom podróży to jednak nie przeszkadzało, każdy nad czymś pracował. Ziernow przeglądał jakieś notatki, Irena pisała artykuł dla pisma kobiecego. Tolek kreślił jakieś jedynie dla niego zrozumiałe mapy upstrzone elipsami i strzałkami i tylko ja snułem się bez zajęcia, przeszkadzając wszystkim. Wreszcie po prostu wystawili mnie za drzwi - pospaceruj sobie i sfilmuj coś dla potomnych.

Wziąłem kamerę i wyszedłem. Cóż tu jest do fotografowania, chyba tylko ostatni lodowiec na Ziemi? Ale wyszedłem. Wano w masce ochronnej spawał pęknięte ogniwo gąsienicy. Spojrzałem za siebie, przed siebie i coś mnie nagle zainteresowało. Przed nami, w odległości mniej więcej kilometra, sterczało na samym środku tej bezbłędnej szosy lodowej coś, co było wielkie, jasnoczerwone i

przypominałoby mamuta z podkurczonymi nogami, gdyby kiedykolwiek żyły mamuty o tak czerwonej skórze.

Podszedłem do Wano.

- Bądź tak dobry i spójrz na drogę.

Spojrzał.

- Na co mam patrzeć? Na ten rudy kamień?

- On nie jest rudy. On jest czerwony.

- Tu wszystkie kamienie są czerwone.

- Nie było go, kiedy jechaliśmy w tę stronę.

Wano spojrzał raz jeszcze, ale nie zdradzał żadnego zainteresowania kamieniem. Postanowiłem więc, że podejść bliżej. Początkowo to, co leżało na szosie, nie kojarzyło mi się z niczym, ale przez cały czas, kiedy się do tego zbliżałem, próbowałem sobie coś przypomnieć. Zdarza się tak, że człowiek zapomina coś bardzo dobrze sobie znanego, męczy się, usiłuje to sobie przypomnieć i nie może.

Przede mną, nieomal w poprzek lodowej drogi, stała purpurowa „Charkowianka”, nasza doskonała amfibia śnieżna. Najdziwniejsze jednak i chyba zarazem najstraszniejsze było to, że to była właśnie ta nasza amfibia, ta z wgniecionym szkłem iluminatora i z nowiutkim ogniwnem na gąsienicy. Ta właśnie „Charkowianka”, którą wyruszyliśmy na poszukiwanie „różowych obłoków”, ta, która zwała się w szczelinę, a potem rozdziwiła się na moich oczach. Właśnie wtedy po raz pierwszy naprawdę się przestraszyłem - czy znowu jesteśmy potrzebni „obłokom” i po co? Ostrożnie, bardzo ostrożnie obszedłem pojazd dookoła - wszystko zostało zrekonstruowane ze zwykłą wzorcową dokładnością. Metal nawet w dotyku był metalem, pęknięcia na wgniecionym pleksiglasie były całkiem świeże, kawałeczek specjalnej izolacji, którą obszyte były od wewnątrz drzwi, zwisał u dołu - drzwi nie były zamknięte. Domyślałem się, co zobaczę wewnątrz - moją skórzaną kurtkę na wieszaku, narty w zaciskach i mokrą podłogę, świeże ślady chłopaków. A na wpół otwarte drzwi wewnętrzne będą poskrzypywały jak zwykle - zimne powietrze z pomostu zacznie się wdzierać do wnętrza amfibii.

Wszystko tak właśnie było, powtarzało się to, co pamiętałem. Drzwi do kabiny drżały lekko jak wtedy i ja się jak wtedy wahałem czy wejść tam, zasychało mi w gardle i grabiały mi palce.

- Właż, właż - usłyszałem głos zza drzwi - nie jesteś u dentysty, borować nie będziemy.

To był znajomy głos, to był mój głos.

Popchnąłem drzwi i wszedłem do kabiny, w której zazwyczaj pracował Tolek, tej samej, w której ocknąłem się na podłodze po katastrofie na antarktycznym płaskowzgórzu. Przy stole siedział mój sobowtór i szczyrzył zęby. Najwyraźniej był uradowany, czego nie dałoby się powiedzieć o mnie.

Gdybym się zastanowił, gdybym przyjrzał mu się uważniej, od razu wiedziałbym, że nie jest to ten sam sobowtór, którego znalazłem wtedy leżącego bez przytomności w kabinie zdublowanej przez przybyszów amfibii. Teraz był to mój model współczesny, skopiowany zapewne w owej krótkiej chwili, kiedy przebijałem na spadochronie w błękitnej kopule ową ni to fioletową, ni to purpurową przesłone gazową. Kombinezon, który wtedy na sobie miałem, poniewierał się tu teraz, rzucony niedbale na ławkę. Wszystko to jednak zauważyłem dopiero później, kiedy trochę przyszedłem do siebie, kiedy minęło osłupienie i strach, natomiast w pierwszej chwili pomyślałem po prostu, że nie wiedzieć dlaczego powtarza się oto spektakl, który już raz widziałem na Antarktydzie.

- Siadaj, stary - powiedział mój sobowtór wskazując miejsce naprzeciwko siebie.

Usiadłem. Przez chwilę wydawało mi się, że mam przed sobą lustro, za którym znajduje się baśniowa kraina Po-Tamtej-Stronie-Lustra, którą zamieszkuje mój sobowtór, wilkołak, jakieś "anty-ja". „Dlaczego zmartwychwstał? - pomyślałem. - I w dodatku razem z »Charkowianką«”.

- A gdzie, twoim zdaniem, powinienem być? - zapytał. - Wszędzie dookoła lód, a mieszkania z centralnym ogrzewaniem na razie nikt mi nie zaproponował.

Strach minął, pozostała złość.

- A po co w ogóle masz istnieć? - powiedziałem. - I w jakim magazynie cię przechowywali, zanim cię nie wskrzesili?

Chytrze zmrużył oczy - zupełnie jak ja, kiedy czuję nad kimś fizyczną albo intelektualną przewagę.

- Kogo tu wskrzeszono? Lękliwego głuptasa, który o mało co nie zbzikował na widok swojej kopii? O nie, stary, jestem teraz twoim udoskonalonym modelem, doskonalszym niż ta kamera wobec aparatu fotograficznego Lumiere'a.

Położył dłoń na stole. Dotknąłem jej. Chciałem sprawdzić, czy to aby naprawdę człowiek.

- Teraz wierzysz? Ale mądrzej skonstruowany!

Dobyłem swego asa atutowego. Zaraz nim przebiję.

- Superman, myślałby kto! Skonstruowali cię, kiedy skoczyłem ze spadochronem. Wiesz o wszystkim, co się ze mną działo do tej chwili. A potem, co potem?

- Też wiem. Chcesz, to ci przytoczę twoją rozmowę z Thompsonem po wylądowaniu? O jig-saw. Albo rozmowę z Wano o czerwonym kamieniu... - zachichotał.

Milczałem, w podnieceniu szukałem w myślach jakiegoś kontrargumentu.

- Nie znajdziesz go - powiedział.

- Cóż to, czytasz moje myśli?

- Właśnie. Na Antarktydzie domyślaliśmy się tylko nawzajem swoich myśli, a raczej swoich zamiarów. Pamiętasz, jak chciałeś mnie zabić? Teraz zawsze wiem, o czym myślisz. Moje anteny neuronowe są po prostu bardziej czułe niż twoje. I dlatego wiem o wszystkim, co się z tobą działo już po wylądowaniu spadochronu. Przecież ja to ty plus pewne poprawki w dziele matki natury. Coś w rodzaju dodatkowych elementów przekąźnikowych.

Nie czułem strachu, nie byłem zdumiony - czułem po prostu podniecenie gracza, który przegrywa. Miałem jednak jeszcze jeden atut, a właściwie miałem nadzieję, że to, co mam w zanadrzu, okaże się atutem.

- A jednak ja jestem prawdziwy, a ty jesteś sztuczny. Ja jestem człowiekiem, ty jesteś robotem. Ja żyję, a ty pójdziesz na złom.

Odpowiedział mi bez cienia chępliwości, bez cienia przechwałki, jak gdyby wiedział o czymś, o czym my nie wiemy:

- Pójdę czy nie pójdę - o tym potem - i dodał z moją ironiczną intonacją: - A który z nas jest prawdziwy, który zaś sztuczny - to jeszcze pytanie. Chcesz, zadamy je naszym przyjaciółom? Założmy się. Dobrze?

## SUPERPAMIĘĆ I SUBWIEDZA

Odwiesiwszy kurtki na wieszak weszliśmy do kabiny naszego grenlandzkiego pojazdu, identyczni, jak bliźniacy na filmie, kiedy obu gra ten sam aktor. Przyszliśmy akurat na obiad. Irena, cała w bieli, jak gdyby była na sali operacyjnej, nalewała właśnie zupę.

- Gdzieś ty zginął? - zapytała nie patrząc. Potem podniosła głowę i upuściła łyżkę wazową.

Zapadło męczące milczenie, surowe, nieomal złowieszcze. Mego "anty-ja" to jednak bynajmniej nie stropiło.

- A jednak to wcale nie był kamień, Wano, tylko wiesz co? - powiedział mój sobowtór głosem tak bardzo moim, że drgnąłem, jak gdybym usłyszał go po raz pierwszy. - Nasza "Charkowianka" z Mirnego! Ta sama amfibia-sobowtór, którą widziałeś, a którą ja sfilmowałem. Możecie ją sobie obejrzyć, jeszcze tam stoi. A ten samozwaniec - wskazał mi palcem - siedział sobie w kabinie, jak gdyby nigdy nic i czekał na nas.

Ta bezczelność dosłownie mnie замуrowała. Scenka zupełnie jak z Dostojewskiego - ogłupiały pan Goliadkin i jego zwinny sobowtór. Ani się obejrzałem, a już cztery pary oczu moich przyjaciół patrzyły na mnie bynajmniej nie przyjaźnie.

Pierwszy opamiętał się Ziernow.

- Skoroście trafili akurat na obiad, to siadajcie, proszę - powiedział, patrząc na mnie. - Sytuacja nie jest nowa, ale jest ciekawa.

- Borysie Arkadiewiczu - powiedziałem błagalnie - dlaczego mówicie "wy"? Przecież to on jest sobowtorem, nie ja. Myśmy się po prostu założyli, czy potraficie nas odróżnić.

Ziernow w milczeniu przyjrzał się nam obydwóm, na mnie zatrzymał spojrzenie nieco dłużej, wreszcie powiedział:

- Zagadka co się zowie. Jak dwie krople wody. No, więc sami się przyznajcie, który z was jest prawdziwy.

- No, wiecie! - powiedziałem.

- Nie obrażaj się, nie ma o co - powiedziało moje odbicie. - Obaj jesteśmy prawdziwi.

Wydało mi się, że w oku Ziernowa błysnęła jakaś isierka, kiedy zwrócił się do mojego sobowtóra.

- Nawet jeść mi się odechciało - powiedziałem. - Na drugie znowu będzie dorsz?

Że też nie miałem już co powiedzieć! Atak nastąpił natychmiast - "anty-ja" nie tracił czasu.

- Sama, Iruś, rozsądź, który z nas jest Jurkiem Anochinem! Kto u ciebie zamówił dziś rano sałatkę z konserwowego groszku?

Rzeczywiście prosiłem ją rano, żeby zrobiła sałatkę. Zapomniałem o tym na śmierć. Zauważyłem, że Irena popatrzyła z wdzięcznością na moje vis-a-vis. Najwyraźniej przegrywałem ten mecz.

- W takim razie sprawdzimy to teraz w oparciu o pewną znaną metodę - powiedział Ziernow, znowu przyglądając się nam obydwóm.

- To się nie uda - powiedziałem, przejęty - on wszystko wie, wie, co robiłem i myślałem przez ten cały przeklęty czas od chwili, kiedy go stworzono, do chwili, kiedy się przede mną zjawił. Sam mi powiedział, że jego anteny neuronowe są bez porównania czulsze niż moje.

- To ty to powiedziałaś - wtrąciło moje "anty-ja".

Miałem ochotę chlusnąć mu w pysk zimną zupą, której i tak nie mogłem przełknąć. I szkoda, że tego nie zrobiłem, bo zaraz odezwał się znowu:

- Nawiasem mówiąc sobowtóry nie jedzą. Nie mają przewodu pokarmowego.

- Kłamiecie, Anochin - powiedział Ziernow. Teraz do nas obu zwracał się na "wy".

- Przecież nie sprawdzaliśmy tego, Borysie Arkadiewiczu - bynajmniej nie straciło się moje "anty-ja". - Wielu rzeczy nie sprawdzaliśmy. Na przykład pamięci. Więc powiadasz, że twoje anteny są czulsze? - zwrócił się do mnie mój prześladowca. - Sprawdźmy to. Pamiętasz olimpiadę klas dziewiątych z literatury rosyjskiej?

- Próbuje mnie obciąć - powiedziałem jadowicie.

- To ja się obciąłem. Na carze. Pamiętasz może, na którym? Cytat trzeci...

Nie pamiętałem ani trzeciego cytatu, ani drugiego, ani nawet pierwszego. Jaki, u licha, car? Piotr? Z „Jeźdźca miedzianego”?

- Kiepsko pracują anteny... Z "Połtawy", panie Goliadkin.

Czyta, chytrus, w moich myślach. Przegrywam... Czy rzeczywiście wszystko zapomniałem?

- Zapytaj go, Tolku, o coś łatwiejszego. Może sobie przypomni - powiedział. Tolek zastanowił się. Zapytał:

- Pamiętasz naszą rozmowę o musonach?

Czy myśmy naprawdę rozmawiali kiedykolwiek o jakichś musonach? Nie mam pojęcia, co to w ogóle może być. Chyba jakieś wiatry...

- A zapytaj mnie - triumfował drugi pan Goliadkin. - Powiedziałem wtedy, że od dziecka mylą mi się musony z pasatami.

I nagle, kiedy był właśnie u szczytu swego triumfu, Irena popatrzyła na mnie z zadumą i powiedziała:

- Strasznie jesteś do niego podobny, Jurku. Jesteś tak podobny, że aż strach.

Zdarza się tak niekiedy w sporcie, że zahukany, pogardzany przez wszystkich zawodnik nagle strzeli decydującego gola. Kibice na trybunach nie biją wtedy nawet braw. Z wytrzeszczonymi oczyma gapią się na taki "cud". Tak właśnie patrzyły na mnie cztery pary znowu przyjaznych oczu.

Teraz "anty-ja" nie próbowało odparować ciosu, czekało. Było bardzo spokojne i - tak mi się przynajmniej wydawało - zobojętniało na wszystko, co się działo, na wszystko, co się teraz stanie. Czy ja także mam takie zimne, puste oczy?

- Co do mnie, od dawna już się domyślałem, który z nich jest twoim Jurkiem, Ireno - powiedział Ziernow. - Ale bardzo mnie interesuje, co było decydujące dla ciebie?

- Pamięć - powiedziała Irena. - Człowiek nie może pamiętać wszystkiego. To, co nieistotne, niemal zawsze umyka uwadze, zaciera się w pamięci. Jurek w dodatku zawsze był „zapomtnalski”. A ten pamięta wszystko. Jakieś idiotyczne olimpiady, rozmowy, cytaty. Nieludzka to pamięć.

"Anty-ja" zmilczał i to. Patrzył na Ziernowa, jak gdyby wiedział, że to właśnie Ziernow zada mu decydujący cios, cios, którego nie będzie już mógł odparować.

I Borys Arkadiewicz nie chybił.

- Zdecydowało jedno wypowiedziane przez niego zdanie. - Jedyne łokciem wskazał moje vis-a-vis. - Zdanie "obaj jesteśmy prawdziwi". Zważcie, że ani nasz Jurek, ani w ogóle nikt z nas nigdy by tak nie powiedział. Każdy z nas byłby przekonany, byłby pewien, że tylko on jest prawdziwy, że sobowtór jest tylko modelem, produktem syntezy. Nasze antarktyczne sobowtóry wymodelowane przecież bardzo dokładnie również rozumowałyby w ten sposób - one przecież nie wiedziały, że są jedynie modelem człowieka. Zaś jeden z nich dwóch wiedział to. Wiedział i o tym, że jest modelem, i o tym, że w gruncie rzeczy modelu nie da się odróżnić od człowieka. A zatem tylko on mógł powiedzieć to zdanie: "Obaj jesteśmy prawdziwi". Tylko on.

Rozległy się oklaski, klaskało również „anty-ja”.

- Brawo, Borysie Arkadiewiczu! Oto analiza godna uczonego. Nic się w niej nie da podważyć. Rzeczywiście jestem modelem, tyle że doskonalszym niż wy, twory przyrody. Już to Jurkowi powiedziałem. Bez trudu odbieram impulsy wysyłane przez komórki jego mózgu, czyli mówiąc przystępniej znam każdą jego myśl i mogę w taki sam sposób przekazywać mu swoje myśli. Pamięć mam też nie taką jak wy, jak ludzie.

Irena od razu to zrozumiała; w tej sprawie także popełniłem błąd, nie potrafiłem tego ukryć. Rzeczywiście pamiętam dokładnie wszystko, co robił, mówił i myślał Anochin przez całe swoje życie, zarówno w dzieciństwie, jak wczoraj i dziś. Nie tylko to zresztą. Pamiętam także wszystko, co Anochin ostatnio usłyszał i przeczytał, innymi słowy, całość otrzymanych przezeń informacji o „różowych obłokach” i o stosunku ludzi do ich pojawienia się na Ziemi i do ich działalności. Znam na pamięć wszystkie wycinki o paryskim kongresie, które przestudiował Anochin, mogę zacytować słowo w słowo każde przemówienie z kongresu, każdą uwagę, każdą kuluarową rozmowę, która w



taki czy inny sposób dotarła do Anochina. Pamiętam wszystkie jego rozmowy z wami, Borysie Arkadiewiczu, zarówno te, które odbyliście w świecie rzeczywistym, jak i te, które prowadziliście w świecie zsyntetyzowanym. A co najważniejsze wiem, do czego ma służyć ta moja superpamięć i jaki to ma związek z powtórną syntetyzacją Anochina.

Teraz patrzyłem na niego nieomal z wdzięcznością. Zniknął mój prześladowca, zastąpił go przyjaciel, rozmówca i przewodnik w nieznanie.

- A więc od samego początku wiedział pan, że to pan jest syntetyzowany? - zapytał Ziernow.

- Oczywiście.

- Czy wiedział pan, jak i kiedy pana zsyntetyzowano?

- Niezupełnie. Od pierwszej chwili, kiedy ocknąłem się w kabinie "Charkowianki", byłem Anochinem, ale wiedziałem zarówno to, że Anochin istnieje niezależnie ode mnie, jak i o tym, co nas obu od siebie różni. Byłem inaczej zaprogramowany i miałem inne funkcje.

- Jakie?

- Tę przede wszystkim, by się tu zjawić i opowiedzieć wam.

- O czym?

- O tym, że powtórną syntetyzacją Anochina pozostaje w związku z otrzymanymi przez niego i opracowanymi przez niego informacjami o tym, jaki jest stosunek ludzkości do fenomenu "różowych obłoków".

- Czemu wybrano w tym celu właśnie Anochina?

- Może dlatego, że był on pierwszym człowiekiem, którego świat psychiczny przybysze zbadali.

- Powiedział pan: "może". Czy jest to tylko pański domysł?

- Nie, to przejęzyczenie. Wiem o tym z całą pewnością.

- Od kogo pan się o tym dowiedział?

- Od nikogo. Po prostu - wiem.

- Co to znaczy: "po prostu"? Z jakich źródeł pan się dowiedział?

- Te źródła są we mnie. To jest coś takiego jak pamięć genetyczna. O bardzo wielu rzeczach wiem ot po prostu tak, znikąd. Na przykład o tym, że jestem modelem. O mojej superpamięci. O dwóch Anochinach. O tym, że powinienem nagromadzić, a potem przekazać wszystkie informacje, jakie uda mi się zebrać.

- Komu przekazać?

- Tego nie wiem.

- Przybyszom?

- Nie wiem.

- Nie mogę się połapać w tych pańskich “wiem” i “nie wiem” - ton Ziernowa zaczynał zdradzać niezwykle u niego zdenerwowanie. - Dajmy spokój mistyce.

- Cóż to za mistyka? - uśmiechnął się wyrozumiale mój sobowtór. - Wiedza jest to ilość i jakość otrzymanej i opracowanej samodzielnie informacji. Moja wiedza jest po prostu zaprogramowana. I to już wszystko. Tę moją wiedzę nazwałbym subwiedzą.

- Może raczej podświadomością? - poprawił go Ziernow. Moje “anty-ja” nie przystało jednak na tę poprawkę.

- Czy ktoś zbadał procesy zachodzące w podświadomości? Nikt tego jeszcze nie zrobił. Moja wiedza jest niepełna, ponieważ nic mi nie mówi o źródłach, z których została zaczerpnięta, niemniej jest to jednak wiedza. Co to jest szybkość subświatlna? Jest to prędkość nieco tylko mniejsza od prędkości światła. Podobnie i moja subwiedzą jest jak gdyby negatywnym odpowiednikiem mojej superpamięci.

- A co wie pan poza tym, że jest pan modelem? - zapytała nagle Irena.

Wydało mi się, że widzę w lustrze, jak się uśmiecham z jakąś arogancją i wyższością. Ale to oczywiście był on. I to on z równą arogancją odpowiedział:

- Wiem na przykład to, że kocham panią równie mocno jak Jurek Anochin.

Wszyscy oprócz mnie się roześmiali. Ja się zaczerwieniłem. Nie wiem dlaczego właśnie ja, a nie Irena. A Irena powiedziała:

- Syntetyczna miłość. Zapadło milczenie.

- Pan jest jak bańka mydlana - powiedziała Irena i w jej głosie usłyszałem litość. - Om dmuchną i z pana nie zostanie ślad.

- Ja jednak przeczuwam coś... Ja wiem, że będzie inaczej.

- Że co będzie?

- Że będę żył poza psychiką Jurka Anochina - po raz pierwszy mój sobowtór zamyślił się, rozmarzony, może nawet nagle zasmucony. - Chwilami wydaje mi się, że już tak żyję. To jest tak jak z wieloma innymi zaprogramowanymi sprawami. Jestem na przykład przekonany, że najbliższe prawdy było na paryskim kongresie wystąpienie tego autora książek fantastycznonaukowych. Albo inny

przykład - jestem pewien, że domysły Ziernowa dotyczące kontaktów są słuszne. Odnoszę także wrażenie, że niezupełnie nas rozumieją. Kiedy mówię “nas”, mam na myśli nas, ludzi, nie gniewajcie się o to, ale nie jestem przecież “różowym obłokiem”. Odnoszę wrażenie, że niejedno w naszym życiu i w naszej psychice jest dla nich jeszcze niejasne, że wymaga dalszych badań, że te badania będą jeszcze kontynuowane. Nie pytajcie, gdzie i jak będą kontynuowane - tego nie wiem. Nie pytajcie mnie o to, co się dzieje pod kopułą - nie wiem, nie widziałem tego. A właściwie widziałem to ale oczyma Anochina. Jedno tylko wiem na pewno - skoro tylko opowiem wam to wszystko, wyłączą się zaprogramowane funkcje. Przepraszam za błędy w terminologii, nie jestem cybernetykiem. A wtedy zostanę odwołany - uśmiechnął się. - Już mnie wzywają. Żegnajcie.

- Odprowadzę cię - powiedziałem.

- Ja też - poderwał się Wano. - Chciałbym jeszcze raz zobaczyć “Charkowiankę”.

- Nie ma już “Charkowianki” - Jurij Anochin-2 otworzył drzwi na pomost. - Nie odprowadzajcie mnie. Wiecie przecież, co się ze mną stanie, Jurek to już nawet sfilmował - uśmiechnął się ze smutkiem. - Na razie jestem jeszcze człowiekiem i taka ciekawość byłaby dla ranie przykra.

Wyszedł i już zza drzwi pokiwał mi ręką.

- Nie bądź na mnie zły, stary, za tę mistyfikację. Możesz mi wierzyć, że jeszcze sobie porozmawiamy. Ile dusza zapagnie - uśmiechnął się i zniknął za drzwiami.

NA ZAWSZE!

Nikt nie zrozumiał jego ostatnich słów, nikt nie chciał się odezwać pierwszy, kiedy wyszedł. Technie śmierci, która czyhała gdzieś nie opodal na lodowej szosie, owionęło jak gdyby nas wszystkich. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o modelowaniu i o syntetyzacji, był to jednak człowiek!

- Szkoda - westchnął wreszcie Totek - z pewnością już nadlatują...

- Daj spokój - przerwała mu Irena. - Nie trzeba...

Ale nie musieliśmy już milczeć.

- A ja cię z początku nie poznałem, Jurku - przyznał się strapiony Wano. - Tamten wydał mi się bystrzejszy.

- Wszystkim się wydał - wtrącił Diaczuk, nie wiadomo czy ironicznie, czy z zachwytem. - Pamięć miał jak Biblioteka Narodowa. Z taką pamięcią tylko żyć, nie umierać!

“A on na pewno tak chciał żyć...”.

Pomyślałem. On odpowiedział mi:

- A ja to, twoim zdaniem, co? Ja i teraz bardzo chcę żyć.

Wszystko to słyszałem w głębi mej świadomości. Nie majaczyłem, niczego nie zmyślałem, nie. Ja po prostu słuchałem.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytałem go, także w myśli.

- Na szosie lodowej. Dokoła jest biało. Ale nie ma tu śniegu.

- Boisz się?

- To przecież nie jest śmierć tylko przejście do innej formy istnienia. To jest jak sen.

- Sen się kiedyś kończy. Twoje sny także?

- Tak. Moje sny też kiedyś się kończą. Budzę się wtedy.

- Jak myślisz, czy jeszcze kiedyś do nas wrócisz?

- Tak. Kiedyś - tak.

- A gdybyś spróbował w ogóle nie odchodzić?

- Tego nie mogę zrobić.

- Więc się zbuntuj!
- To jest silniejsze ode mnie, stary.
- Skoro tak, to co z ciebie za człowiek? Gdzie twoja siła woli? Nie ma jej?
- Na razie nie ma.
- Co to znaczy - „na razie”?
- Co tam mruyczysz pod nosem, Jura? To wiersze?

Poruszałem widocznie wargami i dlatego Irena zadała to pytanie.

- Co to za wiersze? Twoje?

Musiałem skłamać:

- Nie, to Błok. “Ja cię poznaję, życie! Godzę się na ciebie i pozdrawiam cię dźwiękiem miedzianym mej tarczy!”.
- Co znowu za życie?
- Czy to nie wszystko jedno? A choćby i syntetyzowane.
- Sformułowanie nie jest dokładne - wtrącił się natychmiast - ortodoksi mieliby się do czego przyczepić. Lepszy wróbel w garści, powiadają, niż gołąb na dachu. Stara dewiza kolaborantów. Żądasz, abym współpracował z wrogą cywilizacją.
- To znowu Thompson. Mam tego dosyć.
- Oni także mają tego dość. Połapali się.
- Tak sądzisz?
- Wiem.
- A co mi chciałeś powiedzieć?
- Chciałem ci powiedzieć, że jeszcze się spotkamy.
- Chciałbyś, żeby to nastąpiło?
- Czemu pytasz?
- Mnie to bynajmniej nie zachwyca. Wcale mnie nie zachwyca taka perspektywa.
- Co ty tam znowu szepczesz?

To było powiedziane głośno. Znowu mówiła Irena. Ziernow zaś nie wiedzieć czemu milczał. I nikt tego nie zauważa... A jednak nie... Zauważyli to...

- Dlaczego nic nie mówicie, Borysie Arkadiewiczu? - zapytał Diaczuk.

- Po prostu się zamyśliłem. - Ziernow był taktowny jak zawsze. - Niezmiernie ciekawy eksperyment! Pomysł doprawdy fascynujący - zebrać wszystkie potrzebne im informacje wykorzystując do tego Anochina. I to w taki sposób! Stworzyć coś w rodzaju zdublowanej pamięci. Widocznie jak dotąd nie są jeszcze w stanie odbierać językowej, sensualnej informacji w sposób bezpośredni - słowo do nich nie dociera, ani słowo mówione, ani słowo pisane. Dociera do nich tylko taka informacja, którą już opracował człowiek - myśl, obraz.

- Ale dlaczego to był właśnie Anochin? Czy dlatego naprawdę, że to właśnie on został zsyntetyzowany jako pierwszy człowiek na Ziemi.

- Pierwsze doświadczenie ma z pewnością wielkie znaczenie. Ale być może stało się tak również dlatego, że Anochin odbiera widzialny świat w sposób niezmiernie wyrazisty. Każdy z nas odbiera świat widzialny, czynimy to jednak w różny sposób - jeden słabiej drugi wyraziściej. Matematyk odbiera otaczający go świat inaczej niż malarz albo niż muzyk, poeta ma jeszcze inne widzenie tego świata...

- Ty też? - zapytałem go?

- Nie zadawaj głupich pytań. Nawiasem mówiąc Ziernow słusznie zwrócił uwagę na konieczność wizualnego odbioru informacji.

- Słyszałeś całą naszą rozmowę?

- Poprzez ciebie. Przecież odbieram wszelką opracowaną przez ciebie informację.

- Ale przecież ja też nie wszystkiego słucham.

- Nie słuchasz, ale jednak słyszysz. Ja tymczasem gromadzę to wszystko w swoich zasobach pamięciowych. Zresztą sam się w to wsłuchaj. Nasz Borys Arkadiewicz właśnie mówi coś na ten temat.

- ... W takiej skarbonce musi się zgromadzić niejedno. Odpowiednio zaś wytrenowana pamięć wydobywa stamtąd to, co jest jej potrzebne. W ogóle „superpamięć” to nie jest nic nadzwyczajnego. Wstrząsająca pamięć zawodowa. Gdybyśmy tak znali jej kod, a także mechanizm zapamiętywaniu...

- A czy oni go znają?

To znów Irena. Mówi to nie wiadomo dlaczego z niedowierzaniem, chyba nawet z ironią. Ale Ziernow nie zauważa tej ironii, zachowuje powagę.

- Nie sądzę. Najprawdopodobniej Anochin to jedynie udany eksperyment. Ale z czasem poznają i to. Niewątpliwie. Rozgryzą to gdzieś tam u siebie.

- Uwierzyliście w tę hipotezę?

- A czemuż bym nie miał w nią uwierzyć? Czy jest gorsza niż inne? Dokładnie tyle samo przemawia za nią ile przeciw niej. A zatem hipoteza ta nie ubliża ludziom, nie, przeciwnie, raczej im imponuje. Ostatnie, niezbędne do nawiązania kontaktu, do wzajemnego poznania się ogniwo. Ostatnie ogniwo niezbędne do wymiany informacji między dwiema cywilizacjami kosmicznymi.

- Słyszałeś? Nasz Borys Arkadiewicz to nie byle kto. Brakujące ogniwo.

- A więc ty także wierzysz w tę hipotezę?

- Ja przecież milczę.

- Czemu milczysz?

- Jest jeszcze zbyt wcześnie. Nie mam jeszcze wolnej woli. Nadejdzie jednak czas...

- Znow zaczyna się mistyka. Jakoś nie mogę uwierzyć w to twoje życie pozagrobowe.

- A wierzysz w skok z królestwa konieczności do królestwa wolności? Przecież można to ująć i tak. Wolna wola. Wolność myśli. Wolność twórczości. Dlaczego nie mielibyśmy powtórzyć waszej drogi rozwojowej?

- No cóż, więc marzyciel miał rację? Pojawi się gdzieś jakaś planetka, taka Ziemia2, na której będzie taka sama woda jak u nas, takie samo powietrze jak u nas, na której będą takie same miasta jak u nas?...

- Wszystko można obrócić w żart. A co się jeszcze pojawi i gdzie się to może pojawić - tego nikt na razie nie wie. Badanie to nie zawsze odtwarzanie, częściej to po prostu tylko poszukiwania.

- Poszukiwania czego? Zsyntetyzowanych marzeń? Superpamięci?

- Wszystko to dopiero próby, stary. To zaledwie próby. Żyjemy w świecie constansów. W warunkach ziemskich, w warunkach białkowych form życia przyroda dawno już stworzyła optymalne formy i optymalne rozmiary. Nie ma więc powodu do zmiany constansów.

Musiałem powtórzyć to na głos ponieważ Ziernow uśmiechnął się i odpowiedział:

- Oczywiście nie ma powodu.

Zaczerwieniłem się. Jak mam im wytłumaczyć te moje "rozmyślenia na głos"? Wyręczył mnie Wano.

- Może pojedziemy, Borysie Arkadiewiczu? - powiedział. - Silnik już działa. Ziernow przyjrzał mi się uważnie.

- Jak sądzisz, czas już na nas?

Czyżby zrozumiał?

- Już bardzo, bardzo dawno zrozumiał. Ty zresztą też rozumiałaś, że on to zrozumiał. Nie udawaj. Możesz mu powiedzieć, że już najwyższy czas. Anochin-2 odmeldowuje się.

- Nie męcz mnie.

- Kiedy naprawdę najwyższy już czas. Ja jestem daleko, oni - blisko.

Poczułem się nagle nieznośnie, tak nieznośnie, jak gdyby ktoś ścisnął mnie za gardło i jak gdybym nie miał czym oddychać. Nie widziałem już niczego ani nikogo, widziałem tylko wędrowca na białej równinie.

- Żegnaj więc.

- Nie "żegnaj" tylko „do zobaczenia”. Do widzenia.

- Czy zobaczymy się jeszcze?

- Na pewno.

- Tu czy tam?

- Nie wiem. Jurku. Są rzeczy, o których naprawdę nie mam pojęcia. Zresztą to nie ja się spotkam i nie z tobą. A właściwie - nie tylko ja i nie tylko z tobą. Chodzi o całe światy. Spotkają się całe światy. Nasz i ich. Pamiętasz te słowa, którymi on zakończył swoje przemówienie na kongresie? „A jeśli przybysze do nas powrócą, to powrócą już jako istoty, które nas rozumieją, jako istoty wzbogacone o rozumienie nas, umiejące coś tam od nas przejąć i dać nam coś w zamian na wspólnej drodze ku udoskonaleniu się”. Niezgorzej to powiedział, stary!

I nagle coś się urwało. Poczułem nagle, że myśl moja jest od tej chwili niczym nie skrępowana.

- Możemy jechać - powiedziałem do Ziernowa. Wiedziałem, że mówię to drżącym głosem. Byleby on tego nie zauważył.

- A dlaczego właściwie o tym, czy ruszymy, ma decydować Anochin? - zapytał przekornie Diaczuk. Odpowiedział mu Ziernow. Ja nie miałem siły.

- Jeden tylko Anochin spośród trzech miliardów ludzi, którzy zamieszkują naszą Ziemię, ma w tej chwili kontakt z pozaziemską, a może nawet pozagalaktyczną cywilizacją. Cóż więc możemy zakomunikować ludzkości, Jurku? Czy mamy kontakt? Czy potrafimy go utrzymać?

- Utrzymamy go na wieki - powiedziałem.